

Jules Verne

Keraban uparty

SPIS TREŚCI

1. Część PIERWSZA

1. Rozdział I Van Mitten i lokaj jego Brunon, przypatrują się i rozmawiają, nie mogąc zrozumieć co się to znaczy.
2. Rozdział II Intendent Scarpante i kapitan Yarhud rozmawiają o zamiarze który poznać warto.
3. Rozdział III Karaban zadziwił się niewymownie spotkawszy przyjaciela swego Van Mitten'a.
4. Rozdział IV Keraban najupartszy z upartych stawia się hardo władzom otomańskim.
5. Rozdział V Pan Keraban wypowiada swój pogląd na podróże i opuszcza Konstantynopol.
6. Rozdział VI Nasi podróżni zaczynają doznawać pewnych trudności, szczególnie w delcie Dunaju.
7. Rozdział VII Konie robią to nareszcie ze strachu, czego nie zdołał na nich wymódz bat pocztyliona.
8. Rozdział VIII W którym przedstawi się Czytelnikom młoda Amazyja i narzeczony jej Ahmet.
9. Rozdział IX Podstęp usnuty przez kapitana Yarhuda.
10. Rozdział X Zniewolony okolicznościami, Ahmet przedsięwzięje energiczne postanowienie.
11. Rozdział XI Fantastyczna podróż urozmaicona dramatem.
12. Rozdział XII Van Mitten opowiada dość ciekawą historię o cebulkach tulipanowych.
13. Rozdział XIII Nasi podróżni przejeżdżają wskroś starą Tauridę, i z jakim zaprzęgiem z niej wyjechali.

14. Rozdział XIV Pokazuje się że Keraban lepiej znał jeografię niż to przypuszczał siostrzeniec jego, Ahmet.
15. Rozdział XV Keraban, Ahmet, Van Mitten i obaj służący, wyglądają jak Salamandry.
16. Rozdział XVI Wielka sprzeczka jaki tytoń lepszy: perski czy z Azyi Mniejszej.
17. Rozdział XVII Przygoda nadzwyczaj ważna zakończająca pierwszą część tej opowieści.

2. Część DRUGA

1. [Rozdział I]
2. [Rozdział II]
3. [Rozdział III]
4. [Rozdział IV]
5. [Rozdział V]
6. [Rozdział VI]
7. [Rozdział VII]
8. [Rozdział VIII]
9. [Rozdział IX]
10. [Rozdział X]
11. [Rozdział XI]
12. [Rozdział XII]
13. [Rozdział XIII]
14. [Rozdział XIV]
15. [Rozdział XV]
16. [Rozdział XVI]

Część PIERWSZA

Rozdział I

Van Mitten i lokaj jego Brunon, przypatrują się i rozmawiają, nie mogąc zrozumieć co się to znaczy.

Dnia 16-go sierpnia, o godzinie szóstej wieczorem, wielki plac Top-Hané w Konstantynopolu, zazwyczaj tak ludny i gwarny, był cichy, posępny, prawie pusty. Za ledwie tu i owdzie przesunęło się kilku cudzoziemców zdążających ku wązkim, ciemnym, błotnistym, pełnym żółtych psów uliczkom, prowadzącym do przedmieścia Pera. Jest to dzielnica wyłącznie niemal zamieszkała przez Europejczyków; białe jej domy silnie odbijają od czarnego tła cyprysów rosnących na wzgórzach.

Gdzież się podziały te tłumy zwykle plac ten zalegające, ci Persowie w czapkach z Astrachanu; Grecy tak elegancko noszący fałdziste fustanelle; Czerkesi w wojskowym ubiorze; Gruzycy w rosyjskim, Arnauci w haftowanych kaftanach, i nareszcie Turcy, ci Osmanlisowie, ci potomkowie starożytnego Bizancjum i starego Stambułu, gdzież się podzieli?

Nie na tem koniec. Jak na Top-Hané tak i za portem, w właściwym mieście, turysta spotkałby też samą ciszę i toż samo opustoszenie. I z drugiej strony Złotego Rogu, także panowało milczenie, cały amfiteatr Konstantynopola, zdawał się w śnie pogrążonym. Czyż nikt tam nie czuwał?

Jestże to ów przechwalony Konstantynopol, to marzenie Wschodu urzeczywistnione wolą Konstantyna i Mahometa IV?...

Takie pytanie zadało sobie dwóch cudzoziemców chodzących po Top-Hané.

Byli to Holendrzy przybyli z Rotterdamu, Jan Van Mitten i służący jego Brunon, dziwnem zrzędzeniem losu zagnani na krańce Europy. Któż nie zna Van Mittena, prawdziwego typu Holendra? Lat czterdzieści pięć, blondyn, oczy niebieskie, broda i faworyty żółte, twarz mocno rumiana, nos nieco za krótki odnośnie do rozmiarów twarzy, duża głowa, szerokie ramiona, wzrost nieco więcej niż średni, brzuch zaczynający się mocno zaokrąglać, nogi

więcej zalecające się siłą niż wytwornym kształtem, wyraz twarzy zapowiadający poczciwego człowieka.

Pod względem moralnym, Van Mitten nie odznaczał się mocą charakteru; humor jego był jednostajny, usposobienie łagodne; lubił towarzystwo, unikając sprzeczek, należał do tych ludzi o których mówią że nie umieją mieć woli własnej, wtedy nawet gdy im się zdaje że się nią wyłącznie rządzą.

Gdy weszli na plac Top-Hane, Brunon rzekł do pana.

Więc tedy, panie, jesteście w Konstantynopolu?

Tak, Brunonie, a zatem kilka tysięcy mil od Rotterdamu.

Czy uznaje pan że nareszcie dostatecznie jesteście oddaleni od Holandyi?

A! nigdy nie mogę być za daleko od niej! odrzekł Van Mitten pół-głosem, jak gdyby bojąc się aby nie usłyszano w Holandyi.

Brunon był wiernym, pełnym poświęcenia sługom. Nie opuszczał pana swego od lat dwudziestu, i to ciągłe pożycie wyrobiło w nim pewne podobieństwo. Był niby mniej niż przyjacielem domu, ale więcej niż sługą, i z tego tytułu pozwalał sobie udzielać dobrych rad swemu panu, a czasami nawet i strofować, gdyż oburzało go że tenże wszystkim pozwalał rządzić sobą, nie umiając oprzeć się nikomu.

Dodać trzeba że już czterdziestoletni i ciężki z natury, Brunon, unikał ruchu, nie cierpiał zmiany miejsca pobytu. Przez takie męczenie się, mówił, narusza się równowagę organizmu, osłabia się i chudnie, a ważył się co tydzień i bardzo chodziło mu o to aby czasem nie stracił coś na wadze.

Gorąco przywiązany do rodzinnego miasta i do Holandyi, nigdy bez ważnych powodów, nie byłby opuścił swego mieszkania przy kanale Nieuve Haven, bo nie wierzył aby gdzie bądź na świecie mógł istnieć kraj piękniejszy od jego ojczyzny. A jednak dnia tego znalazł się w Konstantynopolu, dawnym Bizancyum, zwanym przez Turków Stambułem i będącym stolicą Turcyi.

Van Metten był bogatym kupcem z Rotterdamu, handlującym tytoniem i tabaką. Od lat dwudziestu był w ciągłych stosunkach z domem Keraban w Konstantynopolu, rozsyłającym do wszystkich części świata, swe sławne, gwarantowane tytonie, cygara i tabakę. Skutkiem tak długich stosunków z tym znakomitym domem, i nieustannej korespondencji, nauczył się dobrze języka tureckiego, którym władał jak najwierniejszy poddany Padszaha. Brunon, dobrze znający interesa handlowe swego pana, przez przywiązanie do niego, nauczył się także po turecku aby mógł być mu pomocnym w stosunkach handlowych.

Postanowili sobie wzajemnie, aby podczas pobytu w Turcyi nie rozmawiać z sobą inaczej jak po turecku, a mówili tak płynnie, iż gdyby nie strój ich europejski, mogliby łatwo uchodzić za dwóch Osmanlisów starej daty. Gniewało to trochę Brunona, ale jako posłuszny sługa, stosował się do woli

pana, i codziennie rano zapytywał go:

– *Effendum, emriniz né dir?*

Co znaczy: Co pan rozkaże? a Van Mitten odpowiadał:

Sitrimi, pantalounymi fourtcha.

Co znaczy: Oczyszczyć mi suknie i pantaliony.

Po tem objaśnieniu, łatwo domyśleć się, że Van Mitten i Bruno mogli swobodnie chodzić po Konstantynopolu, raz dlatego że znali język turecki, a powtóre iż nie wątpili że czeka ich gościnne przyjęcie w domu Kerabana, który dawniej odbył podróż do Holandji, i zaprzyjaźnił się serdecznie ze swoim rotterdamskim korespondentem. I to właśnie było głównym powodem, że po opuszczeniu rodzinnego kraju, Van Mitten powziął myśl zamieszkania w Konstantynopolu, a Bruno, choć z bólem serca, nie omieszkał mu towarzyszyć. Powoli na placu Top-Hané zaczęli ukazywać się nieliczni przechodnie, ale po większej części sami codzoziemcy. Nareszcie pojawiło się kilku Turków, którzy szli rozmawiając z sobą, a właściciel kawiarni istniejącej w środku placu, zaczął powoli, wcale się nie spiesząc, ustawiać niezajęte dotąd stoliki.

Nim godzina upłynie, mówił do towarzysza jeden z przechodzących Turków, słońce ukryje się w falach Bosforu, a wtedy...

Wtedy będziemy mogli jeść, pić, a nade wszystko palić do woli, odrzekł drugi.

Strasznie długi ten post Ramadanu.

Jak zwyczajnie post... i przeszli:

Dwóch cudzoziemców przechadzało się przed kawiarnią.

Zabawni są ci Turcy! mówił jeden z nich, cudzoziemcy przybywający do Konstantynopola podczas tego nudnego postu, musieliby powziąć nie bardzo korzystne wyobrażenie o tej stolicy Mahometa.

Bah! odrzekł drugi, niby to Londyn zabawniejszym jest co niedziela! Turcy poszczą w dzień, ale umartwienie to wynagradzają sobie w nocy, i gdy tylko wystrzał armatni zwiastuje zachód słońca, wraz z nim da się czuć zapach pieczonego mięsiwa, różnych napoi, dym z cybuchów i cygaretek, a ulice się zapełniają przybierając zwykłą ożywioną postać.

Widać cudzoziemcy ci mieli słusność, gdyż w tejże chwili właściciel kawiarni przywołał garsona, rozkazując:

Niech wszystko będzie gotowe! Za godzinę zgłodzeni postem tłumnie cisnąć się będą do kawiarni, trudno będzie dać sobie radę!

Dwaj cudzoziemcy prowadzili z sobą dalszą rozmowę:

Według mnie, właśnie podczas tego Ramadanu Konstantynopol najciekawszy przedstawia widok; wprawdzie w dzień jest pusty i posępny jak środa popielcowa, ale za to noce są gwarne, hulaszcze, wesołe.

Tak, sprzeczność jest rażąca.

Gdy tak rozmawiali z sobą, Turcy spoglądali na nich z pewną zazdrością:

Szczęśliwi ci cudzoziemcy, rzekł jeden, mogą jeść, pić, palić, jak i co im się podoba.

Zapewnie, odrzekł drugi, tylko że w całym mieście nie dostaliby teraz nic do zjedzenia lub picia.

Bah! bo nie wiedzą gdzie się udać! Kto tylko ma kilka piastrów w kieszeni, znajdzie zawsze usłużnego handlarza który sprzeda mu co zechce, na mocy dyspensy udzielonej przez Mahometa.

Przez Allacha! zawołał jeden z Turków, cygaretki na nic wyschną mi w kieszeni, a nie mogę przecież zmarnować dobrowolnie doskonałego tytoniu za kilka parasów.

I nie zważając że ktoś może zobaczyć, Turek zapalił cygaretkę i puścił parę kłębow dymu.

Ostrożnie! zawołał jego towarzysz, gdyby nadszedł jakiś surowy Ulema, mógłbyś...

Eh! w najgorszym razie połknąłbym dym i nicby nie zobaczył.

I przeszli w przyległą ulicę, prowadzącą do przedmieść Pera i Galata.

A! proszę pana, zawołał Bruno, cóż to za szczególniejsze miasto! Oglądam się ciągle na prawo i na lewo, i od samego hotelu spotykamy zaledwie jakby cienie mieszkańców. Wszyscy do koła śpią na ulicach, wybrzeżach placach, nie wyłączając nawet żółtych wychudłych psów, którym nie chce się poruszyć aby nas ukąsić. No, niech co chcą prawią zapaleni podróżnicy, włóczenie się po świecie nic nie warte! Stokroć wolę nasz ukochany Rotterdam i szare niebo starej naszej Holandyi.

Cierpliwości, Brunonie, cierpliwości, odrzekł spokojnie Van Mitten, przecież zaledwie kilka dopiero godzin tu jesteśmy. Przyznaję że Konstantynopol nie jest takim jak marzyłem; wyobraziliśmy sobie że ujrzymy tu Wschód w całej pełni, urzeczywistnienie baśni z *Tysiąc i jednej nocy*, a tu jesteśmy jakby uwięzieni w głębi...

Olbrzymiego klasztoru, w pośród ludzi smutnych i ponurych jak więźnie, dodał Brunon.

Mój przyjaciel Keraban wytłomaczy nam co to znaczy, rzekł Van Mitten.

Ale gdzież jesteśmy teraz? Jak się nazywa ten plac? Co to za

wybrzeże? pytał Brunon.

O ile mi się zdaje, jesteśmy na placu Top-Hane, przy końcu Złotego-Rogu. Oto Bosfor oblewający wybrzeże Azji.

Piękny widok, odrzekł Brunon, a zwracając się ku pustej zawsze kawiarni, dodał: Zmęczyliśmy się bardzo schodząc na przedmieście Pera; słońce tureckie piecze jak ogień, i zdaje mi się że koniecznie potrzebuje pan ochłodzić się trochę.

Ma to znaczyć że ci się pić chcę; wejdźmy więc do tej kawiarni.

I usiedli na ławeczce przed stolikiem stojącym przed wystawą zakładu.

Garson! krzyknął Brunon, po europejsku ręką w stół uderzając.

Nikt się nie pokazał. Krzyknął drugi raz głośniej. Właściciel ukazał się w głębi zakładu, ale nie śpieszył się przyjść.

Cudzoziemcy! szepnął, zobaczywszy dwóch gości siedzących przy stoliku; czy myślą że...

I nie dokończywszy zbliżył się do nich.

Kawadzi, podaj nam butelkę świeżej wody wiśniowej, rzekł Van Mitten.

Wraz z wystrzałem armatnim, odrzekł spokojnie.

Co! woda wiśniowa z wystrzałem armatnim? Jak żyję nie słyszałem o takim napoju, zawołał Brunon.

Jeśli jej nie ma, podaj inny jaki orzeźwiający napój, rzekł Van Mitten.

Z wystrzałem armatnim, powtórzył Turek, wzruszając ramionami.

Czy oszalał ze swoim wystrzałem armatnim! zawołał Brunon po holendersku.

Toć przecież musisz mieć kawę, sorbet...

Z wystrzałem armatnim, ani minuty prędeej, i to powiedziawszy wszedł do zakładu.

Chodźmy ztąd, proszę pana, nie mamy tu co robić; ten gbur Turek częstuje tylko wystrzałem z armat.

Chodźmy, może jaki inny będzie grzeczniejszy.

Jaka szkoda że nie zastaliśmy przyjaciela pana, rzekł Bruno gdy powrócili na plac; byłby nas objaśnił co to ma znaczyć.

Cierpliwości, Brunonie, wszak powiedziano nam w kantorze iż na tym placu spotkamy Kerabana.

Tak, ale dopiero o siódmej kaik jego ma tu przy płynąć, aby go przewieźć na drugą stronę Bosforu, do jego willi w Skutari.

O! jak tylko szanowany mój przyjaciel przybędzie, wytłumaczy nam wszystko, rzekł Van Mitten. Jest to prawdziwy Osmanlis, jeden z tych Turków starej daty nie chcących ani słyszeć o żadnych nowościach, o zmianie pojęć i zwyczajów, protestujących przeciw wszelkim wynalazkom nowoczesnego przemysłu; wolą oni jechać dyliżansem niż koleją żelazną, płynąć tartanem niż statkiem parowym. Od lat dwudziestu jak prowadzę z nim interesa handlowe, nie dostrzegłem ani cienia zmiany w pojęciach i poglądach mego przyjaciela; gdy przed trzema laty odwiedził mnie w Rotterdamie, przyjechał tam pocztą, i zamiast ośmiu dni, podróż ta zajęła miesiąc czasu, Znałem wielu ludzi upartych, ale o takim jego uporze, pojęcia nawet nie miałem.

Dopieroż się zadziwi zobaczywszy pana w Konstantynopolu! rzekł Brunon.

Spodziewam się, bo też chciałem sprawić mu niespodziankę. W jego domu będziemy dopiero w prawdziwej Turcyi! O! Keraban za nic na świecie nie przywdziałby błękitnej zwierzchniej szaty i czerwonego fezu, tego strojów nowych Tuków.

Co to jak się kłaniają, wyglądają jak odetkane butelki, rzekł Brunon.

Oh! ten kochany, niezrównany Keraban! Pewny jestem że i teraz będzie ubrany tak samo jak kiedy był u mnie w Rotterdamie; turban ogromny, kaftan żółty lub cynamonowy...

Tak jakby jaki handlarz daktyli, zawołał Brunon.

Tak, tylko że Keraban mógłby sprzedawać a nawet jadać szczerzo-złote daktyle. Handluje on tytoniem i tabaką, a więc najwłaściwszym w tym kraju towarem; tu gdzie palą od rana do wieczora i od wieczora do rana, sprzedaż tytoniu musi kolosalne przynosić zyski.

Ale gdzież są owi palacze, nie spotkaliśmy ani jednego, a ja wystawiałem sobie że co krok zobaczą gromadki Turków siedzących przed domami z ogromnymi cybuchami w ustach!... a tu nigdzie ani jednego palącego choćby cygaro, choćby cygaretkę.

Ja sam pojąć tego nie mogę, Brunonie; co prawda nasze rotterdamskie ulice daleko więcej zadymione są tytoniem niż ulice Konstantynopola.

Czy tylko pewny pan jest żeśmy nie zabłądzili, czy rzeczywiście jesteśmy w stolicy Turcyi? Założyłbym się żeśmy przeciwną udali się drogą, że to nie Złoty-Róg ale Tamiza z tysiącem swych statków parowych.

Nie zapędzaj się tak, Brunonie, nie przystoi to rodowitemu Holendrowi, bądź spokojny, cierpliwy, flegmatyczny jak twój pan, i nie dziw się niczemu. Wiesz że opuściliśmy Rotterdam z powodu...

Tak, tak!.. potwierdził Bruno potrząsając głową.

Nie odezwijże się z niczem podobnem w obec przyjaciela mego Kerabana, mógłby się rozgniewać.

Niech pan będzie spokojny, będę się mieć na baczności, ale kiedy już nie można się niczem ochłodzić, toć wolno przynamniej zapalić fajkę?

Mówiąc to nakładał ogromną porcelanową fajkę, i zapaliwszy ją zapałką pociągnął kilka razy z widocznem zadowoleniem. Lecz w tejże chwili ukazało się znów na placu owych dwóch Turków tak narzekających na umartwienia Ramadanu, i ten właśnie który bez skrupułu zapalił cygaretkę, postrzegł Brunona idącego z fajką w ustach.

Na Allacha! zawołał, otóż znów jeden z tych przeklętych cudzoziemców, pozwalających sobie lekceważyć zakaz Koranu. O! tego nie ścierpię!

Zgaśże przynamniej pierw twoją cygaretkę.

Naturalnie.

I rzuciwszy cygaretkę, podszedł wprost do pocziwego Holendra, nie spodziewającego się bynajmniej podobnej zaczepki, i wrywając mu fajkę, zawołał:

Jak usłyszysz wystrzał armatni.

Moja fajka! krzyknął Brunon z gniewem.

Jak usłyszysz wystrzał armatni, psie giaurze.

Tyś sam pies Turek! wrzasnął Brunon.

Uspokój się, Brunonie, rzekł Van Mitten.

To niechże mi przynamniej odda fajkę, odrzekł z gniewem Brunon.

Jak usłyszysz wystrzał, powtórzył Turek po raz trzeci, wsuwając fajkę do kieszeni kaftana.

Chodź, Brunonie, rzekł Van Mitten, nie należy ubliżać zwyczajom krajów które zwiedzamy.

Zwyczajom złodziei?

Chodź, mówię ci; mój przyjaciel Keraban dopiero o siódmej ma przybyć na ten plac; pójdźmy się przejść dalej, wrócimy tu w oznaczonym czasie.

I pociągnął za sobą Brunona, mocno strapionego utratą ulubionej fajki. Gdy się oddalili, Turcy mówili sobie:

Doprawdy ci cudzoziemcy myślą że im wszystko wolno.

Nawet palić przed zachodem słońca!

Chcesz ognia? zapytał pierwszy zapalając cygaro.

I owszem, odrzekł drugi.

Rozdział II

Intendent Scarpante i kapitan Yarhud rozmawiają o zamiarze który poznać warto.

Gdy Van Mitten i Brunon zwrócili się ku wybrzeżu, z po za meczetu Mahmuda wyszedł jakiś Turek i zatrzymał się na placu.

Była godzina szósta. Po raz czwarty dnia tego muezzini wchodzili na balkon minaretów, których nie może być mniej jak cztery w meczetach wznoszonych przez sułtanów. Głosy ich rozlegały się zwolna po nad miastem, zwołując wiernych na modlitwę tą uświęconą formułą: *La Illach il Allah vé Mohammed recoul Allah!* (Nie ma Boga jak Bóg, a Mahomet jest Boga tego prorokiem!)

Turek obejrzał się dokoła, popatrzył na nielicznych przechodniów, poczem z pewnemi oznakami zniecierpliwienia zaglądał w przyległe do placu ulice, chcąc zobaczyć czy ktoś oczekiwany nie nadchodzi.

Czyż ten Yarhud nie przyjdzie! mrucał, wie przecież że czekam go o oznaczonej godzinie?

Przeszedł znów parę razy po placu, i doszedł do kawiarni w której Van Mitten i Brunon nic dostać nie mogli. Zasiadł przy stoliku nic nie żądając od właściciela kawiarni ściśle zachowującego post Ramadanu, gdyż wiedział, że nie nadeszła jeszcze godzina sprzedaży przeróżnych napoi, rozrabianych w dystylarniach otomańskich.

Turek ten był to Scarpante intendent bogacza Saffara zamieszkałego w Trebizondzie, w Anatolii, w owej części Turcyi Azjatyckiej, tworzącej południowe wybrzeże morza Czarnego.

Obecnie magnat Saffar zwiedzał południowe prowincje Rosyi, poczem miał przez Kaukaz powrócić do Trebizondy, nie wątpiąc nawet że intendent jego Scarpant przeprowadzi pomyślnie polecone mu przedsięwzięcie.

Był to człowiek śmiały, zdolny do wszystkiego, choćby do najniebezpieczniejszych czynów, byle zadowolnić wszelkie zachciewki swego pana. I obecnie w podobnym celu przybył do Konstantynopola, i oczekiwał na pewnego kapitana maltańskiego, takiego jak i on niegodziwca.

Kapitan ten nazywający się Yarhud, dowodził statkiem *Guidare*,

żeglującym zwykle po morzu Czarnem. Oprócz przemytnictwa trudnił się ohydniejszym jeszcze handlem, to jest sprzedażą czarnych niewolników z Sudanu, Etyopii, Egiptu, na co rząd turecki dobrowolnie zamyka oczy.

Scarpant niecierpliwił się coraz więcej, a Yarhud nie przychodził.

Czemu ten pies nie przychodzi? mrucał; czy mu co wypadło? Onegdaj musiał opuścić Odessę, powinien więc być przybyć do tej kawiarni o oznaczonej przeze mnie godzinie...

W tejże chwili oczekiwany Yarhud pokazał się na wybrzeżu; spojrzał na prawo i na lewo i zobaczył Scarpanta, który natychmiast wstał i podszedł ku niemu.

Nie mam zwyczaju czekać, Yarhudzie! krzyknął.

Niech mi Scarpant przebaczy, ale zrobiłem co tylko było w mej mocy aby się stawić na wyznaczoną schadzke. Przybywam w tej chwili koleją, pociąg się nieco spóźnił...

Kiedy wyjechałeś z Odessy.

Onegdaj.

A twój statek?

Czeka w porcie odeskim.

A czy możesz liczyć na załogę?

Najzupełniej. Są to także Maltańczycy, całkiem oddani temu co im hojnie płaci.

Dobrze. Jakież przywozisz wiadomości, Yarhudzie?

Złe i dobre zarazem, odrzekł zniżając głos.

Powiedzże najpierw złe.

Złą jest wiadomość że Amazyja, córka bankiera Selisna z Odessy, ma narzeczonego, a zatem porwanie jej stanie się daleko trudniejszym i wymaga większego pośpiechu, mówił zniżając głos.

Co za jeden jest ten narzeczony Amazyji? zapytał Scarpant.

Młody Turek z Konstantynopola, nazwiskiem Ahmet, siostrzeniec i spadkobierca bogatego kupca z Galata, Kerabana.

Czemże handluje ten Keraban?

Tytoniem, i na tym handlu zrobił ogromny majątek.

Nie ma więc chwili czasu do stracenia. Gdzież jest obecnie Ahmet?

W Odessie.

A ów Keraban?

W Konstantynopolu.

Czy znasz tego Ahmeta, Yarhudzie? Cóż to za człowiek?

Młody, ma być bardzo odważny, i niełatwa będzie z nim sprawa.

Czy jest zupełnie niezależnym?

Nie; zależny jest od swego wuja i opiekuna, bogatego Kerabana, który kocha go jak syna, i podobno niedługo ma przybyć do Odessy, aby być na jego weselu.

Czy nie możnaby jakim sposobem opóźnić wyjazdu Kerabana?

Byłoby to nader pożądane, gdyż mielibyśmy więcej czasu, ale jak tego dokazać?

To już twoja rzecz, Yarhudzie, odrzekł Scarpant; pamiętaj tylko że wola pana mego Saffara musi być spełniona, i młoda Amazyja powinna być odstawiona do Trebizondy. Nie pierwszy to już raz *Guidara* opłynie w jego interesie wybrzeża morza Czarnego, wiesz więc jak hojnie płaci za oddane mu usługi.

Ba! wiem to z doświadczenia. Mimo jednak tego radbym wiedzieć, co Saffara skłania do wykonania tak drażliwej i niebezpiecznej awantury?

Powiadają, odrzekł Scarpant, że to wszystko przez zemstę, jaką Saffar przejęty jest zarówno dla Selima jak i Kerabana. Zresztą co nas to obchodzi! Gdy głupi z gniewu wścieka się i wyrzuca pieniądze, dlaczego mędrzy nie ma z tego korzystać?

Zapewne, zapewne, potwierdził Yarhud, ale mówiąc między nami, jeżeli zamierzone małżeństwo utrudnia tę sprawę, to z drugiej strony nastęcza mi sposobność wejścia do domu bankiera Selima. Jestem także i handlującym, mam na statku bogaty zbiór najpiękniejszych matery jedwabnych i przeróżnych przedmiotów mogących łatwo w młodej narzeczonej wzbudzić chęć ich posiadania. Liczę więc na to że uda mi się ściągnąć ją na pokład, i korzystając z tej sposobności, odpłynąć zanim dowiedzą się o porwaniu.

Doskonały pomysł i powinienby się udać, tylko staraj się dokonać tego w największej tajemnicy.

Bądź spokojny, odrzekł Maltańczyk.

Działaj więc niezwłocznie, ale wiele potrzebujesz czasu aby z Odessy przybyć do Trebizondy?

Biorąc w rachubę brak przyjaźnego wiatru i burze miewające miejsce na

morzu Czarnem, żegluga może potrwać trzy tygodnie.

Około tego czasu, będę już w Trebizondzie, a i pan mój także tam przybędzie. Nie zapominaj że rozkazał najsurowiej abyś z tą młodą dziewczyną obchodził się jak z największym uszanowaniem i wysokimi otaczał względami. Pragnie zemścić się ale nie dręczeniem niewinnej dziewczyny.

Spełnię wolę twego pana. Pragnąłbym gorąco żeby mi się powiodło, co wtedy jedynie nastąpi jeżeli znajdzie jaka przeszkoda niedozwalająca Kerabanowi wyjechać niezwłocznie.

Czy znasz tego kupca?

Znam... i nagle zbliżając się do Yarhuda, dodał cicho: O wilku mowa, a wilk tu!

Co takiego.

Czy widzisz tego otyłego mężczyznę wychodzącego z Pera? To Keraban. Odsuńmy się na bok i nie traćmy go z oczu. Wiem iż codziennie odpływa do swej willi w Skutari, jeżeli będzie trzeba udam się drugą stroną Bosforu aby się dowiedzieć kiedy zamierza wyjeżdżać.

Wmieszawszy się w tłumy coraz więcej napływających przechodniów, Scarpant i Yarduh umieścili się tak aby mogli wszystko słyszeć i widzieć, co nie było trudnem gdyż Keraban miał zwyczaj mówić głośno, nie troszcząc się o to wcale że zwraca powszechną uwagę.

Rozdział III

Karaban zadziwił się niewymownie spotkawszy przyjaciela swego Van Mitten'a.

eraban wyglądał z twarzy na lat czterdzieści, z tuszy przynajmniej na pięćdziesiąt, a w rzeczywistości miał czterdzieści pięć. Ruchy miał bardzo poważne, nie zbyt długą, siwiejącą już brodę, czarne, bystre i przenikliwe oczy, podbródek czworograniasty, nos zagięty jak dziób papugi, usta zaciśnięte, za otwarciem których ukazywały się śnieżnej białości zęby; wysokie czoło, środkiem którego rysowała się prostopadle głęboka zmarszka zdradzająca upór charakteru. Wszystko to połączone nadawało mu całkiem odrębną postać, którą raz zobaczywszy zapomnieć nie można było.

Miał na sobie ubiór starych Turków, zachowujących starodawny strój z czasów janczarów: wielki zwężony u dołu a rozszerzony w górze turban; szerokie bufiaste pantaliony, opadające na safianowe papucie, kaftan bez rękawów zdobny wielkimi guzami, pas z bogatego szala i żółtą zwierzchnią suknię, drapującą się okazale. Ubiór ten starodawny, różnił się najzupełniej

od noszonego obecnie przez tak zwanych młodych Turków przejmujących zwyczaje europejskie.

I sługa jego, dwudziesto-siedmio-letni Nizib, nosił strój staro-turecki, jak w niczem tak i w tem nie ważyłby sprzeciwić się panu. Wierny i nieograniczenie oddany panu, nie miał żadnych pojęć ani zdań osobistych.

Obydwaj wchodzili na plac Top-Hane i Keraban swoim zwyczajem rozprawiał głośno, nie troszcząc się czy go kto słyszy czy nie.

Otóż nie! wołał; niech nas Allah ma w swej opiece, ale za czasów janczarów, gdy tylko wieczór zapadł, każdy mógł robić co mu się podobało. Nie! za nic w świecie nie poddam się ich nowym wymysłom policyjnym, i jak mi przyjdzie chęć będę chodził po ulicach bez latarki w ręku, choćbym miał wpaść w dół i rozbić sobie nos, lub zostać szarpanym przez włóczęce się psy.

Włóczęce się psy!... powtórzył Nizib.

I nie męcz mnie daremnie twemi niedorzecznymi namowami, bo, przez Mahometa! tak wyciągnę twoje uszy że ich wielkości będą ci mogli pozazdrościć sam oślarz i jego osieł.

Oślarz i jego osieł... powtórzył Nizib, który, jak łatwo się domyśleć, nie namawiał pana do niczego.

I jeśli naczelnik policyi skaże mnie na karę pieniężną, to ją zapłacę ale nie ustąpię! wołał uparciuch. Jeśli każe wziąć mnie do kozy, ale nic i w niczem nie ustąpię!

Tym razem, Nizib skinął tylko potwierdzająco głową: gdyby do tego przyszło, gotów był iść z panem do więzienia.

A! panowie nowi Turcy! wołał spostrzegłszy przechodzących kilku Konstantynopolitańczyków przybranych w długie surduty i czerwone fezy, a! chcielibyście narzucać nam prawa, sponiewierać dawne nasze obyczaje i zwyczaje... nic z tego! Nie zgodzę się na to do ostatniej chwili życia... Nizib, czy powiedziałaś memu kademu aby oczekiwał z kaikiem o godzinie siódmej?

Tak, panie!

Więc czemuż nie ma go jeszcze?

Nie wiem panie, odrzekł Nizib.

Niedołęgo! Czyż nie wiesz że jeszcze nie ma siódmej.

A tak nie ma jeszcze siódmej.

Skądże wiesz o tem?

Wiem, bo pan mój tak mówi.

A gdybym powiedział że jest godzina piąta?

Byłaby godzina piąta, odpowiedział Nizib.

Przez Mahometa! trudno być większym głupcem.

Tak, panie, potwierdził wierny sługa.

Ha! mruknął Keraban, ten wiecznym potakiwaniem, gamoń ten rozłościł mnie nareszcie!

W tejże chwili Van Mitten i Brunon znowu powrócili na plac, a że wieczór zapadł i słońce kryło się po za wyżyny starego Stambułu, dlatego Van Mitten nie poznał mijającego się z nim Kerabana, który zmierzał ku wybrzeżu Galata. Ponieważ szli w przeciwnym kierunku spotkali się z sobą a pragnąc ominąć się zwracali się raz na prawo to znów na lewo.

Ależ panie, ja chcę przejść i przejdę! krzyknął Keraban, nie mający zwyczaju ustępować komukolwiek.

Owszem... odrzekł Van Mitten, próbując usunąć mu się grzecznie.

Przejdę choćby nie wiedzieć co...

Ależ... odrzekł znów Van Mitten – aż nagle poznając z kim ma do czynienia, zawołał:

Ach! mój przyjaciel Keraban!

A!.. to ty!.. ty!.. Van Mitten!.. zawołał zdziwiony niewymownie Keraban; ty!.. tu!.. w Konstantynopolu?...

Ja, w mej własnej osobie.

Kiedyż przyjechałeś?

Dziś rano, przyjacielu Kerabanie.

I nie do mnie skierowałeś pierwsze twoje kroki?

Owszem, przyjacielu, odrzekł Holender. Poszedłem wprost do twego kantoru, ale nie zastałem cię już, i powiedziano mi że o siódmej będziesz na tym placu.

Prawdę powiedzieli, kochany Van Mitten! zawołał Kaeraban. Nigdy nie spodziewałem się zobaczyć cię w Konstantynopolu... Dlaczego nie uprzedziłeś mnie?

Tak nagle opuściłem Rotterdam...

Jakiś ważny interes?

Nie... odjazd... dla przyjemności! Nie znałem ani Konstantynopola ani Turcyi, a potem chciałem ci się odwzajemnić za odwiedzenie mie w Rotterdamie.

Jak to dobrze z twojej strony... Ale nie widzę pani Van Mitten?

Bo została w domu, odrzekł, żona moja nie lubi wyjeżdżać, i dlatego przyjechałem tylko z moim służącym Brunonem.

Z tym oto tam, zawołał Keraban, ręką wskazując Brunona, który uznał za stosowne, skłonić mu się po turecku, to jest obie ręce podnieść do kapelusza.

Wystaw sobie, przyjacielu Kerabanie, Brunon chciał opuścić mnie i odjechać, tak posępną, pustą i nie wesołą wydała mu się stolica cesarstwa otomańskiego.

Chciał odjechać nie prosząc mnie o pozwolenie! zawołał Keraban marszcząc brwi.

Ależ bo miasto to wygląda jak cmentarz, rzekł Brunon. Sklepy puste... nie widać ani jednego powozu... po ulicach przesuwają się tylko jakby cienie, a co gorsza cienie te kradną fajki.

Bo teraz Ramazan, kochany Van Mitten, powiedział Keraban.

Aha! teraz Ramazan, rozumiem, zawołał Brunon... ale, jeśli łaska, powiedz mi pan co to jest Ramazan?

Czas postu i umartwień, rzekł Keraban. Przez czas jego trwania, od wschodu do zachodu słońca nie wolno jeść, pić ani palić. Ale za pół godziny, gdy wystrzał armatni zwiastuje koniec dnia...

A! teraz rozumiem, dlaczego wszyscy gadali mi o wystrzałach z armaty! zawołał Brunon.

Ale jak tylko słońce zajdzie, zobaczysz kochany Van Mitten, jaka czarodziejska zajdzie zmiana, mówił Keraban. Obumarłe miasto, ożyje nagle. Oho! panowie nowi Turcy nie zdolali jeszcze niemądrymi swymi nowościami, wyrugować starodawnych naszych zwyczajów. Niech ich Mahomet wydusi.

Widzę, przyjacielu Kerabanie, że pozostajesz wiernym starodawnym obyczajom.

Nie dość powiedzieć że pozostałem wiernym, bo trzymam się ich uparcie. Ale, wszak kilka dni zabawisz w Konstantynopolu?

Tak... a nawet...

Doskonale!.. przez cały czas pobytu do mnie wyłącznie należysz... nie opuścisz mnie ani na chwilę... jesteś moją własnością.

Zgoda, kochany przyjacielu, odpowiedział Van Mitten.

Ty, Nizibie, zajmij się Brunonem; rozkazuję ci abyś go zniewolił zmienić zdanie o prześlicznej naszej stolicy.

Spełniając rozkaz, Nizib wciągnął Brunona w tłum coraz liczniej plac zapełniający.

A wiesz co kochany przyjacielu, mówił Keraban, w sam czas przyjechałeś; za sześć tygodni już byś mnie nie zastał w Konstantynopolu. Mam wyjechać do Odessy... ale prawda, jeżeli będziesz tu jeszcze, dlaczego nie miałbyś jechać ze mną?

Kiedy bo...

Mówię ci że pojedziesz! zawołał Keraban.

Zamyślałem odpocząć tu po znużeniu podróży.

Dobrze, więc odpocznesz sobie tu, a potem przez jakie trzy tygodnie będziesz odpoczywać znów w Odessie.

Przyjacielu Kerabanie...

Ale to już postanowione! przerwał Keraban, Przecież za ledwie przyjechawszy nie zechcesz robić mi na przekór? Wiesz, iż mając słuszość, nie lubię robić ustępstw.

Tak... wiem o tem, przyjacielu Kerabanie.

A potem, trzeba przecież żebyś poznał siostrzeńca mego Ahmeta. Uważam go jak syna, gdyż nie mam własnych dzieci.

To szkoda!

Więc tedy w Odessie poznasz Ahmeta; dziarski chłopiec! powiadam ci: trochę artysta, trochę poeta, tylko co prawda nie cierpi handlu, w czem wcale niepodobny do mnie. Pojedziemy więc do Odessy na jego wesele.

Więc się żeni?

Tak z Amazją, córką bankiera Selima, zarówno jak ja prawdziwego Turka. Uroczystość obchodzona będzie bardzo świetnie i wystawnie.

Kochany Kerabanie, wołałbym...

Sądzę że nie masz zamiaru sprzeciwić mi się? rzekł ostro Keraban.

Choćbym chciał...

Tobyś nie mógł, dodał Keraban.

W tej chwili Yarhud i Scarpant przysunęli się bliżej i słyszeli jak Keraban mówił do przyjaciela.

Tak więc stanęło na tem, że najdalej za sześć tygodni obydwa wyjeżdżamy do Odessy.

A wesele odbędzie się?.. zapytał Van Mitten.

Zaraz jak przyjedziemy, odpowiedział Keraban.

Yarhud pochylił się do ucha Scarpanta, mówiąc cicho:

Sześć tygodni, mamy dość czasu.

I nie opuszczając swego stanowiska, podsłuchiwali i podglądali dalej, a Keraban mówił jeszcze.

Przyjaciel mój Selim któremu zawsze pilno, i niecierpliwszy od niego Ahmet, chcieli aby małżeństwo niezwłocznie zostało zawarte, w czym co prawda mają zupełnie słuszny powód. Trzeba koniecznie aby Amazyja poszła za mąż przed skończeniem lat ośmnastu, bo straciłaby znaczną sumę którą z tym warunkiem zapisała jej stara dziwaczka ciotka. Lecz ponieważ za sześć tygodni zacznie rok ośmnasty, napisałem więc im że nic nie nagli, i dość czasu odbyć wesele przed końcem przyszłego miesiąca.

I zgodzili się na to?

A jakże; Ahmet tylko się niecierpliwi, ale darmo, musi słuchać. Co do mnie, nie puszcze cię już, mój przyjacielu. Kaikiem moim przepłyniemy Bosfor i będziem obiadować w mojej willi w Skutari. Zobacysz jakie to śliczne mieszkanie; pałacyk stoi na wzgórzu otoczony cyprysami, a widok z niego na Bosfor i Konstantynopol. O! prawdziwa Turcja jest tam, na brzegu azyatyckim; tu to Europa, tam Azja! tam nie prędko nasi surdutowi postępowicze przeprowadzą swoje nowości: potoną wprzód w Bosforze zanim tam dopłyną. Ale gdzież Nizib? dodał oglądając się i wołając:

Nizib!... Nizib!...

Nizib przechadzał się z Brunonem, na wołanie Kerabana obaj przybiegli.

Czemu Kaïdzi nie przyplął z kaikiem? zapytał Keraban.

Z kaikiem, powtórzył Nizib.

Nie minie go bastonada; każę wyliczyć mu sto batów.

Oh! zawołał Van Mitten.

Pięćset! wołał Keraban.

Oh! zawołał Brunon.

Jak będziecie mi przeczyc, dostanie tysiãc.

Panie mój, rzekł Nizib, spostrzegam twego Kaïdziego, opłynął Szczyt Seraju i dopłynie tu za kilka minut.

Keraban ujął pod rękę Van Mittena, a Yarhud i Scarpant stojąc w

pobliżu nie spuszczała z nich oczu.

Rozdział IV

Keraban najupartszy z upartych stawia się hardo władzom otomańskim.

Kadzi przybył zawiadomić pana swego że kaik jego oczekuje w porcie.

Kaików takich uwija się tysiące po wodach Bosforu i Złotego Rogu. Są to łodzie dwu-wiosłowe, ostro zakończone z obu stron aby można było kierować nimi w podwójnym kierunku. Mają kształt łóżw piętnaście po dwudziestu stóp długich, zbudowane są z drzewa bukszpanowego lub cyprysowego, a wewnątrz rzeźbione lub malowane. Szybko i nader zręcznie łodzie te płyną, krzyżują się i wymijają w pięknej cieśninie oddzielającej wybrzeża dwóch lądów.

Keraban z Van Mittenem a za nimi Brunon i Nizib skierowali swe kroki ku statkowi, gdy dał się widzieć ruch jakiś w tłumie zalegającym Top-Hane. Keraban zatrzymał się, pytając:

Co się tam stało?

W tejże chwili wchodził na plac naczelnik policji przedmieścia Galata, otoczony strażą. Przed nimi szedł doboz z bębniem i trębacz; jeden uderzył w bęben, drugi zatrąbił i powoli nastąpiła cisza.

Zapewne znów jakie niemądre postanowienie, za mruczał Keraban, tonem człowieka umiającego zawsze i wszędzie bronić praw swoich.

Naczelnik policji rozwinął papier z urzędowymi pieczęciami, i odczytał głośno następujące postanowienie.

„Z rozkazu Muszyra przewodniczącego w Radzie policyjnej, od dnia dzisiejszego nakłada się podatek dziesięć parasów, na każdego przepływającego Bosfor, czy to z Konstantynopola do Skutari, czy ze Skutari do Konstantynopola, bez względu czy płynąć będzie kaikiem, czy jakim bądź statkiem parowym lub żaglowcem. Każdy odmawiający opłaty tego podatku, ulegnie karze pieniężnej lub więzieniu.

Dan w pałacu, 10 miesiąca Szaabanu.

„Podpisano: Muszyr.”

Szmer niezadowolnienia powitał nowy ten podatek, wynoszący nie całe trzy grosze.

Znów nowy haracz! zawołał stary jakiś Turek, który powinien był przecie oswoić się z finansowymi wymaganiami Padiszaha.

Dziesięć parasów! cena pół filiżanki kawy! rzekł inny.

Naczelnik ogłosiwszy rozkaz, chciał pójść dalej, gdy w tem Keraban zbliżył się do niego.

Tak więc, rzekł, nowy znów podatek dotknie przepływających Bosfor?

Taki jest rozkaz Muszyra.

A postanowienie to kiedy wchodzi w wykonanie?

Od chwili ogłoszenia.

Więc jeźlibym, jak to mam zwyczaj codziennie, dziś wieczorem udał się do Skutari...

Zapłaci pan dziesięć parasów.

Tak pan sądzi? zapytał Keraban i skrzyżowawszy ręce na piersiach, popatrzył śmiało w oczy naczelnikowi policyi, mówiąc dalej głosem zdradzającym gniewne rozdrażnienie. Kaik mój oczekuje na mnie, a ponieważ zabieram z sobą przyjaciela Van Mitten'a, oraz mego i jego służącego...

Więc razem zapłacisz pan 40 parasów – ale cóż to dla niego znaczy?

Nie o to chodzi czy mi co znaczy zapłacić 40 parasów, czy choćby sto, tysiąc, czy sto tysięcy, czy pięćkroć. Dość że odpłynę i nie zapłacę.

Przykro mi że muszę sprzeciwić się panu Kerabanowi, ale powtarzam że nie dostaniesz się do Skutari, nie zapłaciwszy podatku.

Otóż dostanę się! krzyczał.

Nie!

Tak, mówię!

Przyjacielu Kerabanie... zaczął Van Mitten chcąc go odciągnąć.

Dajże mi pokój, odrzekł gniewnie. Podatek ten jest niesłuszny, któremu poddawać się nie należy! O! nigdy, przenigdy rząd Starych Turków nie byłby obciążał podatkiem kaików Bosforu.

Być może, ale rząd nowych Turków, potrzebując pieniędzy, nie waha się tego uczynić, odrzekł naczelnik policyi.

Zobaczmy! krzyknął Keraban.

Żołnierze! zawołał naczelnik policyi do towarzyszącej mu straży, rozkazuję wam czuwać nad wykonaniem nowego postanowienia.

Chodź, Van Mitten, zawołał Keraban, Nizibie, Brunonie, idźcie za nami!

Lecz jak tylko zwrócił się ku zejściu do portu, żołnierze zagrodzili mu drogę i musiał się zatrzymać.

Z drogi! krzyknął; przez Allaha! przejdę i nie dam ani parasa.

Pójdiesz pan, ale do więzienia! i nie wyjdiesz z niego póki nie zapłacisz wysokiej kary pieniężnej! krzyknął zniecierpliwiony nareszcie naczelnik policyi.

Udam się do Skutari! wrzeszczał Keraban.

Nic z tego! bez zapłaty podatku nie przepłyniesz Bosforu, a do Skutari niepodobna dostać się inaczej...

Tak sądzisz? odparł Keraban zacisnąwszy pięście, czerwony jak burak, otóż mówię ci, że nie przepłynę Bosforu, nie zapłacę i będę w Skutari!

Doprawdy?

Tak, choćbym miał... choćbym miał opłynąć morze Czarne.

Odbyć siedemset mil drogi aby nie zapłacić dziesięciu parasów! zawołał naczelnik policyi wzruszając ramionami.

Wolę przebyć tysiąc, dziesięć tysięcy, sto-tysięcy mil, niżli zapłacić niesłusznie choćby jeden, choćby pół parasa.

Ależ mój przyjacielu... wtrącił Van Mitten.

Dajże mi pokój! krzyknął Keraban.

Dobrego piwa sobie nawarzył, rzekł Brunon do Niziba.

Przejadę przez Turcyę, Chersones, Kaukaz, Anatolię i przybędę do Skutari, nie opłaciwszy ani parasa waszego niecnego podatku.

Zobaczymy! odrzekł z szyderskim uśmiechem naczelnik policyi.

Nie zaczekasz pan na to długo, krzyczał Keraban rozłoszczony do najwyższego stopnia, wyjadę dziś wieczorem.

Ależ, przyjacielu Kerabanie... odezwał się znów Van Mitten pragnący odwieść go od tak szalonego zamiaru, cóż będzie z weselem siostrzeńca twego Ahmeta?

Właśnie mi teraz wesele w głowie, oburknął się Keraban.

Scarpant szepnął Yarhudowi:

Chodź nie mamy godziny do stracenia.

Rzeczywiście, odrzekł Maltańczyk; jutro pierwszym rannym pociągiem kolei adryanopolskiej jadę do Odessy.

I obydwaj odeszli. Jednocześnie Keraban zwrócił się nagle do swego sługi.

Nizib!

Słucham, panie.

Pójdź za mną do kantoru, chodź i ty Van Mitten, i ty Brunonie, jedziemy razem.

Co? zapytali oba z największym zdziwieniem.

Nie inaczej. Zaprosiłem cię, przyjacielu, na obiad do Skutari, więc, przez Mahometa będziesz obiadował tam ze mną... za powrotem.

Jakże to prędko nastąpi? zapytał zdziwiony Van Mitten.

Za miesiąc, za rok, za dziesięć – mniejsza o to! przyjąłeś zaproszenie na obiad musisz zjeść go ze mną, odrzekł głosem nie dopuszczającym zaprzeczenia.

Pozwól, przyjacielu Kerabanie...

Nie, Van Mitten, nic nie pozwalam. I to powiedziawszy zwrócił się ku placowi.

Djabeł nie człowiek! rzekł Van Mitten do Brunona, niepodobna mu się oprzeć.

Jakto, ulegniemy dziwactwu tego upartego fantastyka?

Podobno to nastąpi, bo mniejsza gdzie będę, tu czy gdzie indziej, byle nie w Rotterdamie, odpowiedział.

Ależ panie...

A skoro ja towarzyszę memu przyjacielowi, i ty musisz jechać, Brunonie.

Masz tobie! odpowiedział.

No, chodźmy! zawołał Keraban, a zwracając się do naczelnika policji spoglądającego na niego z drwiącym uśmiechem, dodał:

Wyjeżdżam dziś jeszcze, i na przekór wszelkim waszym postanowieniom dostanę się do Skutari nie przepływając Bosforu, nie płacąc wam ani jednego parasa.

Szcześliwej drogi! bardzo bym pragnął widzieć pana wracającego z tak ciekawej podróży, rzekł mu naczelnik policji.

Wielkąby mi to sprawiło przyjemność spotkać tu pana gdy powrócę, odrzekł Keraban.

Muszę jednak uprzedzić, iż jeśli opłata będzie jeszcze obowiązującą, nie pozwolę panu przepłynąć Bosforu aby wrócić do Konstantynopola, jak tylko za uiszczeniem po dziesięć parasów od osoby, rzekł naczelnik policyi.

Jeśli ta niesłuszna opłata nie będzie zniesioną, potrafię wrócić do Konstantynopola, nie dawszy wam ani jednego parasu, odrzekł Keraban.

To powiedziawszy wziął pod rękę Van Mitten'a, skinął na Niziba i Brunona aby szli za nimi, i znikli w tłumie przyklaskującym głośno temu stronnikowi starych Turków, tak zawzięcie broniącemu praw swoich.

W tejże chwili rozległ się wystrzał armatni; słońce zaszło pod horyzont morza Marmora, skończył się post Ramazanu, wierni poddani Padszaha mogli wynagrodzić sobie długi dzień umartwień.

Cały Konstantynopol zmienił się jak scena w teatrze. Głośne śmiechy i okrzyki radości, zastąpiły ciszę zalegającą dotąd Top-Hane; w mgnieniu oka pozapalano fajki, cygaretki, nargile, woń ich i dym rozchodziły się w powietrzu. Kawiarnie zapełniły się głodnymi i spragnionymi gośćmi; ulubione na Wschodzie potrawy pojawiły się na stołach i wystawach sklepowych, a małe lampki przytwierdzone do miedzianych drutów, podnosiły się w górę i opuszczały na dół, poruszane ręką właścicieli kawiarni.

Stare miasto i nowe dzielnice świetnym zajaśniały blaskiem. Meczety: Św. Zofii, Suleimana, Sułtana Ahmeta, wszystkie gmachy religijne i świeckie błyszcząły różnokolorowymi ogniami. Od jednego do drugiego minaretu, ciągnęły się illuminowane ustępy z koranu, jakby kreśląc jego zasady na ciemnym tle nieba. Przesuwające się po Bosforze kaiki z płonącymi lampkami, które fale poruszały nieustannie, migotały fantastycznie tak iż zdawać się mogło iż gwiazdy ze sklepienia niebios spadły w jego łóżysko. Wznoszące się na wybrzeżach pałace, wille stojące od strony Azji i Europy, Skutari, dawne Chryzopolis i jego amfiteatr, piętrzące się domy, przedstawiały jakby rzędy ogni, których blask podwajał się przez odbicie w wodzie.

Zdaleka dochodziły odgłosy tamborin, gitar, taburek, fletów, rebelów, połączone ze śpiewaniem psalmów wieczornych, a z wyżyn minaretów przeciągły głos muezinów rzucał rozbawionemu miastu ostatnie wezwanie do wieczornej modlitwy, składające się z jednego wyrazu tureckiego i dwóch arabskich: „*Allah, hoekk kebir!*” (Bóg jest wielki!)

Rozdział V

Pan Keraban wypowiada swój pogląd na podróżę i opuszcza Konstantynopol.

Ponieważ Keraban zamierzał okrążyć morze Czarne, musiał więc najpierw przebyć wybrzeża Rumelii, Bułgarii i Rumunii, ahy dostać się do

granicy rosyjskiej. Ztamąd należało przejechać Besarabię, Chersones, Taurydę, Kaukaz, okrążyć północne i wschodnie wybrzeża starego Pontus-Euxinus, aż do granicy oddzielającej Rosyją od cesarstwa Otomańskiego. Nakoniec wybrzeżami Anatolii na południe morza Czarnego, najupartszy z Osmanlisów dostałby się do Bosforu i Skutari nie opłacając nowego podatku.

Taka podróż obejmowała 650 „agacz” tureckich, czyli 2800 kilometrów, a licząc na mile tureckie, to jest na odległość jaką koń pociągowy zwykłą jazdą przebyć może w godzinę, stanowiło to odległość 700 mil 25-stopniowych. Był to 17 sierpnia (szabanu) zatem do 30 września (ramazanu) pozostawało 45 dni; tak więc chcąc wrócić na tenże dzień, trzeba było odbywać po 15 mil na każde dwadzieścia cztery godzin, gdyż w przeciwnym razie Amazyja straciłaby prawo do spadku po ciotce. Bądź co bądź Keraban i gość jego nie mogli zasiaść do obiadu w willi w Skutari, przed upływem 45 dni.

Jednakże korzystając z różnych istniejących na tej przestrzeni kolei żelaznych, możnaby zyskać na czasie i skrócić sobie drogę.

Ale ani marzyć nie można było aby ktoś zdołał namówić Kerabana do zajęcia miejsca w wagonie kolei, a tem samem uznania dobrodziejstw tegoczesnego przemysłu i postępu, przeciw któremu on, Stary Turek, od lat czterdziestu walczył tak zawzięcie. Wolałby raczej całą tę drogę odbyć piechotą, niż zaprzestać powstawać przeciw użyteczności wszelkich wynalazków europejskich.

To też gdy wieczorem, przybywszy do kantoru jego w Galata, Van Mitten nadmienił mu o kolejach otomańskich i rosyjskich, wzruszył ramionami i słuchać nawet o nich nie chciał. Zdobywszy się na odwagę, Van Mitten próbował go przekonać – daremnie.

Kiedy raz powiedziałem że nie, to nie! krzyknął Keraban. Zresztą jesteś moim gościem, należysz do mnie, powinienem więc myśleć i mieć staranie o tobie, a ty poddać się i słuchać.

Niechże i tak będzie, odrzekł Holender; nie mówmy więc o kolejach, ale jest bardzo prosty środek dostania się do Skutari, nie przepływając Bosforu i nie okrążając morza Czarnego.

Naprzykład? odpowiedział marszcząc brwi; jeżeli dobry, zgodzę się, jeśli zły odtrącę.

Doskonały, rzekł Van Mitten.

Więc mów prędko; nie mamy czasu do stracenia, trzeba się zająć przygotowaniem do podróży.

Otóż, przyjacielu Kerabanie, udajmy się do najbliższego od Konstantynopola portu na morzu Czarnem, tam wynajmiemy statek parowy...

Statek parowy! krzyknął Keraban, którego sama nazwa „statek parowy” doprowadzała do wściekłości.

No! nie parowy... prosty żaglowiec, szebek, tartan, karawell, jaki zechcesz, dopłyniemy nim do jednego z portów Anatolii, na przykład do Kirpih, a zamtąd już spokojnie łądem dostaniemy się do Skutari, i przez drwiny wypijemy zdrowie Muszyra.

Keraban nie przerywał przyjacielowi i tenże mógł przypuszczać że zgadza się na jego propozycję, zresztą bardzo rozsądną i zadośćczyniącą jego miłości własnej; lecz słuchając jej oczy upartego Turka zaiskrzyły się, palce rąk kurczyły i rozkładały, i nareszcie zacisnął pięście w sposób dość groźny, jakby powiedział Nizib.

Tak więc radzisz mi abym unikając przepłynięcia Bosforu, puścił się statkiem na morze Czarne? rzekł surowo.

Zdaje mi się że wypłatałbyś im dobrego figla, odrzekł Van Mitten.

A czy słyszałeś kiedy o pewnej chorobie zwanej chorobą morską?

Któż nie wie o niej.

Pewnie sam nigdy na nią nie cierpiałeś?

Masz słuszność; ale ta żegluga trwa tak krótko...

Tak krótko! wszak zdaje mi się powiedziałeś „tak krótko”?

Nie całe sześćdziesiąt mil, odpowiedział Van Mitten.

A choćby było pięćdziesiąt, dwadzieścia, dziesięć, pięć, choćby nawet jedna tylko, i tego dla mnie za wiele, odpowiedział unosząc się Keraban. Czy znasz Bosfor?

Naturalnie że znam.

Wszak pod Skutari ma zaledwie pół mili szerokości?

Rzeczywiście.

Otóż aby tylko najłżejszy wiatr się podniósł, gdy go przepływam w moim kaiku, dostaję morskiej choroby. I dostałbym jej choćby na stawie, choćby w wannie, czyż więc odważysz się jeszcze doradzać mi podróż wodną, czy to szebekiem, tartaną, karawellą, lub innym jakim podobnie zgubnym wymysłem?

Ma się rozumieć że poczciwy Holender już ani pisnął, i nie wspomniano już o morskiej podróży. Ale jakże odbyć zamierzoną drogę?

W właściwej Turcyi, komunikacja jest bardzo trudną, przecież nie zupełnie niemożliwą. Na zwykłych drogach są stacje pocztowe, i nic nie przeszkadza podróżnemu jechać konno, ze swoją służbą, prowiantami i przewodnikiem, albo też trzymać się kuryera odbywającego służbę pocztową; lecz że ten obowiązany jest pędzić i nie zatrzymywać się nigdzie, podróż zatem jest nadzwyczaj męcząca, prawie niemożliwa, dla nienawykłego do

niej. To też łatwo pojąć że Keraban nie zamierzał tym sposobem okrążyć morza Czarnego. Chciał jechać prędko, ale wygodnie.

A więc, zapytał po chwili przygotowany na wszystko Van Mitten, skoro nie mamy jechać koleją ani płynąć statkiem, w jakiż sposób odbędziemy podróż, przyjacielu Kerabanie?

Własnym powozem? odpowiedział.

Czy i swemi końmi?

Nie, końmi pocztowymi.

Jeżeli będą do wzięcia przez całą drogę.

Znajdą się, odrzekł Keraban.

Ależ będzie cię to kosztować bajeczne sumy.

Niech kosztuje co chce, odpowiedział zniecierpliwiony.

Co najmniej tysiąc, a może i tysiąc pięćset liwrów tureckich.¹

A choćy i milion! krzyknął; czy nareszcie skończyłeś już wynajdywać zarzuty i trudności?

Tak, odrzekł Holender, skończyłem.

Przecież!

Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, że Van Mitten nie śmiał żadnych już czynić przełożeń, nadmienił tylko delikatnie: iż wprawdzie kazał przysłać sobie z Rotterdamu znaczną sumę, którą zamierza złożyć w banku Konstantynopolskim, ale przy sobie nie ma dość pieniędzy na tak kosztowną podróż, że więc...

Keraban nie dozwolił mu skończyć, mówiąc że koszta podróży nic go nie mogą obchodzić ponieważ jest jego gościem, a on nie ma zwyczaju kazać sobie płacić zaproszonym gościom, etc, etc.

Gdyby nie to że bogacz z Galata posiadał stary, wyprobowany już powóz z fabryki angielskiej, musiałby chyba odbyć trudną tę i daleką podróż, turecką arabą zaprzężoną w woły. Ale w wozowni jego stał doskonale utrzymany ów powóz, którym odbył już drogę do Rotterdamu. Był urządony na trzech już podróżnych. Na przodzie między resorami było miejsce na wielki kufer i pakunki; po za pudłem był drugi duży kufer, a po nad nim kabriolet z wygodnym miejscem na dwóch służących. Ponieważ pocztylioni powożą z konia, więc nie było kozła. Była to landara starego fasonu, wyglądająca dość śmiesznie dla obeznanych z tegoczesnymi powozami, ale nader trwała i mocna, mogąca wytrzymać najgorsze drogi.

Keraban i Van Mitten mogli usadowić się wygodnie w głębi oszklonego powozu, a Brunon i Nizib w kabrioletcie, opatrzonym szybami i fartuchem.

Przystąpiono niezwłocznie do przygotowań podróży. Wprawdzie Keraban nie mógł wyjechać tegoż wieczora, jak to powiedział w zapale sprzeczki, ale pragnął przynajmniej nazajutrz równo ze światem opuścić Konstantynopol.

Tak więc jedna noc tylko pozostawała na wybranie się w długą podróż i uregulowanie interesów. Przywołano pracowników kantoru w chwili gdy wygłodzeni postem, mieli właśnie powetować go sobie w jakiejś garkuchni, a i Nizib, w takich razach był tak czynny i sprytny, iż za trzech mógł starczyć.

Brunon powrócił do *Hotelu Peszteńskiego* stojącego w Pera, przy ulicy Wielkiej, gdzie stanęli przyjechawszy, aby zająć się przeniesieniem do kantoru pakunków pana i swoich; sam Van Mitten, widząc że Keraban nie spuszcza z niego oczu, nie śmiał się oddalić.

Więc stanowczo już pan jedzie, zapytał go Brunon odchodząc.

A cóż nam robić! to szatan nie człowiek, odpowiedział Van Mitten.

I mamy objechać morze Czarne?

Tak, jeśli przyjaciel mój Keraban nie zmieni zamiaru, ale to nieprawdopodobne.

Widziałem na jarmarkach kuglarzy pokazujących drewniane głowy Turków, ale żadna nie była tak twarda jak tego pańskiego przyjaciela, rzekł Brunon.

Słuszne porównanie choć nie bardzo grzeczne.

A ja, proszę pana, cieszyłem się że sobie odpocznę w Konstantynopolu, a tu znów nieprzewidziana podróż...

Nie jest to podróż, Brunonie, to tylko przyjaciel mój Keraban, inną niż zwykle drogą wraca do domu.

Wyłomaczenie to nie uspokoiło jakoś Brunona; nie lubił zmieniać miejsca pobytu, a oto przez całe tygodnie a może i miesiące miał przebywać różne kraje których wcale nie był ciekawy poznać, i może narazić się na niewygodę i niebezpieczeństwa, czego wcale nie pragnął. To też z płacziwą miną przekładał panu aby zaniechał tej podróży, kończąc przerażającą przepowiednią:

Zobaczy pan że spotka go jakie nieszczęście!

Brunon udał się do hotelu i za parę godzin powrócił z tragarzami, którzy na plecach przenieśli pakunki. Ustawiono je w dziedzińcu dla upakowania w powozie wytoczonym już z wozowni.

Jednocześnie Keraban porządkował interesa, wydawał rozporządzenia, sprawdzał stan kasy, napisał kilka listów, i polecił zabrać znaczny zapas żywności, nie zapominając także o broni, aby być przygotowanymi na wszelki wypadek. Zamówione konie pocztowe miały być przyprowadzone równo ze świtem, godziny zaś oczekiwania do świtu, przeznaczano na wieczerzę i

krótki odpoczynek, a gdy Keraban dał znak wstawania, wszyscy zerwali się i ubrali w jednej chwili.

Powóz upakowany i zaprzężony oczekiwał na podróżnych. Keraban powtórzył niektóre rozporządzenia pracownikom kantoru i wskazał Van Mitten'owi otwarte drzwiczki powozu. Gdy ten zajął miejsce po lewej stronie, Keraban siadł po prawej, a Brunon i Nizib weszli do kabrioletu.

Ah! mój list! zawołał Keraban w chwili gdy już powóz miał ruszyć, i spuszczać szybko, skinął na jednego z podwładnych, rozkazując aby zaraz rano oddał go na pocztę. Był to list do kucharza, zawarty w tych słowach:

Obiad odłożony do mego powrotu – niech będzie wytworny i nieprzeznaczony.

Powóz ruszył; minął ulice przedmieścia, przebył Złoty-Róg mostem Sułtanka-Walidy, i wyjechał przez nową bramę, Jeni-Kapussi. Keraban puścił się w drogę, niech go Allah strzeże!

Rozdział VI

Nasi podróżni zaczynają doznawać pewnych trudności, szczególnie w delcie Dunaju.

Pod względem administracyjnym Turcja europejska podzielona jest na wilajety, gubernatorstwa, administrowane przez „walego” czyli gubernatora jeneralnego; wilajety znów dzielą się na „sandzaki” czyli obwody, rządzone przez „mustesarifa” na „kazasy” czyli kantony administrowane przez „kaimakanów” nahije czyli gminy które zarządza „mudir” czyli wójt wybieralny. Ale z temi wszystkimi władzami Keraban prawie nie potrzebował mieć żadnych stosunków przejeżdżając wilajety Rumelii, przez które ciągnie się droga wiodąca z Konstantynopola do granicy. Droga ta była najbliższą wybrzeży morza Czarnego i przez to o ile było możebnem skracała podróż.

Czas był prześliczny, ochładzał powietrze wietrzyk wiejący od morza, mogący bez przeszkody latać po tym płaskim kraju. Dokoła roztaczały się wielkie łąny kukurydzy, jęczmienia i żyta, oraz piękne winnice utrzymujące się dobrze w południowych częściach cesarstwa ottomańskiego. Po za niemi wznosiły się piękne lasy dębowe, jodłowe, bukowe, brzoźowe, dalej rozrzucone tu i owdzie kępy platanów, laurów, fig, karubii, a w miejscowościach bliższych morza drzewa granatowe i oliwne i inne właściwe takiemże szerokościom niższej Europy.

Wyjechawszy bramą Jeni udali się drogą wiodącą z Konstantynopola do Szumli, a ztamtąd przez Kirk-Kilisse do Adrianopola, tej drugiej stolicy Turcji europejskiej. Gdy przejeżdżali około kolei żelaznej, pociąg właśnie przechodził, i jeden z podróżnych wyglądających z wagonu zobaczył powóz Kerabana ciągniony przez dzielne rumaki. Był to kapitan Yarhud jadący do Odessy, gdzie dzięki szybkości kolei, będzie mógł stanąć daleko prędzej niż wuj młodego Ahmeta.

Zobaczywszy pociąg pędzony siłą pary, Van Mitten nie mógł się powstrzymać aby nie wskazać go Kerabanowi, mówiąc:

Eh! przyjacielu, jadąc koleją przejeżdża się prędko.

Jeżeli się dojedzie, odpowiedział Keraban wzruszając ramionami.

W pierwszym dniu podróży nie stracili ani godziny czasu. Pieniądze usuwały wszelkie trudności na stacjach pocztowych, konie i pocztylioni pędzili chętnie z podróżnym płacącym tak hojnie.

Dnia 12 sierpnia późnym już bardzo wieczorem, przybyli do Burgaz i musieli przenocować w tak zwanym „kani” bardzo nędznym zajeździe, gdzie spali daleko niewygodniej niż w powozie. Dnia 13 dojechali do Bulgaryi, na południe po za Dobruczę, u stóp łańcucha Bałkanów. Tu już droga wielkie nastroczała trudności, ciągnąc się to przez bagniste doliny, to przez lasy roślin wodnych tak rozgałęzionych że powóz zaledwie przedrzeć się przez nie zdołał, płosząc tysiączne stada słomek, bekasów i różnego ptactwa, osiedlonego na tych górzystych przestrzeniach.

Cierpliwość Kerabana na ciężką tu wystawiona była próbą, gdy trzeba było przebywać koniec łańcucha Bałkanów aby się dostać do Dobruczy przez tak strome pochyłości i załomy, że konie nie mogły ciągnąć razem. To też nie obeszło się bez narzekań, wygadywań i licznych oznak złego humoru. Szczególniej miejscami droga była tak niebezpieczną i trudną do przebycia, iż trzeba było przepłacać pocztylionów aby jechali dalej, gdyż co chwila odgrażali się że wypręgą konie i wrócą na stacją.

Dopiero to Keraban miał sposobność wymyślać i złorzeczyć tegoczesnemu rządowi tak źle utrzymującemu drogi, tak niedbającemu o wygodę poddanych, który umiał tylko doskonale nakładać przeróżne opłaty i podatki, obmyślać rozmaite żdzierstwa; dziesięć parasów za przepłynięcie Bosforu.

Dziesięć parasów! powtarzał, jakby dotknięty monomanią.

Van Mitten nic mu nie odpowiadał, wiedząc już z doświadczenia że najlepsze zaprzeczenie pobudzało go do niepohamowanego gniewu.

Z powodu braku zajazdów w tym na wpół dzikim kraju, nocie 19 i 20 sierpnia przepędzono w powozie. Dopiero nad ranem, przebywszy ostatnie odnogi Bałkanów, minęli granicę rumuńską, i znaleźli się na gruntach Dobruczy, więcej nadających się na drogi powozowe.

Turcy urodzają tę okolicę Dobruczy nazywają „dobrym krajem” w którym ziemia staje się własnością pierwszego co ją zajmie. Jest ona zamieszkała a przynajmniej przebiegana przez pasterzy tatarskich, a w części bliższej Dunaju zaludniona przez Wołochów. Ogromne te przestrzenie należące do Turcyi, stanowią niezliczony szereg płaszczyzn rozciągających się aż do lasów rozłożonych przy ujściach Dunaju, a rozpoczynających się u stóp ostatnich ogniw łańcucha Bałkanów.

Na tym gruncie, drogi wolne od stromych brzegów i raptownych spadków, dozwoliły jechać prędko, to też 20 sierpnia wieczorem stanęli w Bazardziku, gdzie Keraban postanowił przenocować dla wypoczynku, z wielkiem zadowoleniem Brunona.

Nazajutrz wyruszyli równo ze dniem, i ujechawszy 24 mil w przeciągu 12 godzin, około ósmej wieczorem dojechali do kolei idącej z Kustendzi do Czarnejwody. Jest to miasto nowe jeszcze, a liczy już 20,000 mieszkańców i zapewne w niedługim czasie stanie się jednym z ważniejszych. Tu z wielkim niezadowoleniem Kerabana, nie mogli zaraz przejechać przez drogę kolejową, ponieważ pociąg nadchodził i trzeba było czekać dobry kwadrans zanim przeleciał długi szereg wagonów.

Było co słuchać jak zzymający się Stary Turek piorunował na zarząd kolei żelaznych.

Urzednicy jego, mówił, utroili sobie że im wszystko wolno, nietylko rozmiażdżać podróżnych, tak niemądrych że zajmują miejsce w ich budach, ale i opóźniać podróż rozumnych co wsiadać do nich nie chcą.

Ale zjedzą licha! dodał, jeśli potrafią dokazać tego żeby mnie spotkał kiedy jaki wypadek na ich kolejach.

Kto wie, rzekł nierozważnie poczciwy Holender.

Ja wiem! krzyknął z gniewem Keraban.

Nazajutrz cały dzień jechali pustą płaszczyną, nie zatrzymując się na noc. Minęli Babadagh, przebywszy Dunaj pod Tulczą, dostali się na deltę tej rzeki, utworzoną z dwóch jej wielkich ramion.

Po za kolejną i granicą roztacza się Bessarabia, ciągnie się ku północno-wschodowi na długość piętnastu mil, zarywając nieco wybrzeża morza Czarnego.

Pochodzenie nazwy Dunaju, o które już tyle prowadzono sporów, wywołało rozprawę geograficzną między Kerabanem a Van Mitten'em, ale ostatnie słowo zostało jak zawsze przy Kerabanie, utrzymującego że nazwa Dunaj pochodzi od wyrazu zendyjskiego „asdanu” znaczącego bystra rzeka i Van Mitten, choć nieprzekonany, ustąpił jak zawsze.

Lecz pomimo bystrości prądu, nie jest on w stanie pociągnąć i unieść całej masy wód rzeki i zawrzec ich w licznych wyżłobionych przez nie łożyskach, i ztąd trafiają się wielkie powodzie z którymi liczyć się należy. Uparty Keraban nie chciał tego uczynić pomimo udzielanych mu przestrog i kazał jechać przez rozległą deltę. Nie był w niej zupełnie osamotniony, towarzyszył mu liczny orszak dzikich gęsi, kaczek, ibisów, czapli, łabędzi i pelikanów. Keraban nie pamiętał o tem że przyroda dlatego obdarzyła wodne te ptaki pletwami i wysokimi nogami, że trzeba posiadać pletwy lub szcudła chcąc przebywać te przestrzenie tak często zalane w porze deszczowej, podczas wielkich przyborów wody.

Otóż koniom zaprzężonym do jego powozu, nie przyprawiano do nóg pletw ani szcudeł, aby mogły stąpać po ziemi przesiąkłej wodą skutkiem ostatniej powodzi. Po za ramieniem Dunaju, wpadającym do morza Czarnego w Sulinie, grunt zamienił się w ogromne bagnisko, wśród którego zaledwie rysowała się droga prawie niepodobna do przebycia. Pomimo rad pocztylionów do których przyłączył się Van Mitten, Keraban kazał jechać i musiano spełnić jego rozkaz. Skończyło się na tem że powóz zagręznął w błocie, tak że konie wyciągnąć go nie mogły.

Jakież tu złe drogi i jak źle utrzymane, rzekł Van Mitten.

Są jakie są i jakie być mogą pod takim rządem, mruknął Keraban.

Może lepiej zawrócić i pojechać inną drogą?

Lepiej jechać dalej tą którą jedziemy.

Ale jakimże sposobem?

Bardzo prostym; posłać do najbliższej wsi po więcej koni, odrzekł Keraban; a przecież wszystko nam jedno czy przenocujemy w powozie czy w jakimś zajeździe.

Nie było rady. Kazał Nizibowi i pocztylionowi udać się do najbliższej wsi – najbliższe jednak były tak daleko iż nie mogli powrócić prędzej jak przed wschodem słońca. Tak więc Keraban, Van Mitten i Brunon, zmuszeni byli przebyć całą noc w tym ogromnym stepie, tak osamotnieni jak gdyby w najdalszych pustyniach środkowej Australii. Szczęściem że powóz zagręgnięty do połowy kół, nie zapadał głębiej.

Noc była bardzo ciemna; ciężkie, nisko opadające chmury, pędzone wiatrem wiejącym od morza Czarnego, unosiły się w powietrzu. Deszcz nie padał, ale wilgoć unosząca się z gruntu napojonego wodą, mokrą była jak mgła polarna. O dziesięć kroków nic widać nie było; dwie latarnie powozu rzucały blade światło przyćmione gęstą parą wydobywającą się z bagniska, a kto wie czy jeszcze i tych nie należało zgasić, aby blask światła nie naprowadził na nich jakichś nieproszonych gości.

Van Mitten zrobił tę uwagę, ale uparty Keraban nie chciał słuchać i latarnie nie przestały się palić.

1 Liwr turecki, jest to moneta złota wartości 23 fr. 55 centimów, czyli 100 piastrów wartości po 22 centy.

Rozdział VII

Konie robią to nareszcie ze strachu, czego nie zdołał na nich wymócić bat pocztyliona.

Była dziesiąta wieczór. Keraban, Van Mitten i Brunon, posiliwszy się częścią zapasów żywności zachowanych w kufrze powozowym, zapalili fajki i zaczęli przechadzać się po kawałku wąskiej ścieżki, której grunt nie ustępował pod nogami.

Zapewnie nie masz nic przeciw temu, przyjacielu Kerabanie, abyśmy wsiedli do powozu i przespali się zanim konie nadejdą.

Nie mam nic przeciw temu, odrzekł po głębokim namyśle, co u niego było rzeczą niezwykłą.

Chcę wierzyć że nie mamy się czego obawiać w pośród tej bezludnej płaszczyny.

I ja chcę temu wierzyć, odrzekł Keraban.

Napaść jakaś jest prawie niepodobna, rzekł znowu Holender.

Prawie niepodobna, odpowiedział Keraban.

Z wyjątkiem napaści mustyków! zawołał Brunon, który klapnął się porządnie w czoło, aby zgnieść z pół-tuzina tych natrętnych owadów.

I rzeczywiście chmury tych żarłocznych owadów zaczęły gromadzić się koło powozu, zwabione zapewne światłem latarni.

A! jakże to niezliczona moc tych niegodziwców! rzekł Van Mitten; wsiądźmy lepiej do powozu bo nas zjedzą żywcem.

Masz słuszność. Cała okolica Dolnego Dunaju trapiąca jest temi żarłocznymi owadami. Aby się od nich uchronić, trzeba we dnie koszule i pończochy, a w nocy całe łóżko obsypywać proszkiem wyrabianym z pewnego gatunku rumianku, rzekł Keraban.

A nie mamy go, na nieszczęście! rzekł Brunon.

Któż mógł przewidzieć że ulegniemy w bagnach Dobruczy, odrzekł Keraban. Mówiono mi, przyjacielu Van Mitten, że osiedliła się tu kolonia Tatarów krymskich, którym rząd nadał rozległe grunta i przywileje, i owady te zmusiły ich do opuszczenia swych siedzib.

To co teraz doświadczam każe temu wierzyć; wsiadajmy co prędzej,

mówił Van Mitten opędzając się chustką.

Wsiadając do powozu, Keraban rzekł:

Jakkolwiek nie ma się czego obawiać, dobrze przecież byłoby żeby Brunon czuwał do czasu powrotu Niziba i pocztyliona. Nie obawiaj się jednak tych przeklętych komarów, gdyż powszechnie utrzymują, że nie kłują nigdy dwa razy w jedno miejsce, zapewne więc już niedługo dadzą ci pokój, rzekł Keraban.

Tak, jak mnie zakłują; ale przynajmniej niech mi wolno będzie czuwać w kabryolecie, odrzekł Brunon.

Dobrze, byleś nie zasnął.

Wsiadłszy do kabrioletu, spuścił oszklony ferdekiel, pozwalający mu widzieć przestrzeń oświetloną światłem latarni, i walcząc ze snem, rozmyślał nad dziwnym zbiegiem okoliczności, który jego, dziecię starej Batawii, rzucił na drugi koniec Europy.

I oto mówił, mam odbyć podróż około morza Czarnego, dlatego że przyjaciel mego pana nie chciał zapłacić dziesięć parasów, które najchętniej dałbym z własnej kieszeni... A! znowu te łotry mustyki! choć pan Keraban utrzymuje że to komary.

Wyjął tedy fajkę, nałożył ją jakby nabijał broń palną z której miał dać ognia, zapalił, wciągnął dym całymi piersiami i wypuszczał kłębami. Roje mustyków zaczęły brzęczyć mocniej i nareszcie uciekły kryjąc się w najciemniejszych kątach kabrioletu. Nie chcąc ich więzić, opuścił ferdekiel i wszystkie uleciały, a inne odstraszone dymem nie śmiały się zbliżyć.

Pozbywszy się groźnych nieprzyjaciół, Brunon odważył się wychylić głowę i rozejrzeć dokoła. Chwilami zrywał się wiatr gwałtowny i mocno wstrząsał powozem, ale ten tak przykuty był do gruntu, iż można było nie bać się obalenia. Wpatrywał się w oddal czy nie ujrzą światła zwiastującego powrót Niziba i pocztyliona na z końmi, ale noc czarna nic widzieć nie dozwalała. Jednak wpatrzywszy się bacznie w jedną stronę, zdawało mu się że w odległości jakich sześćdziesięciu kroków dostrzega jakieś iskrzące punkciki, prędko i cicho poruszające się, już to nad ziemią, już o parę stóp wyżej.

Myślał z początku że może jest to fosforescencya błędnych ogników, wydobywających się z bagnisk, ale jednocześnie zwróciło jego uwagę że konie zaczynają objawiać pewien niepokój. Wietrzyły i parskały silnie.

Co to być może? myślał sobie; nowy jakiś kłopot. Czyżby to były wilki?

Nie było to niepodobnem; w delcie Dunaju znajdują się liczne gromady tych zwierząt zawsze zgłodniałych, mogłyby więc zwęszyć konie powozu.

Tam do licha! szepnął Brunon, byłaby to gorsza sprawa niż z mustykami, dym z fajki by ich nie odstraszył.

Konie zaczęły objawiać coraz większy niepokój; spinały się, chciały zerwać, silnie wstrząsały powozem. Światlane punkta zdawały się zbliżać; jakieś głucho mruczenie mieszało się ze świstem wiatru.

Zdaje mi się że trzeba zawiadomić o tem pana mego i Kerabana, rzekł Brunon.

Wyszedł więc z kabrioletu i otworzywszy drzwiczki wsunął się do wnętrza powozu i zamknął je co prędzej. Obaj przyjaciele spali spokojnie obok siebie.

Panie! panie!... zawołał cicho, dotykając ramienia Van Mitten'a.

Pal licha! natrętnika co mnie budzi! krzyknął zaspany Holender, przecierając oczy.

Proszę pana, nie trzeba przyzywać licha, a szczególnie wtedy gdy może jest bardzo blisko, rzekł Brunon.

Kto jesteś?

Brunon, sługa pański.

A!... to ty!... Brunonie? Cóż tam zaszło nowego?

Chciej pan jeżeli łaska obudzić pana Kerabana; tylko nie tracąc czasu.

Nie pytając o powód, w pół śpiący Van Mitten wstrząsnął ręką towarzysza podróży.

Bodaj to sen Turka, który ma zdrowy żołądek i czyste sumienie, a w tym właśnie wypadku znajdował się przyjaciel Van Mitten'a; to też nie od razu tenże zdołał go obudzić.

Nie podnosząc powiek, Keraban mruczał, jakby dając tem znać że nie chce być obudzonym; a jeźliby i we śnie był tak uparty jak na jawie, to chyba daremnie sililiby się żeby go rozbudzić. Jednakże Van Mitten i Brunon tak nalegająco nim wstrząsali iż nareszcie przebudził się, przeciągnął, otworzył oczy, i przemówił ospałym głosem:

Hum! czy nareszcie Nizib i pocztylion przyprowadzili konie?

Nie jeszcze, odpowiedział Van Mitten.

Więc po cóż mnie budzicie?

Bo choć nie ma koni, nadchodzą za to inne jakieś bardzo podejrzane zwierzęta, zamierzające na nas napaść? rzekł Brunon.

Co za zwierzęta?

Chciej pan wyjrzyć.

Spuszczono szybę i Keraban wychylił głowę z powozu.

Niech nas Allah strzeże! zawołał, całe stado dzików.

Keraban nie mylił się; w całej tej naddunajskiej okolicy znajdują się niezliczone stada dzików; napad ich jest bardzo groźny i niebezpieczny.

Cóż mamy robić? zapytał Van Mitten.

Siedzieć spokojnie, jeśli nas nie zaczepią, bronić się jeśli napadną.

Ale dlaczego zwierzęta te miałyby na nas napaść? Przecież dziki nie są drapieżne ani mięsożerne, rzekł Van Mitten.

Być może, odpowiedział Keraban, może więc nie pożą nas tylko rozszarpia, trzeba zatem na wszelki wypadek, przygotować się odrzekł Keraban.

Obejrzeni i nabili broń. Van Mitten i Brunon mieli sześćo-strzałowe rewolwery i pewną liczbę ładunków, ale Stary Turek, zacięty nieprzyjaciel wszelkich nowych wynalazków, posiadał dwa pistolety tureckiego wyrobu, wysadzone drogiemi kamieniami, pięknie wyglądające za pasem bogatego agi, ale niewiele warte.

Dwudziestu dzików otoczyło powóz; światło latarni, które zapewne ich zwabiło, dozwalało widzieć jak się rzucały i ryły ziemię ostremi kłami. Były to zwierzęta ogromne i nadzwyczaj silne; każdy z osobna mógłby rozszarpać całą sforę psów.

Czuły to dobrze konie, i jak tylko posłyszały krzanie licznego stada, zaczęły zrywać się, szarpać, rzucać w bok, tak że trzeba się było obawiać że złamią dyszel i porozrywają zaprząg.

Wtem rozległo się kilka wystrzałów; to Van Mitten i Brunon dali po dwa strzały: ugodzone kulami dziki rzuciły się na ziemię z wściekłym rykiem, a inne, rozwścieczone gorzej, uderzyły na powóz, gwałtownie bijąc w niego kłami. W kilku miejscach przedziurawili drzwiczki i łatwo było przewidzieć że mogą rozbić cały powóz.

Źle z nami do kroćsto-tysięcy! zawołał Bruno.

Strzelać! krzyknął Keraban i zaczął dawać ognia z pistoletów – na cztery razy, raz za ledwie trafiając, czego przecież przyznać nie chciał.

Brunon i Van Mitten ranili znów kilku dzików, te rzuciły się na konie, które nie mogąc ruszyć się z miejsca, broniły się tylko kopytami. Szarpały silnie, chcąc zerwać postronki, ale te zrobione z nadzwyczaj grubej i mocnej liny, oparły się ich usiłowaniom.

Wtem nagle uczyli tak gwałtowne wstrząśnienie, jak gdyby oderwał się cały przód powozu.

Może to i lepiej! rzekł Keraban; jeśli konie zbiegane popędzą stepem,

dziki pogonią za niemi i nam dadzą pokój.

Ale przód powozu oparł się wstrząśnieniom, dając tem dobre świadectwo angielskim fabrykantom pojazdów. Przód tedy nie oderwał się, ale powóz się poruszył, i po kilku szarpnięciach rozpaczliwych konie wydobyły go z błota, w którym zagrązł aż po osie i galopem wraz z nim popędziły. Dziki jednakże nie dały za wygraną, biegly za powozem rzucając się już to na niego już na konie, które dotąd nie zdołały ich wyprzedzić.

Keraban, Van Mitten i Brunon schronili się w głąb powozu.

Albo powóz się przewróci... zaczął Van Mitten.

Albo nie, dodał Keraban.

Trzebaby pochwycić lejce, rzekł przezorny Brunon.

Spuścił przednią szybę i wysuwając rękę próbował czy mu się ich nie uda dosięgnąć. Ale widać konie porwały je szarpiąc się, trzeba więc było zdać się na ślepy los i czekać na czem się skończy ta szalona jazda po nieznaney bagnistej okolicy. Za każdym wstrząśnieniem powozu podróżni nasi uderzali o siebie jak piłki, Keraban, jako dobry muzułmanin, z obojętnością poddawał się swemu przeznaczeniu, Van Mitten i Brunon, flegmatyczni jak zazwyczaj Holendrzy, nie mówili ani słówka.

Upłynęło sporo czasu, konie nie przestawały pędzić galopem, dziki nie przestawały ich ścigać i podróżni mogli mieć nadzieję ocalenia, jeżeli nie zajdzie jakiś wypadek, jeżeli koło nie złamie się albo nie spadnie, lub powóz nie uderzy o pień lub kamień i nie wywróci się w bagnie.

Kierując się wrodzonym instynktem, konie trzymały się tej części stepu którą przebywać nawykły, i pędziły wprost ku stacyi pocztowej, i gdy pierwsze brzaski dnia świtać zaczynały, już tylko o kilka wiorst były od niej oddalone.

Dziki powoli zaczęły zostawać w tyle; mimo to konie nie zwolniły biegu, pędząc dopokąd nie padły o jakie paręset kroków od domu pocztowego: tak więc Keraban i towarzysze jego zostali ocaleni.

W chwili gdy powóz przybył do stacyi, Nizib i pocztylion mieli z niej dopiero odjechać, gdyż pierwiej, wśród tak czarnej nocy, nie mogli puszczać się w drogę. Po założeniu świeżych koni za które Keraban grubo zapłacił, i po naprawieniu uszkodzeń zaprzęgu i powozu, puszczone się zaraz drogą wiodącą do Kilii.

Nazajutrz, wyjechawszy równo ze dniem, dojechali nie długo do granicy rosyjskiej. Tu zaszły pewne trudności z urzędnikami na komorze, gdyż Keraban odmawiał im prawa rewidowania jego powozu i rzeczy. Byłoby to może pociągnęło jakie niemiłe następstwa, ale cudem jakimś udało się Van Mitten'owi nakłonić go do ustępstw i uiszczenia żądanej opłaty celnej. Nie powstrzymał się jednak od wypowiedzenia:

Ze wszystkie rządy podobno nie warte łupiny tureckiego orzecha.

Przebyli prędko granicę rumuńską i powóz sunął się częścią Bessarabii, ciągnącej się na północno-wschodnim wybrzeżu morza Czarnego. Teraz znajdowali się już tylko o dwadzieścia mil od Odessy.

Rozdział VIII

W którym przedstawi się Czytelnikom młoda Amazyza i narzeczony jej Ahmet.

Młoda Amazyza, jedyna córka bankiera Selima i służebna jej Nedja, przechadzały się rozmawiając po galerii ślicznego domu, którego ogrody spuszczając się tarasowato, dosięgały wybrzeży morza Czarnego.

Z najniższego tarasu, którego stopnie oblewały, spokojne dnia tego, ale miotane wichrem wschodnim wody starożytnego Pontus-Euxinus (morze Czarne) Odessa, odległa o jakie pół mili, wspaniale się przedstawiała.

Miasto to, oaza w pośród niezmiernego otaczającego ją stepu, przedstawia przepyszną panoramę pałaców, kościołów, hoteli, domów, zbudowanych na stromym wybrzeżu morskim. Z mieszkania bankiera Selima, można było dojrzieć wielki plac ozdobiony drzewami i pomnikiem księcia de Richelieu, który był założycielem i przez wiele lat administratorem tego miasta.

Północne i wschodnie wiatry niekorzystnie oddziaływały na klimat zbyt wysuszając powietrze, co zniewala bogatych mieszkańców Odessy, że w porze gorącej szukają cienia i chłodu w pięknych willach podmiejskich. Do najpiękniejszych należała willa bankiera Selima.

Odessa liczy sto-kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców składających się z Rossyan, Turków, Greków, Armenian i różnych narodowości, a większość ich zajmuje się głównie handlem, przemysłem i najrozmaitszymi interesami. Każdy w ogóle handel, a szczególnie wywozowy, potrzebuje koniecznie agentów i bankierów, i dlatego powstały tu liczne domy bankowe, w początkach w skromnych działające rozmiarach a następnie zaliczające się do miejscowych potęg finansowych, do jakich to należy dom bankowy Selima.

Bankier Selim był wdowcem i miał tylko jedynaczkę córkę Amazyzę, narzeczoną Ahmeta, siostrzeńca Kerabana, z którym od lat najmłodszych wychowana uważała go jak brata rodzonego.

Małżeństwo Ahmeta i Amazyzi miało być zawarte w Odessie. Jak wiadomo, ciotka Amazyzi zapisała jej znaczną sumę z warunkiem aby poszła za mąż przed skończeniem lat ośmnastu, a oznaczony termin upływał za sześć tygodni. Jeżeli w tym przeciągu czasu warunek zastrzeżony w testamencie nie byłby spełniony, wtedy zapis dla młodej dziewczyny przeszedłby na dalszych krewnych.

Co do Amazyi, najwybredniejszy nawet Europejczyk musiałby przyznać że jest bardzo miłą. Odśloniwszy jej „iachmak” czyli białą muślinową zasłonę pokrywającą jej twarz i głowę, oraz potrójny rząd cekinów zasłaniający czoło, ujrzano ogromne sploty czarnych włosów i milutką nadzwyczaj twarzyczkę. Ruchy jej były wdzięczne, chód pełen powabu, a pod fałdami „feredii” czyli szerokiego płaszcza osłaniającego ją od szyi aż do stóp, łatwo było odgadnąć zgrabną jakby utoczoną figurkę.

Dnia tego znajdowała się w galerii wychodzącej na ogrody otaczające mieszkanie. Miała na sobie długą spódnicę z jedwabnej materii, obszerny „kalwar” z pod którego wychodziła mała bogato zahaftowana kamizelka, obszyta rodzajem koronki w samej tylko Turcyi wyrabianej. Z klejnotów prócz kolczyków i pierścionka, nic więcej na sobie nie miała: małe nóżki pokrywały bogato złotem haftowane pantofelki.

Przy niej siedziała na poduszce Nedia, żywa i wesoła dziewczyna, pokojówka a raczej wierna i przywiązana towarzyszką. Rozmawiając i śmiejąc się ciągle, ożywiała wszystko dokoła swoją wesołością.

Pochodzenia cygańskiego, Nedia nie była jednak niewolnicą. Jakkolwiek po dziś dzień na niektórych targach cesarstwa otomańskiego sprzedają jeszcze Etyopczyków i czarnych z Sudanu, jednakże w zasadzie niewolnictwo jest tam zniesione.

Dom bankiera Selima urządzony był na wysokiej stopę, a Nedia, przeznaczona wyłącznie do usług Amazyi, od dziecka wychowana z nią razem, zajmowała wyłączne stanowisko i nie była zobowiązana do żadnej domowej pracy.

Nawpół leżąc na otomance pokrytej kosztowną zytą materią, Amazyja zapatrzyła się w zatokę od strony Odessy.

Kochana pani moja, mówiła Nedia klękając przy stopach młodej dziewczyny, co to się znaczy że pan Ahmet jeszcze nie przybył?

Udał się do miasta i może przyniesie nam list od wuja swego Kerabana, odrzekła Amazyja.

Eh! list! list! co nam tam po nim; nie listu ale samego wuja nam potrzeba, a tak długo każe na siebie czekać.

Cierpliwości, Nedio! odpowiedziała z uśmiechem Amazyja.

Tak, łatwo to powiedzieć; będąc na mojem miejscu, pewnie nie byłaby pani bardzo cierpliwą.

A to dlaczego?

Albo to rzecz małego znaczenia dla mnie że będąc dziś pokojówką młodej panny, zostanę pierwszą służebnicą wielkiej pani.

Nie będę dlatego więcej już kochać cię jak teraz.

I ja też najdroższa pani. Ale gdzie pan Ahmet?

Jak już mówiłam, poszedł do banku z kądem zapewne przyniesie wiadomość lub list od swego stryja.

Wiem o tem. Oh! ten nieznośny pan Keraban!... gdyby on tak moim był stryjem!...

Cóżbyś zrobiła w takim razie?

Niestety! najpewniej nic, a jednak gdyby tak przyjechał dziś, a najpóźniej jutro, spisałoby się zaraz z nim o małżeństwie u sędziego, pojutrze iman odmówiłby modlitwę i byłoby po ślubie, poczem nastąpiłyby gody trwające dwa tygodnie... Bawilibyśmy się w willi, a pan Keraban mógłby sobie odjechać, gdyby tego gwałtem zapragnął.

I rzeczywiście takby być mogło gdyby stryj Keraban nie odwlekał swego przybycia.

Wtem spojrzawszy ku przystani, Nedja zawołała.

Czy pani moja widzi ten statek zarzucający kotwicę w ogrodowej przystani?

Widzę odrzekła Amazyja, mogę nawet odczytać jego nazwę: *Guidara*.

Obie podeszły do schodów prowadzących do morza aby lepiej przypatrzeć się statkowi. Była to tartana mały statek o żaglu trójkątnym wiszącym teraz na sznurach. Lekki wietrzyk pozwolił mu przepłynąć zatokę Odeską. Łańcuch trzymał tartanę o jakie sto sążni od brzegów, kołysała się lekko na falach obijających się u stóp ogrodu. Na drągu przytwierdzonym u góry masztu i podtrzymującym żagiel powiewała chorągiew turecka, srebrny pół-księżyc w czerwonym polu.

Kapitan Yarhud zarzucił kotwicę *Guidary* w tej części zatoki; widać jednak niedługo miała tu zostawać, gdyż żagle nie były zwinięte, mogła więc odpłynąć w każdej chwili.

Ah! jakby to było przyjemnie popływać tym pięknym statkiem po morzu przy lekkim wietrzyku! zawołała Nedja.

Amazyja spojrzała, gdy wtem ktoś zwołał:

Amazyjo! moja droga siostrze.

Stał przed nią dwudziesto-kilkoletni młodzieniec, więcej jak średniego wzrostu, zręcznej i śmiałej zarazem postawy. Miał czarne pełne słodczy oczy, czarne krucz włosy, i wąsy zręcznie zakręcone.

Ahmet miał na sobie strój turecki, i nie mógł naturalnie ubierać się inaczej jako synowiec człowieka, który uważałby sobie za hańbę przebierać się po europejsku jakby jakiś urzędnik. Ubrany był w kaftan wyszywany złotem, pas zręcznie owinięty odznaczał muskularną jego budowę; na głowie

miał fez i na nogach buty safianowe. W stroju tym bardzo mu było do twarzy.

Zaledwie przywitał się z narzeczoną, Nedia zapytała:

I cóż, panie, czy jest list z Konstantynopola?

Nie, odrzekł, nie ma nawet od stryja zwykłej handlowej korespondencji.

Szkaradnik jakiś! krzyknęła cyganeczka.

Nie mogę pojąć dlaczego kuryer żadnej nie przywiózł wiadomości z kantoru, odezwał się Ahmet. Dziś właśnie jest dzień w którym stryj ma zwyczaj regulować rachunki z bankiem twego Ojca; terminu tego nie chyba nigdy, a jednak dziś żaden nawet list nie przyszedł.

Rzeczywiście może to dziwić a nawet niepokoić; stryj twój Keraban jest zawsze tak punktualny i systematyczny... Ale może nadejdzie telegram?...

Telegram od stryja! Czyż nie wiesz, droga Amazyo, że stryj mój nigdy nie posługuje się telegrafami i nie jeździ koleją jako nowoczesnymi wynalazkami i pewny jestem że wolałby odebrać złą wiadomość prze list, niż najlepszą przez telegraf.

Ale wszak pisałeś do stryja? zapytała Amazyo.

Pisałem już z dziesięć razy prosząc aby przyspieszył swój przyjazd; napisałem nawet że jest najniemiłosierniejszym ze wszystkich stryjów jacy są tylko na świecie.

A! to dobrze! zawołała Nedia.

Najokrutniejszym tyranem i despota, co nie przeszkadza mu być najlepszym pod słońcem człowiekiem...

Oho! jakoś mi się to nie zdaje, rzekła Nedia kręcąc głową.

Napisałem że nie ma litości nad swoim synowcem, choć obok tego jest dla niego najlepszym Ojcem. Wszystko daremnie, stryj odpisał iż nie możemy wymagać od niego więcej nad to aby przyjechał przed sześciu tygodniami.

A więc zaczekamy aż przyjdzie ochota przyjechać, odpowiedziała Amazyo.

Musimy czekać, a jeżeli ostatni mój list nie zdoła przyspieszyć przyjazdu mego stryja i do jutra nie odbiorę odpowiedzi, nie pozostaje mi jak samemu pojechać do Konstantynopola...

Może jakaś szczęśliwa okoliczność zmieni postanowienie twego stryja.

Zmienić postanowienie mego stryja! zawołał Ahmet; stokroć łatwiej byłoby zmienić bieg gwiazd, przesunąć księżyc na miejsce słońca, przeinaczyć porządek praw niebieskich!

Rozdział IX

Podstęp usnuty przez kapitana Yarhuda.

Wtej chwili ukazał się we drzwiach galeryi służący, którego jedynym obowiązkiem według zwyczajów tureckich, było meldowanie przybywających gości.

Proszę pana, rzekł do Ahmeta, przybył jakiś nieznajomy i pragnie widzieć się z panem.

Któż to jest? zapytał Ahmet.

Jakiś kapitan statku; nalega usilnie aby pan raczył go przyjąć.

Dobrze, pójdę zaraz...

Każ go tu prosić, Ahmecie, nie chodzi zapewne o żadną tajemnicę.

Może to kapitan tej ślicznej tartany stojącej w naszej przystani? rzekła Nedia.

Zapewnie, odrzekł Ahmet, a zwracając się do służącego, dodał.

Proś tego pana.

W chwilę później nieznajomy ukazał się we drzwiach galeryi. Był to rzeczywiście kapitan Yarhud komendant tartany *Guidary*. Z wielkiem niezadowolnieniem, nie tak prędko jak pragnął mógł zarzucić kotwicę w pobliżu willi bankiera Selima. Po owej rozmowie ze Scarpantem, intendentem bogacza Saffara, nie tracąc godziny czasu udał się do Odessy koleją przez Bułgarię i Rumunię, i tym sposobem mógł uprzedzić o kilka dni przybycie Kerabana, który z właściwą starym Turkom powolnością, nie ujedzie pewno jak jakie 10 do 12 mil na dwadzieścia-cztery godzin. Ale gdy przybył do Odessy czas był tak szkaradny, iż obawiał się wypłynąć z portu. Musiał czekać pomyślniejszego wiatru i tego zaledwie poranku *Guidara* mogła zatrzymać się w pobliżu willi. Skutkiem tego opóźnienia może nie o wiele wyprzedził Kerabana, co mogło bardzo utrudnić lub nawet uniemożliwić jego przedsięwzięcie.

Musiał więc działać nie tracąc czasu, a plan miał gotowy. Najpierw użyje podstępu, gdy ten się nie uda, to gwałtu, byle tylko tego jeszcze wieczora *Guidara* mogła odpłynąć mając Amazyę na pokładzie. Zanim zdołanoby dostrzedz jej zniknięcie i puścić za nią w pogoń, tartana mogłaby odpłynąć bardzo daleko, korzystając z pomyślnego wiatru.

Podobne porwania, częściej niżby się zdawało, wydarzają się na wybrzeżach, i to nie tylko na wodach tureckich i w okolicach Anatolii, ale nawet na terytoriach podległych bezpośrednio władzom rosyjskim. Przed kilku laty niewyśledzeni dotąd sprawcy, porwali w Odessie kilka dziewcząt należących do wyższych sfer społecznych, i nie ulegało wątpliwości że zabrane na okręta dostawione były na targach niewolnicami w Azji Mniejszej.

Yarhud chciał naśladować tych złoczyńców dla spełnienia poleceń Saffara. *Guidara* nie po raz pierwszy przedsięwzięła podobną wyprawę, a kapitan jej wiedział jak wielką otrzyma zapłatę jeśli mu się powiedzie.

Yarhud ułożył sobie następujący plan. Pod pozorem przedstawienia i sprzedania Amazyi przepysznych materyi nabytych w najświetniejszych fabrykach, ściągnie ją na pokład *Guidary*. Pierwszym razem zapewne towarzyszyłby jej Ahmet, ale zapewne uda mu się nakłonić ją do powtórnego przybycia z samą tylko Nedią, a wtedy odpłynąłby zanim mógłby kto przybyć jej na pomoc. Jeśli zaś Amazyja nie zechce przybyć na statek, wtedy postara się porwać ją gwałtem. Pałacyk bankiera Selima był dość odosobniony, a służba jego nie zdoła się oprzeć dziesięciu silnym ludziom z jego załogi. Tylko że w takim razie nie obeszłoby się bez walki, i dowiedzianoby się łatwo w jakich okolicznościach nastąpiło porwanie, zatem interesem było nędzników dokonać porwania bez rozgłosu.

Jestem kapitan Yarhud, dowódca tartany *Guidara*, stojącej w przystani w pobliżu willi bankiera Selima, rzekł kłaniając się wchodzący tak niespodzianie kapitan. Towarzyszył mu majtek niosący kilka sztuk materyi.

Czego pan żądasz? zapytał Ahmet.

Mówiono mi o blizkiem ożenieniu pana, przychodzę oddać do jego rozporządzenia bogactwa nagromadzone na pokładzie mego statku.

Wcale dobry pomysł! kapitanie Yarhudzie, odrzekł Ahmet.

Ależ, Ahmecie, tyle mi już dałeś podarków, odezwała się Amazyja.

Od przybytku głowa nie boli, przerwała Nedia; kupujmy jak najwięcej, choćby nam przyszło zrujnować pana Kerabana; byłaby to słuszna kara za opóźnianie przybycia.

I jakież przedmioty zawiera twój ładunek? kapitanie zapytał Ahmet.

Drogocenne materye i różne przedmioty damskiej toalety, zakupione w najpierwszych fabrykach i składach.

Przedstaw wszystko tym młodym paniom, lepiej się na tem znają ode mnie, rzekł Ahmet.

Przyniosłem próbki, może panie raczą je obejrzyć przed zejściem na pokład.

I na skinienie Yarhuda wszedł towarzyszący mu majtek i podał mu

pakiet najrozmaitszych próbek, które przedstawił Amazyi.

Oto materye z Brussy, przerabiane srebrem lub złotem, jakie po raz pierwszy pojawiły się w Konstantynopolu.

Bardzo piękne, rzekła Amazyja przyglądając się materyom tak błyszczącym się pod światło jak gdyby były utkane ze świetlanych promieni.

Niech pani raczy przypatrzeć się tym muślinom ze Skutari i Turnowy; z próbki może pani tylko sądzić o doskonałości wyrobu, ale zobaczywszy na pokładzie całe sztuki, będzie pani podziwiać prześliczne barwy tła i najcudowniejsze desenie.

Pani moja, trzeba nam pójść na pokład *Guidary* zawołała Nedia.

Zapewniam że nie pożałuje pani tego trudu, rzekł Yarhud zwracając się do Amazyi. Mam jeszcze na pokładzie brylantowane brokarty, koszule z jedwabnej krepy, muśliny, szale perskie na pasy, cudowne pantofelki, i wiele innych rzeczy.

Amazyja podziwiała prześliczne drogocenne materye, co widząc Ahmet rzekł do narzeczonej:

Wszak nie pozwolisz na to, Amazyjo, aby kapitan trudził się tu daremnie, skoro więc podobały ci się jego towary, a powiada że na statku ma piękniejsze jeszcze, pójdziemy na pokład obejrzyć je i kupić.

O! dobrze! dobrze! zawołała Nedia podskakując i chcąc biec ku morzu.

Znajdziemy pewnie także na statku jaką materyę co się spodoba Nedi, rzekł Ahmet, patrząc z uśmiechem na cyganeczkę.

Tak się spodziewam, odpowiedziała, bo trzeba przecie żeby Nedia nie zrobiła wstydu swojej pani w dzień jej wesela.

Przybędziemy więc po południu na pokład twojej tartany, kapitanie, rzekł Ahmet.

O! po co tak odwlekać! zawołała Nedia.

Jeżeli taka wola pana, rzekł Yarhud, mogę kazać aby łódź moja dopłynęła pod sam taras ogrodu, wsiadłszy do niej za kilka minut możnaby dopłynąć do *Guidary*.

Zgoda, odrzekł Ahmet.

Kapitan rozkazał majtkowi zabrać przyniesione próbki, a sam zwróciwszy się ku balustradzie, dał znak trąbkom aby łódź spuszczo.

Dał się zaraz dostrzedz jakiś ruch na statku; i łódź w niespełna pięć minut stanęła u stóp tarasu.

Łódź czeka rozkazów pana, rzekł kłaniając się Yarhud.

Pomimo zahartowania w swoim rzemiośle, Yarhud był mocno zmięszany. Czas naglił, nadawała mu się doskonała sposobność dokonania zamierzonego porwania; a kto wie czy Keraban nie przybędzie lada chwila.

Gdy chodziło o zysk, dla kapitana Yarhud najniecieńsze środki były dobre, a tu tak wyborna nadarzała się sposobność. Gdyby Amazyja i Nedja same udały się na pokład, nie namyślałby się ani chwili, obecność Ahmeta zawadzała mu nieco, nie stanowiła jednak nieprzełamanej przeszkody, gdyż pomimo całej odwagi i siły Ahmet w razie napaści, nie zdołałby oprzeć się całej załodze. Co więc się stanie z Ahmetem nic go to nie obchodziło.

Stając na stopniach tarasu czekał póki Ahmet i towarzyszkę jego nie wejdą do łodzi i nie dostaną się na pokład *Guidary*. Wtedy zamierzał powziąć stanowcze postanowienie.

Ahmet sprowadził już Amazyję na ostatni stopień tarasu, gdy nagle otworzyły się drzwi galery i ukazał się w nich mężczyzna czterdziesto-kilkoltni ubrany z turecka po europejsku, i wszedłszy na galeryę, wołał:

Amazyjo!... Ahmecie!..

Był to Ojciec Amazyji, bankier Selim, korespondent i przyjaciel Keraban.

Córko moja!... Ahmecie!.. powtórzył.

Amazyja powróciła na galeryę wołając:

Jestem, mój Ojczy; co się stało? Co jest powodem twego przyspieszonego powrotu z miasta?

Wielka nowina! odrzekł.

Czy dobra? zapytał Ahmet.

Jak najlepsza! odrzekł Selim; do kantoru mego przybył umyślny posłaniec od przyjaciela mego Kerabana.

Czy być może! zawołała Nedja.

Posłaniec zapowiedział mi przyjazd Kerabana, którego za ledwie o pół godziny wyprzedził.

Mój stryj Keraban opuścił Konstantynopol! zawołał Ahmet niewymownie zdziwiony.

Tak i oczekuję go lada chwila.

Nikt nie zwrócił uwagi na przykre wrażenie jakie słowa te wywarły na Yarhudzie. Nic nie mogło więcej zagrażać jego planom jak to nagłe przybycie Kerabana.

Dobry! kochany pan Keraban! wołała uradowana Nedja.

Dlaczego przybywa tak niespodzianie? zapytała Amazyja.

Aby przyspieszyć zamężcie pani, rzekła Nedja; gdyby nie to pewnie nie przyjechałby do Odessy.

Tak się zdaje, odrzekł Selim.

I ja tak sądzę, rzekł Ahmet; kochany stryj chciał nam zrobić miłą niespodziankę, i dlatego tak nagle opuścił swój kantor i rozległe interesy handlowe.

Yarhud przysłuchiwał się bacznie całej tej rozmowie, aby poznać co spowodowało przyspieszenie przyjazdu Kerabana. Wtem dały się słyszeć jakieś głosy z których jeden panował nad innymi; drzwi się otworzyły i wszedł Keraban a za nim Van Mitten, Brunon i Nizib.

Rozdział X ***Zniewolony okolicznościami, Ahmet przedsięwzięcie energiczne postanowienie.***

?dzień dobry przyjacielu Selimie, dzień dobry; niech Allah strzeże ciebie i domu twego!

To powiedziawszy Keraban uściskał dłoń swego przyjaciela.

Dzień dobry, synowcze Ahmecie! i gorąco uściskał Ahmeta.

Dzień dobry, dobra Amazyjo; i przyszłą synowicę pocałował w oba policzki, a wszystko to odbyło się tak prędko że nikt nie zdążył słowa wymówić, poczem dodał:

No, a teraz do widzenia i w drogę.

Nie przedstawił nikomu flegmatycznego Holendra, i ten wydawał się jakąś niemą figurą w dramacie rodzinnym. Gdy Keraban ścisnął tak i całował wszystkich dokoła, pewni byli że przyjechał aby przyspieszyć małżeństwo, to też łatwo pojąć ich osłupienie gdy zawołał: W drogę!

Ahmet pierwszy oprzytomniał i zapytał:

Co mówisz, stryju?

Mówię: w drogę i do widzenia, mój synowcze.

Jakto?... chce stryj odjechać?

Tak, w tej chwili.

Ogólne nastąpiło osłupienie, a Van Mitten rzekł do ucha Brunona.

Doprawdy bardzo to zgodne z usposobieniem mego przyjaciela Kerabana.

Aż nadto zgodne, odrzekł Brunon.

Amazyza spoglądała na Ahmeta, Ahmet na Selima, a Nedia wlepiła wytrzeszczone oczy w tego bajecznego stryja, który umiał odjeżdżać nie przyjechawszy.

No! chodźmy Van Mitten, rzekł Keraban zwracając się ku drzwiom.

Czy nie zechce mi pan powiedzieć, rzekł Ahmet zwracając się do Van Mittena.

A cóż ja mogę panu powiedzieć? odrzekł Holender idący już za przyjacielem. Keraban zatrzymał się na samem wychodnem, i rzekł zwracając się do bankiera.

Ale, ale, byłbym zapomniał; proszę cię, przyjacielu, Selimie, zmień mi kilka tysięcy piastrów na monetę rossyjską.

Kilka tysięcy piastrów? powtórzył bankier nie rozumiejąc.

Tak, Selimie, bo potrzebuję tych pieniędzy na podróż przez kraj rossyjski.

Stryju kochany, powiedzże nam nareszcie co to wszystko znaczy? zapytali razem Ahmet i Amazyza.

Jakie ażo opłaca się obecnie? zapytał Keraban nie odpowiadając.

Trzy i pół od sta odrzekł Selim, który w tej chwili przypominał sobie że jest bankierem.

Co!... aż trzy i pół od sta?... zawołał Keraban.

Ruble poszły w górę, odrzekł bankier, skutkiem licznych zażądań kurs ich bardzo się poprawił...

No, przyjacielu Selimie, dla mnie niech będzie tylko trzy i ćwierć od sta.

A! dla ciebie, przyjacielu Kerabanie, zmienię za darmo.

Yarhud stojący w końcu galeryi, bacznie przyglądał i przysłuchiwał się wszystkiemu, aby wymiarkować czy to co zaszło szkodę lub korzyść mu przyniesie.

Stryju! zawołał Ahmet chwytając za rękę Kerabana w chwili gdy już stanął we drzwiach, czy nie pożegnasz się z nami? Uściskałeś nas w chwili przyjazdu...

Nie, kochany synowcze, przerwał Keraban, było to w chwili wyjazdu.

Nie chcę ci przeczyć, kochany stryju, ale proszę chciejże nam przynajmniej powiedzieć po co przyjechałeś do Odessy?

Nie byłbym wcale tu przyjechał, gdyby nie to że leży na mej drodze. Wszak prawda, przyjacielu Van Mitten?

Za całą odpowiedź Holender poważnie kiwnął głową.

A! prawda! zapomniałem przedstawić panów wzajemnie, rzekł Keraban, i zwracając się do Selima: Mój przyjaciel Van Mitten którego wiozą do siebie na obiad do Skutari.

Na obiad do Skutari! zawołał bankier zdziwiony niewymownie.

A tak, odrzekł Van Mitten.

A to służący jego Brunon, tak wierny i przywiązany do swego pana, że nie chciał się z nim rozłączyć.

A tak, odrzekł Brunon, kręcąc głową z niezadowoleniem.

No! a teraz komu w drogę temu czas! zawołał Keraban.

Nie sądz, kochany stryju że chcę w czemkolwiek sprzeciwiać się twej woli; ale proszę racz powiedzieć, którędy postanowiłeś jechać z Konstantynopola do Skutari, skoro Odessa leży na tej drodze?

Drogą ciągnąca się wokoło morza Czarnego, odrzekł Keraban.

Okolo morza Czarnego!... powtórzył Ahmet zdumiony.

Nastał chwila milczenia. Widząc ogólne osłupienie, Keraban zawołał:

I cóż upatrzyliscie w tem tak nadzwyczajnego że aby z Konstantynopola udać się do Skutari, okrążam morze Czarne?

Bankier Selim i Ahmet spojrzeli po sobie niespokojni; czyżby Keraban dostał pomięszania zmysłów?...

Przyjacielu Kerabanie, rzekł bankier Selim, nie chcemy ci się sprzeciwiać...

Przezorność nakazywała zawsze od tych słów zaczynać rozmowę z upartym Kerabanem.

Nie chcemy, broń Boże przeczyć ci, ale zdaje nam się że jest bliższa droga z Konstantynopola do Skutari; wszak dość przepłynąć Bosfor?

Bosfor nie istnieje już! odrzekł Keraban.

Bosfor nie istnieje! powtórzył osłupiały Ahmet.

Dla mnie przynajmniej! dodał Keraban. Obecnie istnieje on tylko dla

tych, którzy chcą poddać się opłacie najniesłusznieszego podatku dziesięć paras od osoby, jakim rząd nowych Turków obciążył te wolne dotąd od wszelkiego ździerstwa wody.

A!... więc to nowy podatek! zawołał Ahmet, pojmując w tej chwili na jakie trudy i zawikłania naraził stryja jego nieznośny upór.

Tak, nowy podatek, rzekł Keraban, unosząc się coraz więcej. Właśnie w chwili gdy miałem wsiąść do mego kaika, aby udać się na obiad do Skutari z moim przyjacielem Van Mitten'em, ogłoszony został ten dziesięć-parasowy podatek. Ma się rozumieć że nie chciałem go opłacić... i nie dozwolono mi odpłynąć. Powiedziałem tym zdziercom że potrafię dostać się do Skutari nie przepływając Bosforu... odpowiedzieli że to niemożliwe... Otóż możebne odparłem – i postawię na swoim! Przez Allaha! wołałbym sobie uciąć rękę, niż włożyć ją do kieszeni dla wyjęcia z niej dziesięciu parasów. Ha! nie znają jeszcze Kerabana!

Tak, oni nie znali Kerabana, ale przyjaciel jego Selim, synowiec Ahmet, Van Mitten i Amazyja znali dobrze jego upór, i wiedzieli dobrze iż w takich okolicznościach niepodobna było skłonić go do zmiany postanowień. Trzeba więc było poddać się jego fantazyi, wszelki upór wywołałby nowe zawikłania.

Ma stryj słuszność, rzekł Ahmet nie chcąc go drażnić.

Zupełną słuszność, rzekł Selim.

Ja zawsze mam słuszność, odrzekł Keraban.

Trzeba stawiać opór niesłusznym wymaganiom, rzekł Ahmet, choćby to miało przywieść do utraty majątku...

A choćby i życia nawet! dodał Keraban.

No tak, ale sędzę że nic nie zmusza stryja do tak nagłego odjazdu?

Przeciwnie, mój synowcze; wiesz przecie że muszę wracać przed sześciu tygodniami.

Mógłby stryj zabawić choćby z tydzień...

Ani nawet dnia jednego, ani nawet jednej godziny.

Ahmet skinął na Amazyję aby mu przyszła w pomoc.

A nasz ślub, panie Keraban, zapytała biorąc jego rękę.

Ślub wasz nie odwlecze się wcale, odrzekł. Trzeba aby odbył się przed końcem przyszłego miesiąca więc się odbędzie. Podróż moja ani o jeden dzień go nie opóźni... z warunkiem przecie abym odjechał natychmiast.

I tak runął odrazu cały gmach nadziei jak wszyscy zbudowali sobie na nieprzewidzianem przybyciu Kerabana. Małżeństwo nie zostanie przyspieszone ale też i nie opóźnione, jak mówił. Ale któż mógł przewidzieć

co może zająć podczas tak długiej podróży?

Ahmet zmarszczył czoło niezadowolony; szczęściem stryj nie spostrzegł tego, zarówno jak nie widział zasępionej minki Amazyi, i nie słyszał jak Nedia zawołała:

A niedobry! szkaradny stryj!...

Zresztą, dodał Keraban tonem człowieka wiedzącego że nikt nie oprze się jego woli, z resztą licząc na to że Ahmet pojedzie ze mną.

Serce Ahmeta ścisnęło się na te słowa stryja; Amazyja posmutniała, a Nedia oburzona miała ochotę wydrapać oczy Kerabanowi.

Kapitan *Guidary* nie stracił ani słówka z tej rozmowy; rzeczy przybierały korzystny dla niego obrot.

Jakkolwiek bankier Selim nie bardzo obiecywał sobie że zdoła zmienić postanowienie przyjaciela, jednak miał sobie za obowiązek spróbować tego.

Czyż nieodzownem jest, przyjacielu Kerabanie, aby Ahmet odbył z tobą tę podróż w około morza Czarnego?

No, nieodzownem nie jest, ale sądzę że Ahmet bez wahania towarzyszyć mi będzie.

Jednakowoż... zaczął Selim.

Jednakowoż?... powtórzył Keraban zaciskając zęby, jak to bywało gdy zamierzał się sprzeczać.

Po tych słowach Kerabana nastąpiła chwila milczenia, która obecnym wydała się niesłychanie długa. Wtem Ahmet powziął energiczne postanowienie. Przysunąwszy się do narzeczonej przedstawił jej aby nie sprzeciwiać się woli stryja; że jeźliby pojechał bez niego, podróż trwać może daleko dłużej, i że dołoży największych usiłowań aby jechać jak można najprędzej, przed końcem przyszłego miesiąca, aby dowieźć stryja na lewy brzeg Bosforu.

Amazyja zrozumiała że nie ma innej rady i milcząco skinęła głową.

Jestem posłuszny, stryju, pojedę z tobą, ale...

O! żadnych ale, panie synowcze.

Niech i tak będzie, odrzekł Ahmet, ale w duszy pomyślał sobie:

Czekaj najupartszy stryju, nie dam ci chwili wytchnienia tak pędzić będziemy.

No! ruszajmy! zawołał Keraban, a zwracając się do Selima, dodał: a moneta rosyjska na którą masz zamienić moje piastry?

Zrobimy to w Odessie, gdzie chcę cię odprowadzić.

Dalej Ahmecie! zawołał Keraban, jedźmy.

Nastąpiły ostatnie pożegnania; wszyscy mniej więcej byli wzruszeni; jeden tylko Keraban nie widział, czy też nie chciał widzieć ogólnego rozrzewnienia.

Czy powóz gotów? zapytał wchodzącego na galeryę Niziba.

Powóz gotów, odrzekł tenże.

Dalej w drogę! krzyknął Keraban. Aha! panowie tegocześni Turcy, co to ubieracie się z europejska! Aha! panowie nowi Turcy, poddający się wymaganiom i rozkazom Mahmuda, pokażę ja wam że są jeszcze Starzy Turcy których nigdy poskromić nie zdołacie!!!

Nikt mu nie przeczył, a jednak unosił się coraz więcej.

Aha! wołał, chcielibyście wziąć w monopol wody Bosforu!... otóż potrafię się obejść bez niego... drwię sobie z waszego Bosforu!...

Trzeba było widzieć Kerabana, z jak groźną miną wypowiedział ostatnie słowa.

Ahmecie! Van Mitten'ie! czas ubiega, jedźmy!

Stał już na progu gdy Selim zatrzymał go pytaniem.

Przyjacielu Kerabanie, jedna uwaga...

Żadnych uwag nie słucham.

No! to pozwól zadać sobie proste zapytanie. Gdy okrążywszy morze Czarne, przybędziesz do Skutari, co uczynisz potem?

Ja?...

Sądzę że nie zamieszkaś tam stale, i nie opuścisz na zawsze Konstantynopola w którym utrzymujesz swój dom handlowy?

Wszystko to da się pogodzić, przyjacielu Selimie. Wszak nic się temu nie sprzeciwia abyś z Amazją przybył do Skutari? Co prawda, zapłacisz po dziesięć parasów od osoby za przepłynięcie Bosforu, ale honor nie wzbrania ci tego. Co do mnie, to rzecz inna.

O! tak, tak! przybądźcie do Skutari za miesiąc! zawołał Ahmet, i zaczekajcie tam na nas, a uczynimy wszystko co tylko będzie możliwem, abyście nie czekali długo.

Zgoda! pojedziemy więc do Skutari, ale powiedz mi, przyjacielu Kerabanie, czy po weselu nie powrócisz do Konstantynopola?

Powrócę! powrócę najniezawodniej, odpowiedział.

W jakiż sposób?

Albo przeklęty ten podatek zostanie zniesiony a wtedy przepłynę Bosfor bez opłacenia go...

Lecz jeżeli to nie nastąpi?

Wtedy, odrzekł z imponującą miną, wtedy, przez Allaha! powrócę tą samą drogą jaką wyjechałem... powtórnie okrążę morze Czarne!

Rozdział XI

Fantastyczna podróż urozmaicona dramatem.

Tak więc wszyscy opuścili willę i odjechali. Keraban dla odbycia zamierzonej podróży, Van Mitten dla towarzyszenia przyjacielowi, Ahmet czyniąc zadość woli wuja, a Brunon i Nizib ponieważ nie mogli nie usłuchać rozkazu swych panów. Tak więc z wyjątkiem kilku służących oraz Amazyi i Nedii willa była prawie pustą, gdyż bankier Selim udał się do Odessy, dla wręczenia Kerabanowi żądanej sumy zmienionej na ruble.

Wiedział dobrze o tem kapitan maltejskiego statku będący świadkiem smutnego pożegnania, któremu z łatwym do pojęcia przypatrywał się zajęciem. Dowiedział się tedy że Keraban odłożył do swego powrotu małżeństwo Ahmeta z Amazyą, a nadto polecił mu towarzyszyć sobie w podróży, co nadzwyczaj sprzyjało jego zamiarom. Nie dość na tem Amazyja i Nedia zostawały same w willi lub w galeryi wychodzącej na morze, od której tartana jego zaledwie o parę kroków była oddaloną. Stała gotowa do odpłynięcia u stóp schodów; majtkowie czekali jego skinienia, mógł więc działać w każdej chwili.

Miał wielką ochotę porwać Amazyę gwałtem; ale chytry i przezorny chciał dokonać porwania bez pozostawiania najmniejszego śladu, i dlatego postanowił dobrze się namyślić.

Dzień był w całej pełni; jeźliby porwał ją teraz, niezawodnie głośnym krzykiem przyzywałby pomocy. Toż samo uczyniłaby Nedia; służba mogłaby nadbiedz i zniweczyć jego usiłowania, lub co najmniej zobaczyć *Guidarę* szybko odbijającą od brzegu, co stanowiłaby już początek dowodu... Tak więc przezorność nakazywała czekać nocy.

Usiadłszy na tyle statku kryjącego się po za balustradą, śledził bacznie młode dziewczęta, ani domyślające się obecności niebezpiecznego napastnika.

Yarhud namyślał się jeszcze czy gdyby, zgadzając się na jego prośbę, Amazyja z Nedią przyszły na pokład tartany obejrzyć jego towary, czy w takim

razie mógłby skorzystać z tej sposobności aby odpłynąć nie czekając nocy.

Zasmucona niewymownie tak nieprzewidzianym odjazdem Ahmeta, Amazyza siedziała milcząca i zamyślona, utkwivszy wzrok w daleki, ku północy roztaczający się horyzont. Tam w oddali rysowały się wybrzeża wśród których ciągnęła się długa droga jaką przebyć mieli podróżni, i na której może czekały ich groźne niebezpieczeństwa, przeszkody i wypadki opóźniające powrót. Gdyby już było po ślubie, bez wahania towarzyszyłaby Ahmetowi; przecież wuj Keraban nie chciałby rozłączać ją z mężem. Zdawało jej się że będąc już jego siostrzenicą umiałaby o tyle pozyskać nad nim wpływu, aby go skłonić do zaniechania tej może nader niebezpiecznej podróży, do której popychał go nieprzeparty upór... Ale jest dopiero narzeczoną Ahmeta, została sama, smutna i może długie tygodnie czekać jej przyjdzie, zanim zjadą się w Skutari, gdzie ślub ich miał się odbyć.

Amazyza więc była smutna i milcząca, ale za to Nedia nie posiadała się ze złości, wygadując co jej przyszło do głowy na nieznośnego uparciucha, sprawcę smutku i niepokoju ukochanej pani. Oho! gdyby tak o jej zamężcie chodziło, nie dałaby tak porwać swego narzeczonego... Upór na upór, nie ustąpiłaby temu zaciętemu Kerabanowi!...

Zbliżała się do Amazyzi, i ujawszy za rękę usiadła na poduszce przy jej nogach.

Pani moja kochana, mówiła, będąc na twojem miejscu, zamiast myśleć i tęsknić za panem Ahmetem, myślałbym o panu Kerabanie, aby mu złorzeczyć...

I cóżby mi z tego przyszło?

Nie wiem, ale zdaje mi się że lżej byłoby mi na sercu, odrzekła. Pozwól mi tylko mówić, kochana pani, a zobaczysz że nie pożałuję słów, nadokuczam temu uparciuchowi co się zmieści.

Nie godzi się, Nedio, jest on wujem, prawie Ojcem mego narzeczonego, powinnam go szanować.

To prawda, ale czemuż jest tak nieznośnym samolubem, despotom, tyranem... Dość mu było powiedzieć słówko, zatrzymać się parę dni a nie chciał tego uczynić... O! doprawdy zasłużył...

Przestań, Nedio, mówmy o Ahmecie.

Dobrze, pan Ahmet jest dobry, nieoceniony, i tem tylko zawinił że jest siostrzeńcem upartego wuja... Sądziłam że posiada większą moc charakteru...

Więc nie pojmujesz tego że w tym razie właśnie to posłuszeństwo jego, dowodzi mocy charakteru i panowania nad sobą. Jakkolwiek przykro mi, przyznaję jednak że Ahmet dobrze zrobił towarzysząc wujowi. Może przyspieszyć powrót, a przynajmniej ustrzedz pana Kerabana od niebezpieczeństw na jakie naraziłby go jego niepojęty upór.

Zapewnie na pani słusznosc utrzymujac ze posluszenstwo pana Ahmeta dowodzi mocy jego charakteru, zdaje mi sie jednak ze dowiodlby wiekszej jeszcze mocy, gdyby zdolal naklonic wuja do zaniechania tej szalonej podrózy.

Alez, Nedio, to bylo niepodobienstwem! zawolala Amazyja.

Hum... kto wie? nie ma podobno tak silnej sztaby zelaza, ktorejby w potrzebie zginc lub zlamac nie mozna. Oh! ten nieznośny wuj Keraban, on winien wszystkiemu i on tylko bedzie odpowiedzialny, jezli jakies nieszczęście spotka ich w tej przeklętej podrózy... Kiedy pomysle ze jedynie nie chcąc zaplacic dziesieciu paras, skazal pana Ahmeta i ukochana moja pania, a wiecej i mnie takze na taki smutek i niepokoj... o! wtedy zycze mu, aby... aby morze czarne roztoczylo swe fale az na koniec swiata... zobaczylibysmy czyby w takim razie nie zaniechal zamiaru odjechania go dokoła.

Najniezawodniej i wtedy nie wyrzeklby sie przyjemności postanowienia na swoim.

W tej wlasnie chwili Yarhud wysiadl z łodzi, i niewidzialny zblizal sie ku dziewczętom; obie odwróciły głowy uslyszawszy odgłos jego kroków. Zadziwily sie i przelękly zarazem zobaczywszy go obok siebie.

Nedia powstala pytajac.

Kapitan Yarhud!... co pan tu robisz i po co przychodzisz?

Aby zaprowadzic panie na pokład tartany. Wszak oznajmily panie ze chca obejrzec moje towary i wybrac co im sie podoba.

A! prawda! wszak mialas pani zamiar...

Tak, odrzekla Amazyja, ale gdy Ahmet mial mi towarzyszye, bez niego nie udam sie na statek.

Kapitan zmarszczyl brwi, lecz w tejze chwili rzekl spokojnie:

Guidara nie moze zatrzymywac sie dlugo w zatoce Odeskiej, i zapewnie odplyne jutro lub najpóźniej pojutrze; jezli wiec piekna córka bankiera Selima zyczy sobie nabye niektóre z tych bogatych materyi jakie jej przedstawilem, niech raczy korzystac z nastreczajacej sie sposobności. Łódz moja czeka, za pare minut doplyniemy do tartany.

Najuprzejmiej panu dziekuje, odpowiedziala Amazyja, ale w nieobecności Ahmeta nie mam ani humoru ani ochoty zajmowania sie strojami. Poczem skinęla mu głową, na znak ze moze odejsc.

Próbował jeszcze naklonic Amazye, a widzac ze przedstawienia jego nie trafiaja do celu, sklónil sie i zabieral do odejścia. Wtem zatrzymal sie nagle, jak gdyby w tej chwili nowa mysł przyszla mu do głowy.

Słowko jeszcze, rzekl; mam nadzieje ze obecna moja propozycja

spodoba się narzeczonej Ahmeta.

O cóż chodzi? zapytała nieco zniecierpliwiona jego natręctwem.

Przypadkiem byłem świadkiem sceny pożegnania...

Przypadkiem? przerwała Amazyza, i pewne podejrzenie zbudziło się w jej duszy.

Tak, pani, odrzekł Yarhud. Byłem w łodzi czekając na przybycie pań... i widziałem jak głęboko zasmucił piękną córkę bankiera Selima, nieprzewidziany wyjazd narzeczonego... Otóż jeźliby życzyła sobie zobaczyć niedługo Ahmeta...

A to jakim sposobem?

Bardzo łatwym. Za godzinę najdalej powóz pana Kerabana musi przejechać około małego, ztąd dającego się dostrzedz przylądka...

Amazyza zwróciła wzrok we wskazaną stronę.

Pani moja, gdybyśmy mogły się tam dostać! zawołała Nedia.

Nic łatwiejszego, odrzekł Yarhud. Wiatr jest przychylny; *Guidara* może dopłynąć do przylądka, jeśli pani chce, natychmiast odbijemy od brzegu.

Amazyza zawahała się; zastanowiwszy się chwilę, spojrzała na Yarhuda; wyraz twarzy jego nie budził zaufania; przeczucie ostrzegało aby mu niedowierzać.

Dziękuję panu, odpowiedziała, wycieczka ta bez Ojca lub narzeczonego, byłaby zupełnie niestosowną.

Yarhud zmarszczył brwi i odszedł ukłoniwszy się zimno. Przekonał się że podobnym sposobem nie trafi do celu.

Za chwilę łódź jego odplynęła i powrócił na pokład tartany.

Amazyza i Nedia z godzinę jeszcze siedziały na galeryi, wpatrując się w daleki horyzont, poczem weszły do mieszkania.

Yarhud śledził ich wzrokiem z pomostu tartany. Widząc że opuściły galeryę rozkazał ludziom swoim pilnować bacznie i uwiadomić go niezwłocznie jeźliby wieczorem powróciły. Skoro podstęp się nie udał, ucieknie się do gwałtu.

Dzięki tej szczęśliwej okoliczności, że ślub Amazyzy z Ahmetem został odłożony i miał się odbyć dopiero za sześć tygodni, nie potrzebował tak gwałtownie spieszyć się z jej porwaniem; ale z drugiej strony należało pamiętać o tem że Saffar lada dzień może wrócić już do Trebizondy, gdzie niecierpliwie oczekiwać będzie na piękną Amazyzę, którą postanowił pojąć za żonę. Nadto żegluga po morzu Czarnem nie zawsze da się ściśle obliczyć; prosty żaglowy statek, opóźnia się nieraz o piętnaście lub dwadzieścia dni;

należało więc odpłynąć niezwłocznie aby przybyć na czas omówiony z intendentem Scarpantem. I dlatego Yarhud postanowił porwać Amazyę za nadejściem nocy.

Okoliczności sprzyjały niedogodnym jego zamiarom. Późnym wieczorem, zanim Ojciec powrócił z Odessy, Amazyja sama zupełnie wyszła na galeryę. Chciała jeszcze popatrzeć w stronę w którą udali się nasi podróżni, i wsparłszy się o balustradę w głębokiej zatoneła zadumie. Zamyślona nie dostrzegła cicho podpływającej łodzi, która zwolna zatrzymała się przy schodach tarasu, dochodzących do samej zatoki.

Yarhud wraz z trzema majtkami czołgając się przebyli schody, Amazyja nic nie słyszała. Wtem nagle Yarhud rzucił się ku niej i pochwycił tak silnie, że ruszyć się nie mogła. Zaledwie zdołała krzyknąć: Ratujcie!

Yarhud zatkał jej zaraz usta, ale Nedia usłyszała krzyk swej pani. Pobiegnęła jej na pomoc; lecz zaledwie przestąpiła próg galeryi, dwóch majtków rzuciło się ku niej, i porwawszy zatkali usta.

Do łodzi! krzyknął Yarhud.

Obie poniesiono do łodzi która odpłynęła natychmiast.

Jak tylko dopłynęli do tartany, przeniesiono porwane na jej pokład a następnie zamknięto w tylnej kajucie, z której nikt krzyku ich dosłyszeć nie mógł.

Rozpiąwszy żagle, *Guidara* odpłynęła na pełne morze.

Jednakże pomimo że wszystko odbyło się tak nagle, jeden z ogrodników pracujący w ogrodzie dosłyszał krzyk Amazyi i natychmiast zawiadomił o tem służbę. Powróciwszy do Odessy, bankier Selim w tej chwili właśnie wchodził do domu. Zawiadomiony o tem że córka jego krzyknęła wołając ratunku, zaczął szukać jej w całym domu – daremnie, nie znalazł nigdzie.

Stracił głowę, nie widząc co myśleć, wtem dostrzegł szybko odpływającą tartanę. Teraz zrozumiał wszystko. Pobiegł na wzgórze około którego *Guidara* przepłynąć musiała, i wołał z rozpaczą załamując rękę:

Nędznicy! porwali moją Amazyę!... moją jedyną córkę!... Gońcie ich! zatrzymajcie!...

Strzał dany z pomostu rozległ się w powietrzu – Selim padł ugodzony kulą.

Za chwilę tartana, płynąc szybko z rozwiniętymi żaglami, dzięki przyjaznemu wiatrowi, nie mogła być już dostrzeżoną z willi bankiera.

Rozdział XII

Van Mitten opowiada dość ciekawą historię o cebulkach tulipanowych.

Podróżni nasi zmieniawszy konie pocztowe, opuścili Odessę około pierwszej po południu. Keraban zajął miejsce po lewej stronie, Van Mitten po prawej, a Ahmet usiadł w środku. Bruno i Nizib siedzieli znowu w kabryolecie; więcej jednak spali niż rozmawiali z sobą.

Słońce jasnym świeciło blaskiem; powierzchnia fal morskich wydawała się szafirową, odbijając wyraźnie od szarych wybrzeży.

Zarówno jak w kabryolecie i w karecie, panowało milczenie, z tą jednak różnicą że jadący na wierzch spali, zaś siedzący w powozie zatnęli w myślach.

Keraban cieszył się swoim uporem, uśmiechając się rozkosznie na myśl że takiego dobrego figla wypłatał władzom otomańskim.

Van Mitten rozmyślał nad tą nieprzewidzianą podróżą, wielokrotnie zapytując sam siebie: po co on, spokojny obywatel holenderski wędruje bez najmniejszej potrzeby po drogach ciągnących się nad brzegami morza Czarnego, mogąc siedzieć sobie spokojnie na przedmieściu Pera, w Konstantynopolu.

Ahmet uspokoił się powoli, postanowił tylko nie oszczędzać pieniędzy upartego wujaszka, ilekroć za ich pomocą można będzie przyspieszać podróż lub usunąć przeszkody jak najprędzszego przybycia do Skutari. Zwracając się do wuja zapytał go jak najuprzejmiej, czy ułożył już sobie szczegółowy plan podróży.

A jakże, mój siostrzeńcze, odrzekł Keraban; będziemy ciągle trzymać się drogi ciągnącej się w pobliżu wybrzeży morskich.

Dokąd więc jedziemy obecnie?

Do Koblewa, leżącego o dwanaście mil od Odessy: staniemy tam wieczorem.

A gdzie się udamy z Koblewa?

Będziem jechać całą noc aby około południa stanąć w Mikołajewie.

Rzeczywiście będziem podróżować bardzo prędko... Lecz dojechawszy do Mikołajewa, czy nie chciałbyś kochany wuju, w przeciągu kilku dni dojechać do granic Kaukazu.

A to jaki sposobem?

Korzystając z kolei żelaznych południowej Rosyi: jadąc koleją na

Aleksandrów i Rostów, oszczędzilibyśmy sobie co najmniej trzecią część drogi.

Usłyszawszy te słowa Van Mitten, trącił lekko łokciem towarzysza podróży:

Daj pan pokój, szepnął, nie ma nawet o czym mówić, przyjaciel mój uczuwa nieprzeparty wstręt do kolei żelaznych.

Ahmet znał wprawdzie uprzedzenia wuja do tego zbyt nowoczesnego dla stronnictwa starych Turków sposobu podróżowania, liczył jednak na to, że z powodu zbiegu tak ważnych okoliczności. zechce może choć na ten raz wyrzec się niczem nieusprawiedliwionego przesądu.

Łudził się biedak! Keraban nie byłby chyba Kerabanem, gdyby choć na chwilkę najmniejsze jakieś nawet zrobił komu ustępstwo.

Zdaje mi się że mówiłeś coś o kolei żelaznej? zapytał.

Tak, mój wuju.

I żądasz abym ja, Keraban, zgodził się na to czego jeszcze nigdy dotąd nie uczyniłem?

Sądzę, kochany wuju że...

Żądasz abym ja, Keraban, zgodził się na tak głupią jazdę i pozwolił się ciągnąć jakąś tam maszyną parową?...

Gdyby wuj chciał raz spróbować...

Ahmecie, widocznie nie zastanowiłeś się nad tem co mówisz.

Ależ mój wuju...

Powtarzam że mówisz bez zastanowienia, inaczej nie odważyłbyś się proponować mi coś podobnego.

Wierzaj mi wuju, że wagony te...

Wagony!... powtórzył Keraban, wymawiając ten cudzoziemski wyraz ze wstrętem i pogardą zarazem.

Tak, wuju. Te wagony posuwające się po relsach...

Relsach! zawołał Keraban. Cóż to za szkaradne wyrazy! czy nie zechcesz objaśnić mnie jakim mówisz językiem?

Językiem tegoczesnych podróżników.

No to przypatrzże mi się i powiedz sam czy choć cokolwiek jestem podobny do tegoczesnych podróżników, i czy taki jak ja człowiek może zgodzić się na to aby jechał wagonem ciągnionym przez ogień buchającą

maszynę? Co za potrzeba abym pozwolił poruszać się po jakichś relsach, kiedy mogę jechać karetałą po trakcie?

Ależ, mój wuju, skoro tyle zależy na pośpiechu...

Przypatrz mi się, Ahmecie, i dobrze pamiętaj sobie o tem: gdyby nie było pojazdów jeździłbym wozami; gdyby nie było wozów, jechałbym konno; w braku konia, wsiadłbym na osła; w braku osła, poszedłbym piechotą; w braku nóg, posuwałbym się na kolanach; w braku kolan...

Stój! przyjacielu Kerabanie, chyba już koniec na tem! zawołał Van Mitten, chwytając go za rękę.

Mylisz się! odparł Keraban, w braku kolan czołgałbym się na brzuchu... tak, powtarzam, na brzuchu!

A zwracając się do Ahmeta, dodał żywo:

Czy słyszałeś kiedy aby Mahomet jeździł do Mekki koleją żelazną?

Ahmet mógłby odpowiedzieć, że gdyby koleje istniały w owym czasie, Mahomet nie omieszkałby zapewne jeździć niemi do Mekki, milczał jednak widząc że wuj mocno jest rozdrażniony. Keraban siedział zasępiiony, powtarzając co chwila z urąganiem rozmaite cudzoziemskie nazwy używane przy drogach żelaznych.

Jakkolwiek jazda począ nie dorównywała kolei, pędzili jednak prędko nasi podróżni. Droga była dość dobra, koni nie brakowało na stacyach. Z woli wuja Ahmet zapisywał i płacił wszelkie wydatki w podróży, z czego korzystając szczodre podarki dawał pocztylionom, byle tylko galopem pędzili.

Wieczorem stanęli w Koblewie, a nazajutrz około południa przybyli do Mikołajewska; było to 28 sierpnia.

Trzy godziny zatrzymali się w hotelu aby wypocząć nieco i zjeść śniadanie, z czego Brunon bardzo był zadowolony. Korzystając z tej sposobności, Ahmet napisał do Bankiera Selima, donosząc mu że dotąd podróż odbywają śpiesznie i szczęśliwie i zasyłają Amazyi najserdeczniejsze pozdrowienie, która siedziała milcząca w tej chwili na tarasie, myśląc o tak upartym wuju Ahmeta.

Van Mitten chcą odnieść jakąkolwiek korzyść z tej mimowolnej podróży, poszedł z Brunonem zwiedzić miasto Mikołajewsk, którego rozwój wzrasta ciągle z krzywdą Chersonu.

Od miasta tego oddzielało ich siedmnaście, mil, ciągnących się wśród niezbyt urodzajnej okolicy. Tu i owdzie rosły topole i wierzby. W pobliżu Dniepru, który ciągnie się przez trzysta przeszło mil i kończy się pod Chersonem, rozlegają się długie, trzciną zarosłe płaszczyny, które wydawały się jakby upstrzone bławatkami; lecz gdy dał się słyszeć turkot powozu, bławatki owe odlatywały na skrzydłach, były to bowiem niebieskawe sójki, a krzykliwy ich świergot więcej raził uszy, niż świetne mieniące upierzenie

bawiło oczy.

Dnia 29 sierpnia, równo ze świtem przybyli do Chersonu, potem zwrócili się ku przesmykowi Perekopskiemu, łączącemu Krym albo półwysep Taurycy, z wybrzeżami Rosyji południowej.

Ahmet wysłał z Chersonu drugi list do bankiera Selima, do Odessy. W drodze do Perekopu, Keraban zapytał siostrzeńca czy pamiętał i od niego serdecznie pozdrowić przyjaciela.

Nie zapomniałem o tem, kochany wuju, a nadto zawiadomiłem bankiera Selima, że nie zaniedbujemy nic coby mogło przyśpieszyć nasz przyjazd do Skutari.

Bardzo dobrze, mój siostrzeńcze, ilekroć zatrzymamy się w miejscowościach w których są biura pocztowe, nie zaniedbuj donosić Selimowi co się z nami dzieje.

Najchętniej; tylko nie wiedząc nigdy naprzód gdzie się zatrzymamy, nie będę mógł nigdy odebrać odpowiedzi.

Rzeczywiście, rzekł Van Mitten.

Ale, rzekł Keraban zwracając się do niego, dziwi mnie, że ty przyjacielu, ani razu jeszcze nie pisałeś do szanownej pani Van Mitten? Taka obojętność może jej przykrość sprawić.

Komu, pani Van Mitten?... zapytał Holender.

No, tak, odrzekł Keraban.

Pani Van Mitten jest zapewne bardzo zacną osobą; jako kobiecie nie jej zarzucić nie mogę, ale jako towarzysze życia...

Nie dokończył a po chwili dodał:

Zkądże wam przyszło mówić o pani Van Mitten?

Bo, o ile sobie przypominam, jest to bardzo miła osoba, rzekł Keraban. Pamiętasz, Ahmecie, jak chwaliłem, panią Van Mitten, powróciwszy z Roterdamu?

Tak, kochany wuju.

Nigdy nie zapomnę jak uprzejmie mnie przyjmowała.

Aha!... zawołał Van Mitten.

Jednakże przypominam sobie, że niekiedy miała pewne dziwactwa i kaprysy... Ale widać że to jest już właściwe wszystkim ludziom, trzeba więc albo zostać pustelnikiem, albo się nie żenić, rzekł Keraban.

Mądre zdanie, odpowiedział Van Mitten.

Czy, jak prawdziwa Holenderka, zawsze równie namiętnie lubi tulipany?

A zawsze, odrzekł Van Mitten.

Szczerze mówiąc, przyjacielu Van Mitten, zdaje mi się że jesteś nader oziębłym dla żony?

Oziębłym! jest to jeszcze za gorące wyrażenie, odnośnie do moich dla niej uczuć!

Co mówisz, przyjacielu?

Mówię, odrzekł Holender, że nie miałem zamiaru ani jednym słówkiem wspomnieć o pani Van Mitten; ale ponieważ pytasz mnie o nią, przyjacielu, muszę więc zrobić ci pewne wyznanie...

Wyznanie?

Tak, przyjacielu Kerabanie!... Otóż wiedz o tem że rozłączyłem się z panią Van Mitten!

Czy być może!... i to za zobopólną zgodą i na zawsze?

Tak, odrzekł Van Mitten.

Proszę opowiedz mi, przyjacielu, jak to było; jeśli nie wywoła to boleśnego wzruszenia...

To dobre! z jakiego powodu mogłoby mnie to wzruszać!

A więc mów proszę; jako Turek, nadzwyczaj lubię wszelkie podobne historyjki.

Dowiedz się więc, przyjacielu Kerabanie, mówił Holender tak obojętnie, jakby opowiadał o kimś innym, że od dwóch lat pożycie nasze było nieznośne. Sprzeczailiśmy się o wszystko. O której godzinie kłaść się i o której wstawać; o której co dawać a czego nie dawać na obiad; czego używać lub nie używać za napój; jaka jest, była lub będzie pogoda; jakie i gdzie poustawiać meble; w którym pokoju napalić na kominku; czy otworzyć okna lub zamknąć drzwi; jakie rośliny posadzić w ogrodzie a jakie wykopać...

To wam dopiero mile upływało życie! przerwał Keraban.

Sam widzisz, przyjacielu... I tak coraz było gorzej, może i skutkiem łagodności mego charakteru, gdyż wolałem zawsze ulegać i ustępować, dla spokojności.

Może to i najlepszy sposób, rzekł Ahmet.

Przeciwnie, najgorszy jaki być może! zawołał Keraban, gotów sprzeczać się o to do upadłego.

Tego już nie wiem, rzekł Van Mitten; dość że podczas ostatniej naszej

sprzeczki, postanowiłem stawić opór... i upierałem się przy swoim jakby prawdziwy Keraban.

Przez Allaha! to niepodobieństwo! zawołał Keraban, dobrze znający sam siebie.

Tak!... a nawet jeszcze zawzięciej niż Keraban! zawołał Van Mitten.

Mahomecie, mniej mnie w swej opiece! krzyknął Keraban; i on śmie utrzymywać że umie być upartym ode mnie!

Już co temu, to nikt chyba nie uwierzy! rzekł Ahmet tonem zdradzającym tak głębokie przekonanie, że aż wujowi jego słodko się zrobiło na sercu.

–No, no! przekonacie się zaraz, odrzekł spokojnie Van Mitten. Ostatnia nasza sprzeczka powstała z powodu tulipanów, tych prześlicznych kwiatów, liczących przeszło sto odmian. Jako prawdziwy amator, nie miałem tańszych cebulek jak po 100 florenów.

Ośm tysięcy piastrów! zawołał Keraban, nawykły obliczać wszystko na turecką monetę.

Tak, prawie ośm tysięcy piastrów, odpowiedział Holender. Otóż, czy uwierzycie! pewnego dnia pani Van Mitten poważyla się wyrwać prześliczną *Valencyę* aby na jej miejsce wsadzić *Oko słońca*... To już przebrało miarękę!... Stawiłem opór... ona upierała się... chciałem powstrzymać jej rękę... wydarła mi ją gwałtem i przyskakując do mojej *Valencyi*, wyrwała cebulkę.

Strata: ośm tysięcy piastrów! rzekł Keraban.

Wtedy, gniewem uniesiony, rzucam się na jej *Oko Słońca* i nogą gniotę na miązgę.

Strata: szesnaście tysięcy piastrów! rzekł Keraban.

Pani Van Mitten, rozłoszczona, rzuca się na drugą *Valencyę*...

Strata: dwadzieścia cztery tysiące piastrów! rzekł znów Keraban, jak gdyby pisał obliczenie w swej księdze handlowej.

Ja z mej strony odwzajemniam się zniweczeniem drugiego *Oka Słońca*...

Strata trzydzieści dwa tysiące piastrów, obliczał dalej Keraban.

Od tej chwili rozpoczęła się zacięta walka. Zaślepiąca gniewem, pani Van Mitten porywa dwie nadzwyczaj kosztowne cebulki i rzuca je we mnie; każda kosztowała przeszło po dwa tysiące florenów...

Strata: czterdzieści ośm tysięcy piastrów.

Ja odrzucam w nią trzy równie kosztowne...

Strata, siedmdziesiąt dwa tysiące piastrów...

I tak cebulki tulipanowe padały jak grad, i utarczka jakiej nikt pewnie jeszcze nie widział trwała z pół godziny... Gdy zabrakło cebulek, zabraliśmy się do ciepłarni... a tak przepadła cała moja bogata kolekcja!...

Co razem kosztowało cię, przyjacielu Van Mitten? zapytał Keraban.

Około 25,000 florenów, – ale pokazałem co mogę!

Dwukroć sto tysięcy piastrów! zawołał Keraban, zabawka ta drogo cię kosztowała!...

Następnie rozkazałem sprzedać moją nieruchomość i szacunek przelać do banku w Konstantynopolu, i zabrawszy mego wiernego Brunona, wyjechałem z Rotterdamu, przyrzekając sobie nie wracać tam póki pani Van Mitten nie opuści go...

Hm! hm! mruknął Keraban.

No cóż, przyjacielu Kerabanie, wiele też razy zdarzyło ci się okupić swój upór ceną 200,000 piastrów? zapytał Van Mitten.

Oto upór mocą którego postanowił okrążyć morze Czarne, aby nie zapłacić dziesięciu parasów. Podróż ta będzie go niezawodnie drożej kosztować, niż pana kosztowała walka na cebulki tulipanowe.

Mniejsza o to, niech kosztuje co chce, odrzekł oschle Keraban... Przyznaję, że według mnie, Van Mitten wolności swej nie okupił zbyt drogo.

W tejże chwili powóz dojechał do stacji; zmieniono konie, a choć podróżni dość byli znużeni, na prośbę Ahmeta w dalszą puszczone się drogę i nareszcie dojechali do Perekopu, w głębi zatoki tegoż nazwiska, łączącej Krym z lądem za pomocą przesmyku czyli między morza Perekopskiego.

Rozdział XIII

Nasi podróżni przejeżdżają wskroś starą Tauridę, i z jakim zaprzęgiem z niej wyjechali.

rym! ten starożytny Chersones taurycki, który zdaje się przeniesionym tu z najpiękniejszych okolic Włoch, z którego pan Ferdynand de Lesseps zrobiłby wyspę dwoma cięciami scyzoryka; zakątek o który ubiegały się wszystkie państwa pragnące osiąść cesarstwo Wschodu; stare państwo Bosforu podbijane kolejno przez Heraklean na trzysta lat przed erą chrześcijańską, a następnie przez Mitrydatesa Alainów, Gotów, Hunów, Węgrów, Tatarów, Genuńczyków. które Mahomet II uczynił podległym swemu państwu, a na koniec Katarzyna II przyłączyła stanowczo do Rosyi, w roku 1791.

Południowa część Krymu ze swym Czatyrdahem i amfiteatrem lasów dochodzących aż do morza, z kępami dzikich kasztanów, cyprysów, drzew migdałowych, szczodrzewu i uroczystych kaskad opisanych przez Puszkina, jest najpiękniejszym klejnotem w pośród prowincyi, ciągnących się od Azowskiego do Północnego morza. Tu wznosi się letni pałac cesarski Liwadia i wille największych magnatów rosyjskich.

Tu, w tej uroczej krainie, i umysł i oczy mają się czem zachwycać. Gdzie spojrzeć porozróżcane są wioski tatarskie, osady greckie, miasta wschodnie ze swemi meczetami, minaretami, muezynami i derwiszami, monastery prawosławne, pałace hanów, pustelnie upamiętnione romantycznymi przygodami; miejsca święte, cel licznych pielgrzymek; góra żydowska należąca do plemiona karaimów, oraz dolina Józefata, na której według miejscowej legendy, miliony zamieszkujących przez wszystkie czasy te okolice, stawić się mają na odgłos trąby sądu ostatecznego.

Ileż to ciekawych miejscowości mógłby tu zwiedzić Van Mitten! ile zanotować wrażeń doznanych w tym kraju który zwiedzał tak nadspodziewanie! Ale, niestety! przyjaciel jego nie podróżował dla poznania przebywanych krajów, a Ahmet, który z resztą znał już te okolice, nie darowałby mu ani godzinki, aby mógł je choć pobieżnie obejrzeć.

Przejeżdżając tak przez Krym, nie potrzebowali okrążyć morza Azowskiego, co by przedłużało drogę o jakie 150 mil. Powóz toczył się po wązkim przesmyku; z jednej strony ciągnęła się zatoka Perekopu, z drugiej bagna Siwaszu, znane więcej pod nazwą Zgniłego morza, obejmującego dwa miliardy metrów przestrzeni, zasycanego wodami Tauridy i morza Azowskiego.

W pobliżu bagnisk Siwaszu ciągnie się kolej wiodąca z Aleksandrowska do Sewastopola, i Keraban chcąc nie chcąc musiał słyszeć przeraźliwy świst lokomotyw przelatujących po relsach. Nazajutrz, 31 sierpnia, droga ciągnęła się ciągle wśród drzew zieleni. Tu i owdzie wznosiły się drzewa oliwne, których wiatrem poruszane liście zdawały się jakby posrebrzone; cyprysy tak ciemne iż wyglądały jak czarne, wspaniałe dęby i rozmaite wysokie krzewiny, a na wzgórzach piętrzyły się winnice.

Gdy dzień zawitał, podniosły się mgły gęste i niezdrowe, które rozeszły się dopiero za pojawieniem się promieni słonecznych.

Tu okolica była puściejsza i nie tak lesista. Tu i owdzie pasły się po polach wielkie dromadery, co przypominało puszcze arabskie. Cała miejscowość przedstawiała nader pierwotny pozór, ale za to w odosobnionych domkach wiejskich, przechowała się jeszcze starodawna tatarska gościnność. Każdy przechodzeń może wejść do nich, nasycić pragnienie i głód przy zastawionym zawsze stole, i odejść zapłaciwszy jednym słowem „dziękuję”.

Wieczorem stanęli w małym miasteczku Arabat.

Tam, na piasku, wznosi się forteca, u stóp której wznoszą się tu i owdzie domki. Nadzwyczaj gęsto rosnący po zagonach koper, służy za ukrycie gromadom swojskich węży, a całe rozległe pola zasadzane są kawonami.

Była dziewiąta wieczorem, gdy powóz zatrzymał się przed zajazdem dość skromnej powierzchowności; był to jednak najlepszy w tej mieścinie. Ale na krańcach Chersonesu nie można być bardzo wybrednym.

Siostrzeńcze Ahmecie, rzekł Keraban, już kilka dni i nocy z kolei, pędzimy bez wytchnienia, zatrzymując się jedynie na stacyach pocztowych; otóż przyznam ci się że z przyjemnością odpocząłbym kilka godzin w łóżku, choćby hotelowem.

O! ja bardzo byłbym rad temu, rzekł przeciągając się Van Mitten.

Lecz czyż można tracić dwanaście godzin czasu, w podróży mającej trwać sześć tygodni! zawołał Ahmet.

Czy chcesz abyśmy zaczęli rozprawę zostać czy nie zostać? zapytał Keraban ostrym tonem jaki często przybierał.

O! nie, nie! kochany wuju odrzekł Ahmet; skoro tylko potrzebujesz wypocząć...

Tak jest, i nie tylko ja ale i Van Mitten i Brunon, i zapewne nawet Nizib.

Panie Keraban, rzekł ośmielony pytającym jego spojrzeniem Brunon, jest to pomysł tak rozumny, że mogliby pozazdrościć go panu mędracy całego świata, – a cóż dopiero jeśli jeszcze pożywna wieczerza usposobi nas do snu.

Zapasy żywności jakie zebrali z sobą były już prawie wyczerpane, należało więc oszczędzać ich do czasu przybycia do Kerczu, dużego miasta na półwyspie tegoż nazwiska, gdzie można będzie zaopatrzyć się w nią obficie. Na nieszczęście, jeśli łóżka w zajeździe dość były wygodne, za to kuchnia i spiżarnia wiele zostawiały do życzenia. We wszystkich porach roku, mała tylko liczba turystów pojawia się na krańcach Tauridy; głównym klientami oberży w Arabat bywają głównie kupcy i handlujący solą, jadący z Kerczu do Perekopu, a ci wcale nie są wybredni tak pod względem noclegu jak i pod względem pożywienia.

Tak więc Keraban i towarzysze jego musieli poprzestać na skromnej bardzo wieczerzy; podano im narodową potrawę, półmisek ryżu z kurą, ale tak twardą, że tylko ostre zęby Kerabana podołać jej mogły. Uparty zawsze i tym razem nie chciał ustąpić. Potem podano mleko zsiadłe, a nakoniec dość smaczne placuszki, zwane tam „katlamas”.

Nazajutrz, dnia 2 września, Ahmet zerwał się równo ze wschodem słońca, i udał się do urzędu pocztowego dla zamówienia koni. Te które przybyli wczoraj, tak były zmęczone długą i ciężką drogą, iż chcąc jechać nimi dalej, potrzebaby pozwolić im odpocząć przynajmniej przez dwadzieścia cztery godzin.

Ahmet liczył na to że konie dostanie zaraz, każe zaprządzić i zajechać przed oberżę, aby wuj jego i Van Mitten mogli zaraz wsiąść do powozu i udać się niezwłocznie w dalszą podróż, drogą ku Kerczowi. Trafił łatwo do biura pocztowego, ale w stajni jego nie było ani śladu koni, i poczmistrz nie mógł ich dać za największą nawet zapłatę.

Ahmet, srodze strapiony, wrócił do zajazdu, w którym towarzysze podróży oczekiwali gotowi do wyjazdu, a nawet Keraban zaczynał się już niecierpliwic.

Cóż to, wracasz bez powozu? zapytał wchodzącego siostrzeńca, czyż mamy piechotą pójść na stację?

Niestety! kochany wuju, na nicby się to nie zdało, odrzekł Ahmet, nie ma ani jednego konia!

Co znowu!... zawołał Keraban.

I jutro dopiero będziemy mogli ich dostać.

Jutro?...

Stracimy dwadzieścia cztery godzin! rzekł z boleścią Ahmet.

Co! mielibyśmy stracić dwadzieścia cztery godzin, krzyknął Keraban, ależ ja nie chcę stracić ani dziesięciu, ani pięciu, ani nawet jednej!

Jednakże jeśli nie ma koni... rzekł Van Mitten uspakajając zaczynającego się już unosić przyjaciela.

Co to jest nie ma?... muszą być i będą!... zawołał Keraban, i wszyscy poszli do biura pocztowego.

Gdy dochodzili do niego zobaczyli poczmistrza stojącego na ganku, z miną człowieka najmocniej przekonanego że nikt nie zdoła go zmusić aby dał czego nie ma.

Nie masz pan koni? zapytał ostro Keraban.

Tylko te którymi panowie przyjechali, a są tak zmęczone że dalej iść nie mogą.

I z jakiegoż to powodu nie ma koni na stacji?

Bo zabrał je jakiś bogaty Turek jadący do Kerczu, z kąd, przez Kaukaz, ma się udać do Poti.

Bogaty Turek! krzyknął Keraban. Zapewnie jeden z tych tegoczesnych Osmanlisów przekształconych według europejskiej mody!... A! to już nadto!... nie dość że zawadzają nam na ulicach Konstantynopola, trzebaż jeszcze spotykać ich na drogach Krymu!... Cóż to za jeden?

Tyle tylko wiem że nazywa się Saffar, odrzekł obojętnie poczmistrz.

I dlaczegoż pozwoliłeś pan sobie oddać wszystkie konie *temu jegomościowi*, zapytał pogardliwie Keraban.

Ponieważ przyjechał na stację kilkanaście godzin pierwej niż pan, konie były wolne, nie miałem więc powodu odmówienia ich.

Przeciwnie! był bardzo ważny.

Bardzo ważny? zapytał poczmistrz.

Ma się rozumieć, skoro ja miałem przyjechać.

I cóż to było na to odpowiedzieć? To też poczmistrz popatrzył drwiąco na Kerabana, i chciał wejść do domu, ale tenże go zatrzymał, mówiąc:

Czy są konie, czy nie, mniejsza o to! ja muszę jechać natychmiast!

Natychmiast – bez koni?

To je pan wynajdź!

Nie ma koni w całym Arabat.

Znajdź pan choć parę, choć jednego... wreszcie choćby pół – ale znajdź koniecznie! wołał coraz więcej unoszący się Keraban.

Lecz jeśli nie ma koni w całym mieście, odezwał się pojedynczo Van Mitten.

Muszą być! krzyknął Keraban.

Może mógłbyś pan wynająć nam muły? – rzekł Ahmet.

Niechby już i muły!... poprzestałbym wreszcie i na nich; rzekł Keraban.

Nie widziałem nigdy mułów w tej okolicy, odrzekł poczmistrz.

No to jednemu może się teraz przypatrzeć, szepnął Brunon do ucha swemu panu wskazując oczami Kerabana; chyba nie ma na świecie upartszego muła.

To może znalazłyby się osły? rzekł znów Ahmet.

Nie ma ani mułów ani osłów.

Nie ma osłów! krzyknął Keraban. Cóż to, drwisz sobie ze mnie czy co? Nie ma osłów w całym kraju! któż temu uwierzy?...

I mówiąc to popatrzył gniewnie na prawo i na lewo, na garstkę krajowców jacy zgromadzili się przed stacją.

Gotówby ich zaprządź dó swej karety! szepnął Brunon Nizibowi.

Tak... ich lub nas!... odrzekł tenże, jako dobrze znający swego pana.

Nie ulegało wątpliwości że ponieważ bez koni, mułów lub osłów, niepodobna odjechać, trzeba więc będzie chcąc nie chcąc zatrzymać się dwadzieścia cztery godzin. Jakkolwiek Ahmet boleśnie uczuwał tę zwłokę, chciał jednak przekładać wujowi że nie można nie poddać się tak bezwzględnej konieczności, gdy wtem Keraban zawołał:

Sto rubli temu kto mi wynajdzie jaki zaprząg!

Słowa te silne wywarły wrażenie na obecnych; jeden z nich zbliżył się do Kerabana mówiąc:

Panie Turku, ja mam na sprzedaż dwa dromadery!

Kupuję twoje dromadery! odrzekł Keraban.

Kareta zaprzężona w dromadery! tego chyba nikt jeszcze nie widział! Otóż osobliwość tę mieli zobaczyć mieszkańcy Arabatu.

Targ stanął niebawem; Keraban zapłacił dromadery trzy razy więcej niż były warte, ale cóż go to obchodziło! Włożono uprząż na dromadery, a były właściciel przyjął na siebie obowiązek poczytyliona, naturalnie za hojne bardzo wynagrodzenie. Usadził się na dromaderze, powożąc jakby z konia, i kareta popędziła z niemałym zadziwieniem mieszkańców Arabatu i z większym jeszcze zadowoleniem podróżnych.

Wieczorem dojechali do stacyi odległej o dwanaście mil od Arabatu; i tu koni nie było na przeprząg, bo znów zabrał je bogaty Saffar. Trzeba więc było zanoć, aby dromadery mogły wypocząć. Wyjechali nazajutrz rano, trzeciego września; przebyli w ciągu dnia mil siedmnaście, przenocowali i następnego dnia wieczorem stanęli w Kerczu.

Keraban i towarzysze jego wyjechali 17 sierpnia, tak więc po dziewiętnastu dniach podróży, odbyli trzy siódme części drogi, to jest blisko mil 300, pozostawało tedy jeszcze 400 mil. Jeżeli jeszcze przez dwadzieścia sześć dni pozostających do 30 września, podróż pójdzie im równie pomyślnie, to w oznaczonym przeciągu czasu, zdołają objechać morze Czarne.

Mam jednak jakieś przeczucie że wszystko to źle się skończy! powtarzał często Brunon swemu panu.

Dla mego przyjaciela Kerabana?

Dla pana Kerabana... lub też dla jego towarzyszy!

Rozdział XIV

Pokazuje się że Keraban lepiej znał jeografię niż to przypuszczał siostrzeniec jego, Ahmet.

Miasto Kercz leży na półwyspie tegoż nazwiska, na wschodnim krańcu Tauridy. Nad miastem góruje góra Mitrydatesa, na której wznosiła się dawniej cytadella. Góra ta stercząca obok miasta będącego kiedyś stolicą królestwa Bosforu, słusznie nosi nazwisko tego straszego i nieubłaganego wroga Rzymian, który o mało nie wypędził ich z Azyi, tego śmiałego jenerała, a zarazem legendowego poliglotty i toxykologa. Tam to ów król Pontu, kazał przebić się szpadą galijskiego żołnierza, gdy nie zdołał się otruć, ponieważ na silny jego organizm oswojony z truciznami, żadna nie działała.

Te historyczne szczegóły opowiedział Van Mitten towarzyszom podróży, na co odpowiedział mu Keraban.

Ten Mitrydates nie umiał sobie radzić.

Jakto? spytał Van Mitten.

Bo jeżeli naprawdę chciał się otruć, dość mu było zjeść obiad w naszej oberży w Arabat.

Powóz wjechał do miasta, a różnorodna zamieszkująca je ludność, z wielkim zadziwieniem przyglądała się osobliwzemu zaprzęgowi. Kercz liczy kilkanaście tysięcy mieszkańców, składających się z Tatarów, Greków, Rossyan i Żydów.

Jak tylko zajechali do hotelu, Ahmet pobiegł na pocztę zamówić konie na jutro rano – na szczęście tu ich nie brakowało.

Dobrze iż tu i ów Saffar nie zabrał wszystkich koni! mruknął Keraban, nie mogąc darować śmiałkowi co poważył się wyprzedzać go i wynajmować wszystkie konie pocztowe.

Ponieważ dromadery nie były mu już potrzebne, sprzedał je przywódcy karawany, ma się rozumieć z wielką stratą. Stratę tę zapisał sobie na rachunek owego Saffara, którego nie było już w Kerczu, i tym tylko sposobem uniknął zajścia ze swym współzawodnikiem. Saffar już od dwóch dni opuścił Kercz i pojechał w stronę Kaukazu, tak więc nie będzie wyprzedzał już naszych podróżnych jadących drogą nadbrzeżną.

Pokoje w hotelu były dość wygodne, wieczerza smaczna, wszyscy więc mogli wypocząć dostatecznie. Ahmet wysłał list do Odessy, donosząc że podróż odbywa się dość szczęśliwie. Ponieważ nazajutrz, piątego września, mieli wyjechać dopiero o 10-ej rano, więc Van Mitten zerwał się jak tylko słońce weszło aby zobaczyć miasto. Tym razem Ahmet mu towarzyszył.

Przechodzili szerokie, z kamiennymi chodnikami ulice Kerczu, po których włóczyły się liczne gromady psów. Cygan, patentowany czyściciel, ma obowiązek zabijać i rozpędzać je batem. Widać dygnitarz ten musiał spędzić noc na jakiejś pohulance, zaniedbując swego zajęcia, gdyż psy tak zapychały

ulice że Ahmet i Van Mitten z trudnością przejść mogli.

Obłożone kamieniem ciosowym wybrzeża portu i przystani, pozwalają przechadzać się swobodnie. Tu wznosi się pałac gubernatora i biuro komory. Skutkiem płytkości wody, statki nie mogą zbliżyć się do nadbrzeża, lecz zatrzymują się przy kwarantannie gdzie morze jest bardzo głębokie i dno zdatne do zarzucenia kotwicy. Kwarantanna urządzona jest o pół mili od miasta, na wystającym w morze kamiennym przylądku, w miejscu gdzie leżało greckie miasto Marmikion; tu zatrzymują się wszystkie okręty przybywające z Lewantu po towary rossyjskie przywożone z Taganrogu na statkach nadbrzeżnych. Kercz przyłączony został do Rosyi w 1771, a w 1821 mianowany portem morskim. Handel kerczeński nie jest znaczny, a główny przedmiot wywozu stanowi sól krymska, w którą tak bogate są saliny Perekopu.

Po nad miastem, w samym jego środku, wznosi się dość wielkie stromo ku morzu pochylone wzgórze, zwane górą Mitrydatesa; na szczycie jej znajduje się kurhan, ogromnemi kamieniami pokryty, który nazywa się grobowcem Mitrydatesa. Ahmet i Van Mitten weszli na wzgórze; z jego wierzchołka roztacza się rozległy widok na zatokę kerczeńską. Pogodne niebo dozwalało widzieć niezliczoną liczbę kurhanów rozrzuconych po okolicy.

Gdy czas już było wracać, Ahmet wskazał Van Mittenowi wielkie schody kamienne otoczone balustradą i prowadzące z góry Mitrydatesa do miasta. Dosięgają one do palcu targowego. Nie spełna kwadrans wrócili do hotelu, w którym Keraban daremnie usiłował rozprawić z jego właścicielem, Tatarem bardzo ograniczonym. Przed hotelem czekał już powóz zaprzężony w konie rasy perskiej, których handel prowadzi się w Kerczu. Gdy wsiedli, konie ruszyły galopem – to też wcale nie żałowali dromaderów.

Pewien niepokój ogarnął Ahmeta, gdy dojeżdżali do zatoki. Przypominają sobie zapewne Czytelnicy, że w Chersonie zmieniono plan podróży. Na prośbę Ahmeta, Keraban zgodził się na to aby nie okrążyć morza Azowskiego, a natomiast obrać krótszą drogę przez Krym. Przystając na tę zmianę, mniemał że wszędzie będzie mógł podróżować łądem, a Ahmet nie wyprowadzał go z błędu.

Można przecie być jak najlepszym Turkiem, prowadzić wzorowo handel tytunem i tabaką, a mimo to nie znać bardzo dokładnie jeografii. Keraban nie wiedział pewnie że dopływ morza Azowskiego do morza Czarnego, odbywa się przez szeroki starożytny Bosfor Cymmeryjski, zwany cieśniną Jenikale, że zatem koniecznie będą musieli przepłynąć ją pomiędzy półwyspem Kerczu a półwyspem Tamańskim. Ahmet znał jaki wstręt żywił wuj jego do morskich podróży, cóż będzie jeśli gdy dojadą do tego miejsca, a z powodu prądów lub płytkości wody, trzeba będzie przebyć ją w najszerszem miejscu, obejmującym około dwudziestu mil przestrzeni. Jeśli wuj bezwarunkowo nie zgodzi się na to, jeśli zechce zawrócić i objechać w około morze Azowskie aż do granic Kaukazu? Jakaż to strata czasu! jakie przedłużenie podróży!... Prawie niepodobna będzie stanąć w Skutari na 30 września...

Oto nad czem rozmyślał Ahmet gdy powóz toczył się ku cieśninie; dojadą do niej za parę godzin – i wuj dowie się prawdy. Może lepiej uprzedzić

go zawczasu? Ale jakiejże to trzeba było zręczności, aby podobna rozmowa nie zamieniła się w sprzeczkę, a sprzeczką w kłótnię! Jeźliby Keraban uparł się przy swoim zdaniu, nikt i nic nie zdołałoby go skłonić aby je zmienił, i musieliby zawrócić do Kerczu.

Ahmet nie wiedział co począć. Jeśli się przyzna do podstępu, wuj może unieść się niepohamowanym gniewem?... Może więc lepiej udać że nie zna jeografii, okazując największe zadziwienie, gdy nagle zamiast lądu zobaczą ciałinę?

Droga była dość ciężka, nie mogli więc jechać prędko, co dozwalało Van Mitten'owi rozpatrzeć się w tej części Chersonesu. Był to step w całej swej nagości. Tu i owdzie przeciągały karawany, wypoczywając pod tak zwanym szańcami Akos, przedstawiając malowniczy obraz wschodniego obozowiska. Niezliczona liczba rozsianych tu kurhanów, nadawały całej okolicy smutny pozór ogromnego cmentarzyska. W kurhanach tych po rozkopaniu znajdowano kosztowne ozdoby złote, wieńce, berła, tarcze, wazy greckie i naczynia różnej wielkości, zdobiące obecnie ściany muzeum Kerczu.

Około południa, ukazała się na horyzoncie duża czworokątna wieża, otoczona czterema wieżyczkami; był to fort wznoszący się na północ miasteczka Jenikale. W stronie południowej, przy końcu zatoki Kerczu, ukazywał się przylądek Au-Burum, wyniesiony po nad wybrzeża morza Czarnego; a w oddali, szkicowały się pierwsze zarysy Kaukazu, tworząc jakby olbrzymią ramę okalającą Bosfor Cymeryjski.

Cieśnina ta tak jest podobna do odnogi morskiej, że Van Mitten znający wstręt przyjaciela do morskich podróży, spojrzawszy z zadziwieniem na Ahmeta. Ten dał znak aby nic nie mówił. Na szczęście Keraban spał i nie widział wód morza Czarnego i morza Azowskiego, jednoczących się w tym zundzie, liczącym w najwęższym miejscu pięć do sześciu mil szerokości.

Tam do licha! rzekł sobie Van Mitten.

Wielka szkoda że uparty Keraban nie urodził się o kilkaset lat później, gdyż gdyby wtedy odbywał podróż, Ahmet nie potrzebowałby się niepokoić, gdyż w cieśninie tej gromadzi się tak wielka ilość muszlowatych piasków, iż kiedyś nareszcie zamieni w wązką łachę, o bystrym prądzie. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu, okręty Piotra Wielkiego mające oblegać Azow mogły przepłynąć to cieśninę. Dziś proste statki handlowe, muszą oczekiwać aż wody pędzone wiatrem południowym, przybiorą dziesięć do dwunastu stóp głębokości.

Ale był to rok 1882 a nie 200, trzeba więc było poprzestać na istniejących warunkach hydrograficznych.

Keraban obudził się gdy powóz zajeżdżał przed oberżę w Jenikale.

Czy dojechaliśmy do stacyi? zapytał.

Tak, to stacya Jenikale, odpowiedział Ahmet.

Wysiadłszy z powozu, podróżni nasi weszli do oberży. Zmieniwszy

konie, powóz zwrócił się ku przewozowi, gdzie urządzony jest prom do przewożenia podróżnych pieszych lub jadących konno, wozów, pojazdów, a nawet całych karawan udających się z Azji do Europy lub naodwrot.

Miasteczko Jenikale prowadzi zyskowny handel solą, kawiozem, łojem i wełną. Mieszkańcy przeważnie Grecy, trudnią się połowem jesiotrów i łaszców. Marynarze żeglują wzdłuż brzegów, w małych dwu-żaglowych statkach; wynajmują ich do przewozu ładunków i towarów. Jenikale jest ważnym punktem strategicznym, i dlatego zostało ufortyfikowane, gdy Rosja zdobyła je na Turkach 1771. Jest to jedna z bram morza Czarnego, które w tym punkcie posiada dwa klucze bezpieczeństwa; Jenikale z jednej, Tarman z drugiej strony.

Po półgodzinnym wypoczynku, Keraban dał znak do odjazdu; zwrócili się ku wybrzeżu, gdzie prom oczekiwał. Keraban najpierw obejrzał się na prawo i na lewo, poczem wydał mimowolny okrzyk.

Co się stało, kochany wuju? zapytał Ahmet kryjąc swój niepokój.

Więc to jest rzeka? zapytał wskazując ciałninę.

A tak, rzeczywiście, odrzekł Ahmet nie chcąc wywodzić go z błędu.

Co! rzeka? ... zawołał Brunon.

Van Mitten skinął na niego żeby milczał.

Cóż znowu, nie jest wcale rzeka tylko... zaczął Nizib.

Silne szturgnięcie łokciem w bok nie dało mu dokończyć.

Keraban ze swej strony ciągle przyglądał się owej rzece, zagradzającej mu drogę.

Rzeka jest bardzo szeroka! rzekł powoli.

Tak... rzeczywiście... dość szeroka... zapewne skutkiem przyboru wody, odrzekł Ahmet.

A tak – spowodowanego stopnieniem śniegów, dodał Van Mitten, przychodząc w pomoc młodemu przyjacielowi.

Stopnieniem śniegów... w miesiącu wrześniu? rzekł Keraban zwracając się do Van Mitten'a.

No, tak... stopnienie śniegów... starych śniegów kaukazkich, odrzekł tenże sam nie wiedząc co mówi.

Ależ nie widzę mostu po którym możnaby przejechać rzekę? rzekł Keraban.

Rzeczywiście nie ma już mostu, odrzekł Ahmet, patrzący zamiast lornety przez dwie przymknięte ręce, jak gdyby chcąc łatwiej dojrzieć mniemany most

na mniemanej rzece.

A jednak powinienby most być tutaj... rzekł Van Mitten. Mój *Przewodnik* zaznacza to most.

Aha! Przewodnik twój mówi o istnieniu tu mostu!... rzekł Keraban, i zmarszczywszy brwi spojrzał ostro na Holendra.

Tak, tak... mostu bardzo starożytnego...

Tak starego że nie mógł oprzeć się przybraniu wód skutkiem stopnienia śniegów... starożytnych śniegów Kaukazu, odrzekł Keraban zaciskając usta.

Ahmet stał na uboczu. Milczał nie widząc co mówić żeby nie rozgniewać wuja, co mogłoby nader źle pociągnąć za sobą następstwa.

No, mój siostrzeńcze, rzekł oschle Keraban, jakże sobie poradzimy żeby przebyć rzekę na której nie było lub nie ma już mostu?

Oh! upatrzymy miejsce w którym w bród przebyć ją będzie można... taka jest płytką! odrzekł jakby od niechcienia.

Zaledwie podeszwy by się zanużyły! dodał bardzo niepotrzebnie Van Mitten.

Aa! skoro tak, zawołał Keraban, dalej przyjacielu, odwiń pantalon i wejdź w rzekę, my pójdziemy za tobą.

Ale... ja...

No, bez żadnych ale... zawijaj pantalon!... prędeż!...

Przywiązany do pana swego Brunon, wmięszał się do rozmowy, aby mu przyjść w pomoc.

Nie ma potrzeby, proszę pana, rzekł do Kerabana, przejdziemy nie zamoczywszy nawet podeszew; jest prom.

Aa! jest prom!... jak to dobrze iż pomyślano o urządzeniu promu na tej rzece... który zastąpił most..., ów starożytny most!... I czemu nie mówiliście tego zaraz?... Gdzież jest ten prom?

Tu zaraz, kochany wuju, rzekł Ahmet, wskazując prom doprowadzony do brzegu. Powóz nasz już wprowadzono na niego.

Czy tak? I któż to wydał ten rozkaz?

Nikt; sam poczmistrz kazał go tam wprowadzić... jak to zawsze miewa miejsce.

Od czasu jak nie ma owego starożytnego mostu, wszak tak? rzekł szydersko Keraban.

A z resztą, kochany wuju, nie ma innego sposobu dojechania do Skutari.

Mylisz się panie siostrzeńcze, można się zawrócić ku północy i okrążyć morze Azowskie.

Ależ wuju, przedłużyłoby to podróż o dwieście mil, a mój ślub... a Ramadan czy zapomniałeś o tem?

Niczego nie zapomniałem, i potrafię powrócić na oznaczony czas. No, ruszajmy!

To powiedziawszy, Keraban zwrócił się ku promowi; towarzysze podróży poszli za nim. Zatrzymał się na wybrzeżu i przez parę minut oglądał się do koła. Nareszcie wszedł na prom i wszedł do powozu. Ahmet, Van Mitten, Brunon i Nizib, zajęli także swoje miejsca.

Odwiązany prom, odpłynął i prąd poniósł go ku przeciwnej stronie. Keraban milczał – nikt więc nie śmiał przemówić.

Z początku fale były spokojne i przewoźnicy z łatwością mogli kierować promem; ale niebawem wiatr się zerwał, popychając prom w głąb zatoki, zamiast do przeciwnego brzegu. W taki razie, zamiast jednej, pięć mil przepłynąćby trzeba, można więc było obawiać się że zniecierpliwiony już Keraban, każe zawrócić.

Ale Ahmet szepnął kilka słów przewoźnikom, z obietnicą sutej nagrody, i w godzinę po opuszczeniu wybrzeża Jenikale, podróżni, konie i powóz, dobili do drugiego brzegu.

Cztery wiorsty oddzielające ich od miasteczka Taman przejechali w godzinę, a Keraban patrząc znacząco na Ahmeta, rzekł tylko:

Widocznie wody morza Azowskiego i morza Czarnego zachowują się dość zgodnie w cieśninie Jenikale.

I nigdy już nie wspominał o rzece Ahmeta ani o starożytnym moście przyjaciela Van Mitten'a.

Rozdział XV

Keraban, Ahmet, Van Mitten i obaj służący, wyglądają jak Salamandry.

Mała miejscina Taman ze swemi niewygodnymi domkami pokrytymi słomą wypłowiła działaniem czasu i drewnianym kościołkiem, dość smutnie się przedstawia. Podróżni nie zatrzymali się w tem mieście, tak więc Van Mitten nie mógł zwiedzić ani ważnej stacyi wojennej, ani fortecy, ani ruin Tumtarakanu.

Jeżeli z powodu przeważającej liczby mieszkańców greckiej narodowości i obyczajów, Kercz można nazwać greckim miastem, to Taman uważać należy za kozackie. Rażąca tę różnicę nawet w przejeździe tylko, dostrzegł Holender. Wybierając zawsze najkrótsze drogi, powóz toczył się przez godzinę po południowym wybrzeżu zatoki Tamańskiej; podróżni mogli zrobić spostrzeżenie że może na całym świecie nie ma miejscowości lepiej nadającej się do polowania, spotykali bowiem ciągle bajeczną liczbę stad pelikanów, kormoranów, dropi, czubatych nurów, unoszących się i gnieździących na ogromnych bagnach.

Gdy powóz skręcał na południo-wschód, turkot jego spłoszył niezliczone stada kaczek, widząc to Van Mitten zawołał.

A to ładna gromadka, istny pułk kaczek!

Pułk! powtórzył Keraban wzruszając ramionami, chciałeś zapewne powiedzieć: cała armia!

Masz słuszość, przyjacielu, a to co najmniej sto tysięcy kaczek!

Sto tysięcy! jest co najmniej dwakroć sto tysięcy! zawołał Keraban.

Tak, będzie pewnie dwakroć sto tysięcy.

Mówiąc trzykroć sto tysięcy, powiem jeszcze za mało.

Masz słuszość, odrzekł Van Mitten, nie chcąc zaprzeczać aby nie doszło do miliona kaczek.

Czas był piękny, droga dość dobra; konie biegły prędko i nie brakło ich na żadnej stacyi. Ponieważ dobrze wypoczęli podczas noclegu w Kerczu, postanowili więc nie zatrzymywać się na noc jechać bez przystanku przez trzydzieści sześć godzin.

Nad wieczorem wypoczęli chwilę na jednej z stacyi, będącej zarazem zajazdem. Nie wiedząc czy na Kaukazie będą mieli łatwość zaopatrzenia się w artykuły żywności, postanowili zjeść wieszę, aby oszczędzić zapasów zrobionych w Kerczu.

Zajazd nie był wykwiniony ale w żywność dobrze zaopatrzony, dziwili się tylko że czy skutkiem niedowierzania zwyczajów miejscowych, gospodarz kazał sobie naprzód płacić za wszystko, w miarę podawania. I tak, przyniosłszy chleb, powiedział:

Proszę o dziesięć kopiejek.

Ahmet zapłacił.

Następnie podawszy jaja, rzekł:

Ośmdziesiąt kopiejek.

I Ahmet wyliczył żadaną sumę.

Potem znów: tyle a tyle za kwas; za kaczki, za sól, tak, nawet za sól.

Ahmet płacił, i tak z kolei trzeba było płacić naprzód za obrus, serwety, noże, widelce, łyżki, szklanki, talerze, a nawet za ławki na których siedzieli. Gniewało to niewymownie Kerabana, aż zniecierpliwiony zakupił hurtem wszystko czego tylko potrzebować mogli, a w dodatku zwymyślał porządnie właściciela, który zgarnąwszy pieniądze, słuchał obelg spokojnie, z najzimniejszą krwią. Po wieczerzy, odkupił wszystko, za połowę ceny.

Dobrze jeszcze że nie każe nam płacić za oddychanie! zawołał Keraban. Człowiek ten nadałby się wybornie na ministra finansów państwa Ottomańskiego; dopierożby opodatkował najłżejsze poruszenie wiosł kajaków Bosforu!

Gdy wyjeżdżali, zapadła już noc ciemna, bez księżycowa. Keraban i towarzysze jego, w pół senni, w pół rozmarzeni ciemnością i nocną podróżą przez nieznaną przestrzeń, siedzieli milcząc. Około jedenastej, szczególny jakiś szmer zwrócił ich uwagę. Był to pewien rodzaj syczenia, podobny do wydobywającego się z butelki odkorkowanej wody salcerskiej, tylko dziesięciokrotnie silniejszy.

Konie stanęły; pocztylion mógł je zaledwie utrzymać. Ahmet spuścił okno powozu, i wychylając głowę, zapytał:

Co to za syk? dlaczego stoimy?

Są to błotne wulkany, odpowiedział pocztylion.

Błotne wulkany? krzyknął Keraban; kto słyszał kiedy o błotnych wulkanach!... Doprawdy śliczną drogę wybrałeś Ahmecie!

Niech panowie zechcą wysiąść, rzekł pocztylion.

Wysiąść!... Ja mam wysiadać?... zawołał Keraban.

Tak panie, radzę iść piechotą za kareta, dopokąd nie minimy tej miejscowości, gdyż nie mogę ręczyć że zdołam utrzymać konie aby nie poniosły.

Kochany wuju, pocztylion ma słuszość, trzeba wysiąść, rzekł Ahmet.

Trzeba będzie przejść cztery a może najwięcej pięć wiorst.

Wysiadajmyż więc, rzekł Keraban; błotne wulkany!... To coś ciekawego, przyjacielu Van Mitten, warto zobaczyć.

Wysiadł a zanim towarzysze podróży, i zaczęli iść za wolno bardzo posuwającym się powozem, którego latarnie oświetlały drogę.

Noc była bardzo ciemna, i dlatego nie mogli widzieć naturalnego fenomenu o którym mówił im pocztylion; słyszeli za to doskonale przeraźliwy

syk, głośno niekiedy rozlegający się w powietrzu.

Gdyby tak jechali w dzień widzieliby wielki step pokryty wyniosłymi stożkami podobnymi do ogromnych mrowisk, jakie się napotyka w pewnych okolicach podzwrotnikowej Afryki. Z tych stożków wybuchają źródła gazowe i siarczane, znane pod nazwą „błotnych wulkanów” chociaż działalność wulkaniczna żadnego nie bierze udziału w objawie tego fenomenu. Jest to po prostu mieszanina błota, gipsu, wapienia, pirytu a nawet oleju skalnego, wybuchająca z pewną gwałtownością, pod ciśnieniem gazu wodoru węglowego.

Wytwarzający się w tych warunkach gaz wodorodny, powstaje z powolnego ale nieustającego rozkładu oleju skalnego, pomieszanego z różnymi temi substancjami. Skaliste ściany w których się znajduje, kruszą się nareszcie pod działaniem wód, czy to deszczowych czy źródłanych przesiąkających nieustannie – i wtedy następuje wybuch, tak samo jak sprężystość gazu opróżnia, rozsadzając butelkę napełnioną musującym płynem.

Niezliczona liczba takich wybuchających stożków rozrzucona jest na powierzchni półwyspu Tamańskiego. Znajdują się one także na podobnych gruntach półwyspu Kerczu, ale nie w pobliżu drogi którą jechali nasi podróżni, nie mogli więc ich zobaczyć.

Teraz szli w pośród tych parą buchających wyniosłości, tryskających błotem, których naturę Van Mitten wytłomaczył towarzyszący. Niekiedy szli tak blisko tych małych kraterów że wybuchy gazu w twarz ich uderzały.

Rozpoznając obecność gazu oświetlającego, Van Mitten rzekł do Kerabana:

Droga ta nie bardzo jest bezpieczna, – mógłby nastąpić wybuch.

Masz pan słuszność, odpowiedział Ahmet; ostrożność nakazuje zagasić...

Widać też samą uwagę zrobił sobie poczytliwym nawykły przebywać tę drogę, gdyż w tejże chwili latarnie powozu zgasły.

Nie palić! zawołał Ahmet zwracając się do Brunona i Niziba.

Może pan być o to spokojny, odpowiedział Brunon, nie mam ochoty wylecieć w powietrze.

A toż co znowu! zawołał Keraban, więc już i palić tu nie wolno?

Nie wolno, kochany wuju ... przynajmniej chociaż przez parę wiorst.

Nawet maleńkiego cygara? zapytał zwiijając szczyptę tytoniu.

Zaczekaj trochę, przyjacielu Kerabanie, zaczekaj, dla wspólnego naszego bezpieczeństwa. Palić na tym stepie jest tak niebezpieczne jakby w

składzie prochu.

Śliczny kraj! nie ma co mówić, mrucał Keraban. Najniezawodniej handlujący tytuniem nie dorobią się tu majątku... Przyznaj teraz, siostrzeńcze Ahmecie, że lepiej było nadać drogi i objechać morze Azowskie.

Ahmet nic nie odpowiedział, nie chcąc wywołać sprzeczki. Keraban mrużąc schował tytuń do kieszeni, i szli dalej za powozem ledwie dającym się dostrzedz w ciemności. Droga przerzynana wyrwami, nie łatwą była do przebycia, musieli więc postępować bardzo ostrożnie. Szczęściem nie było wiatru, więc para prosto unosiła się w powietrzu, nie otaczając podróżnych, coby im bardzo utrudniało drogę.

Szli tak bardzo powoli, przez pół godziny; konie wspinały się ciągle, tak że pocztylion zaledwie mógł je utrzymać. Resory powozu skrzypiały ilekroć koła wpadały w wyboje, nie pękły jednak, dzięki niezwyklej swej wytrzymałości, jakiej dały już dowód w bagnach po nad dolnym Dunajem. Za jaki kwadrans wydostaną się już zapewne z przestrzeni pokrytej błotnami wulkanami.

Wtem nagle, z lewej strony drogi, wielka zabłysła jasność; jeden stożek zapalił się tak jasny roztaczając płomień, że oświetlił step na przestrzeni wiorsty.

Któż tu pali! krzyknął Ahmet, idący nieco naprzód, i prędko się odwrócił.

Nikt nie palił.

Wtem rozległ się krzyk pocztyliona, który żadnym sposobem nie mógł utrzymać koni. Zbiegały się przestraszone, unosząc powóz nadzwyczaj szybko.

Wszyscy zatrzymali się jednocześnie. W pośród czarnej nocy step przedstawiał przerażający widok.

Płomień wybuchający ze stożka udzieliły się sąsiednim; jedne po drugich wybuchały gwałtownie, jakby krzyżujące się z sobą ognie sztuczne. Teraz całą płaszczyznę oświetlała świetlana illuminacja, ukazująca rozsiane setki ogniem ziejących wytrysków, w których gazy płonęły w pośród wyrzucanych materii płynnych, jednych świecących ponuro jak olej skalny, innych zabarwionych rozmaicie, skutkiem obecności białej siarki, pirytu lub węgla żelaza.

Jednocześnie głuchy grzmot przebiegał marglowatą ziemię. Czyż miałyby się rozstać pod zbyt cięśnieniem wybuchliwych materii?

Wielkie zagrażało niebezpieczeństwo. Wiedzeni instynktem, Keraban i towarzysze jego rozstąpili się, aby nie zostali pochłonięci wspólnie. Nie mogli się zatrzymać ale musieli biec jak najspieszniej, aby jak najprędzej wydostać się z tej niebezpiecznej miejscowości. Jasno teraz oświetlona droga, zdawała się możebną do przebycia; wiła się wśród stożków po płonąącym stepie.

Prędzey! prędzey! wołał Ahmet.

I biegli w kierunku powozu którego już dojrzyć nie mogli. Po za horyzontem zdawało się że nocna ciemność step zalega; widać tam było krańce stożkami pokrytej przestrzeni którą należało minąć jak najśpieszniej.

Wtem nagle silniejszy daleko wybuch nastąpił na samej drodze; w mgnieniu oka grunt się podniósł, i płomień buchnął wielkim otworem. Keraban upadł, spostrzeżono że miota się wśród płomieni: jeżeli nie zdoła się podnieść – już po nim!...

Jednym skokiem Ahmet rzucił mu się na pomoc i pochwycił, zanim dosięgnęły go płonące gazy. Uniósł go na wpół zaduszonego wyziewami wodorodu.

Wuju! wuju! wołał.

Wszyscy pomagali się ratować, próbując wpuścić nieco powietrza w płuca. Nareszcie po długich usiłowaniach, dało się słyszeć upragnione odetchnienie. Silna pierś Kerabana zaczęła prędko podnosić się i opadać, wyrzucając zabójcze zapełniające ją gazy. Odetchnął w końcu długo, odzyskał przytomność, a pierwszemi słowami gdy już mógł przemówić, były następujące:

Zapewnie nie poważysz się dowodzić, Ahmecie, iż nie byłoby lepiej okrążyć morze Azowskie?

Masz słuszność, kochany wuju.

Jak zawsze, mój siostrzeńcze.

Zaledwie słów tych domówił, głęboka ciemność zaległa step tak jasno oświetlony przed chwilą – wszystkie stożki zagasty nagle i jednocześnie jak gdyby ręka bieglego maszynisty zmieniała nagle na scenie dekoracją. Wszystko teraz przedstawiało się czarne, a to tem więcej że nie zatarało się jeszcze w oczach wrażenie olśniewającej jasności, zagastej tak nagle.

Podróźni zatem nasi uniknęli szczęśliwie niebezpieczeństwa; parę wiorst dalej, pocztylion zdołał powstrzymać konie i zapaliwszy latarnie oczekiwał na Kerabana i jego towarzyszy, którzy doszedłszy tam zajęli swoje miejsca. Ruszono dalej; noc przeszła spokojnie.

Van Mitten zachował niezatarte wspomnienie tego niezwykłego widoku. Gdyby, zrzędzeniem losu dostał się w owe okolice Nowej Zelandyi gdzie w jednej chwili zapalają się źródła rozrzucone na amfiteatrze wzgórz buchających ogniem, nie doznałby silniejszego wrażenia.

Nazajutrz, 6 września, wieczorem o godzinie ósmej, zatrzymali się w miasteczku Rajewskaja, na pograniczu ziemi kaukaskiej.

Rozdział XVI

Wielka sprzeczka jaki tytoń lepszy: perski czy z Azji Mniejszej.

Przestrzeń rozciągająca się między morzem Czarnym i Kaspijskim, nosi nazwę Kaukazu albo kraju Kaukazkiego; składa się z niezmiernych równin poprzerynanych pasmami gór, których odnogi łączą się z górami Tauru. Kaukaz graniczy na północ z rzekami Manyrzem i Kumą; na wschód z morzem Kaspijskim; na południe z Persją i Turcją; na zachód z morzem Czarnym i Azowskim. Powierzchnia obejmuje około 49,000 mil kwadratowych. Składa się z kraju Przedkaukazkiego i Zakaukazkiego. Okolica leżąca na południe głównego łańcucha gór kaukazkich, nosi nazwę kraju Zakaukazkiego, i graniczy z Turcją i Persją, około góry Ararat, gdzie według Biblii osiadła po potopie arka Noego.

Okolice te zamieszkują lub przebywają liczne plemiona rasy kaptewelskiej, armeńskiej, czerkieskiej, Czeczeńców i Legzińców. Na północy zamieszkują Kałmucy, Nogaje, Tatarzy mongolscy, na południe Tatarzy rasy tureckiej, Kurdowie i Kozacy. Według twierdzenia znakomitych uczonych, z tej to pół europejskiej, pół azyatyckiej okolicy, pochodzi rasa biała zamieszkująca obecnie Azję i Europę, i dlatego nadali jej nazwę „rasy kaukazkiej”.

Trzy drogi ciągną się przez Kaukaz. Pierwsza, wzdłuż wybrzeży morza Czarnego; druga z Mosdok do Tyflisu, trzecia przez Derbend.

Keraban, zgodnie z Ahmetem wybrali pierwszą, jako najkrótszą, przy której nie brak wsi i miasteczek, pozwalających znaleźć wypoczynek i artykuły żywności. W prawdzie mogliby przyspieszyć podróż jadąc koleją z Rostowa do Władi-Kaukazu, a o 15 mil dalej z Tyflisu do Poti, ale Ahmet wiedział że wuj ani słyszeć o tem nie chciał.

Dnia 7 września w dalszą puścili się drogę. Ahmet nie zaniedbywał nic coby podróż przyspieszyć mogło: – pod tym względem Keraban nie stawiał mu przeszkód. Już tylko dwadzieścia cztery dni im zostawało aby w oznaczonym terminie przybyć do Skutari. Van Mitten pragnęły inaczej podróżować; zatrzymywać się w piękniejszych i ważniejszych miejscowościach, oglądać osobliwości, ale nie pytano go o zdanie, wreszcie sam wiedział że czas nagli.

Gdy już dojechali do Kaukazu, Brunon miał sobie za obowiązek zrobić ukochanemu panu niektóre uwagi; wysłuchawszy ich Van Mitten zapytał:

Więc jakież to z tego wszystkiego wyprowadzasz wnioszek?

Że najlepiejby pan zrobił gdyby pożegnał obu panów Turków, niech sobie pędzą dalej na złamanie karku po wybrzeżach morza Czarnego, a my tu pozostajemy.

Chcesz żebyś opuścił przyjaciela Kerabana?

Tak; niech mu pan życzy szczęśliwej drogi; co do nas, skoro zagnały nas tu nieprzyjazne losy, zatrzymajmy się czas jakiś dla zwiedzenia Kaukazu, potem wrócmy spokojnie do Konstantynopola, gdzie nie dosięgnie nas prześladowanie pani Van...

Cicho! cicho! Brunonie, nie wymawiaj tego nazwiska.

Nie wymienię go aby panu nie robić przykrości... a przecież tej to osobie zawdzięczamy zaplątanie się w tę nieszczęsną awanturę. Pędzić dzień i noc co koń wyskoczy, być narażonym na zatonięcie, w bagnach lub upieczenie w ogniem gorejącej krainie – doprawdy to więcej jak za nadto... Radziłbym panu zatem, – nie rozprawiając o tem z panem Kerabanem, bo go nie przegadasz, zawiadomić go uprzejmym bilecikiem aby sobie jechał dalej, gdyż pan wraca do Konstantynopola, gdzie będzie go oczekiwał.

To byłoby niegrzecznie, odrzekł Van Mitten.

Ale bardzo rozumnie.

Czyż ci tu tak bardzo źle? zapytał Van Mitten.

Wcale nie dobrze, a potem czyż nie widzi pan że zaczynam chudnąć?

No, nie bardzo, Brunonie, nie bardzo.

Chciałem się zważyć w Kerczu, ale nie było innej wagi prócz listowej.

A ta pewnie była za mała, odrzekł śmiejąc się Van Mitten.

Trochę, odpowiedział poważnie Brunon, ale jeżeli tak dalej potrwa, zobaczy pan że będzie dostateczną. No, cóż, czy rozstaniemy się z panem Turkiem?

Jakkolwiek podobny sposób podróżowania nie mógł podobać się poważnemu i systematycznemu Holendrowi, nie mógł jednak zgodzić się na sprawienie takiej przykrości swemu przyjacielowi.

Nie, Brunonie, nie mogę odstąpić przyjaciela, jestem jego gościem, zaproszonym na obiad...

Na który chcąc przybyć, musimy zamiast mili przejechać mil siedmset – miłe zaproszenie!...

Cóż robić!...

Zostać tutaj panie, bo mam jakieś przeczucie że czekają nas stokroć przykrzejsze przygody, które szczególnie panu dadzą się we znaki.

Droga nieustannie prawie ciągnęła się wybrzeżami morza Czarnego, zaledwie tu i owdzie na kilka wiorst się odsuwając. Od strony wschodu rysowały się na horyzoncie ostatnie odnogi gór Kaukazkich, prawie wiecznym pokrytych śniegiem.

Minąwszy kilka miasteczek, około pierwszej dojechali do Gidendżyka; na wybrzeżach okręgu morza Czarnego, miasteczka rozrzucone są w niewielkiej od siebie odległości, ale nieco dalej, kraj jest prawie pustynią. Między górami a morzem, okolica jest piękna i lesista; rosną tu piękne dęby, lipy, orzechy, kasztany i platany, otoczone zwojami dzikiego wina; w pośród tych lasów świergoczą piegże i słowiki.

Okolo południa spotkali klan Kałmuków koczujących. Rozpinają oni swoje namioty już to na stepie, już w zielonych dolinach lub nad brzegami wód, stosownie do polecenia swoich wodzów. Kałmucy pochodzą od Mongołów; niegdyś licznie bardzo zamieszkiwali krainę Kaukaską, następnie przeważna liczba wyemigrowała do Azji. Zachowali oni odrębny swój strój i obyczaje. Mężczyźni noszą szerokie pantalonki, spiczaste, barankami obłożone lub całkiem barankowe czapki, safianowe buty i szerokie burki czyli „kalaty”. Ubiór kobiet nie wiele się różni; na głowie noszą rodzaj czapek, z pod których wysuwają się warkocze, przybrane w różnobarwne wstążki. Dzieci chodzą prawie nago.

Kałmucy są niskiego wzrostu ale silnie zbudowani, zwinni, zręczni, doskonali jeźdźcy; żywią się rodzajem zupy z mąki ugotowanej na końskim mięsie; nałogowi pijacy i złodzieje, ciemni i zabobonni do najwyższego stopnia, oto obraz tego plemienia koczującego ciągle po stepach kaukaskich. Powóz przejechał przez koczowisko prawie nie zwróciwszy ich uwagi. Może niektórzy spojrzeli zawistnie na ręce ciągnące go rumaki, nie napastowali jednak podróżnych, pozwalając im dojechać spokojnie do najbliższej stacji. Nazajutrz o dziesiątej rano dojechali do Dusza.

Tu musieli czekać parę godzin, zanim poczmistrz sprowadził konie z pastwiska.

Podróż odbywali teraz spokojnie, ale też nie urozmaicało jej żadne ważniejsze wydarzenie i Van Mitten nie miał co zapisać w swoich notatkach.

Może przy tej sposobności, rzekł, nastąpi się jakaś niespodzianka urozmaicająca nudną podróż, lub może jest tu coś warte zwiedzenia. Spodziewam się że młody mój przyjaciel Ahmet, pozwoli przecie nam odetchnąć.

Dobrze, dopokąd nie założą koni, odpowiedział Ahmet, nie zapominaj pan że już 9 września.

Masz słuszność, Ahmecie, rzekł Keraban, ale dowiedz no się czego to można dostać.

Miasteczko to podobne jest do wiosek kozackich opalisadowanych, z bramami po nad którymi wznoszą się czworokątne wieżyczki dla straży, czuwającej we dnie i w nocy. Domy są drewniane, ściany ich wyrzucone gliną, dachy wysokie słomiane. Piękne drzewa otaczają je do koła; ludność jest dość zamożna.

Zajazd był nie bardzo ponętny. Gdy Keraban z towarzyszami zasiedli do stołu, zastawiono obiad; potrzebne do niego zapasy zakupiono w sąsiednim

sklepiku, którego właściciel bywa tu najczęściej zarazem masarzem, rzeźnikiem, szynkarzem i kupcem korzennym. Obiad składał się z pieczonego indora, ciastek z mąki kukurydzowej z serem, i z blinów; za napój podano jakiś rodzaj gęstego piwa i kilka flaszek mocnej wódki, której używanie jest tu nadzwyczaj rozpowszechnione.

Możnaż było wymagać więcej od małego zajazdu w podrzędnej mieścinie, leżącej na krańcach morza Czarnego? To też podróżni nasi zjedli z apetytem, zadowoleni ze zmiany potraw.

Po obiedzie, Ahmet udał się zaraz do biura pocztowego aby zaprzęgano jak najprędzej, a Keraban i Van Mitten wyszli zasiąść na wystawce, wspartej na słupach u stóp których szemrał szeroki strumień.

Trudno było o lepszą sposobność użycia słodkiego far niente i zatonięcia w rozkosznych marzeniach, jakim mieszkańcy Wschodu nadają nazwę „kief”.

Dla samej strawności, po posilnym obiedzie, należało zapalić nargile; to też przyniesiono je z powozu wraz z tytuniem i obaj zwolennicy tytoniu któremu zawdzięczali swe majątki, zabrali się do swej ulubionej rozrywki. Ma się rozumieć Keraban nałożył swoją fajkę ulubionym perskim „tombeki” Van Mitten „latakie”, pochodzącym z Azyi Mniejszej.

Zapaliwszy, rozparli się na stojących naprzeciw siebie ławkach, włożywszy w usta wielkie bursztyny, i wonny dym zaczął rozchodzić się w przestrzeni.

Tak Keraban jak Van Mitten czas jakiś siedzieli w milczeniu.

A! cóż to za niewysłowiona rozkosz! rzekł nareszcie Keraban; cóż może dorównać błogości takiej niemej rozmowy ze swoim nargile!.

Tem miłszej że nigdy nie zamienia się w sprzeczkę, odrzekł Van Mitten.

To też rząd turecki źle bardzo postąpił, jak zwykle zresztą, nakładając podatek na tytuń, co tak powiększyło jego cenę! Dzięki temu niemądremu pomysłowi nargile zupełnie zaczynają wychodzić z użycia, a w końcu znikną zupełnie; a nie dorównają im ani cybuchy, ani cygara, ani papierosy.

Wielkaby to była szkoda, przyjacielu Kerabanie, odrzekł Van Mitten, puszczając parę kłębow dymu.

A! przez litość, nie pal tak prędko; zawołał nagle Keraban, taki pośpiech nie pozwala dość zakosztować rozkosznego dymu. Patrząc na ciebie, zdaje mi się że widzę żarłoka, który połyka kawałki nie pogryzione dostatecznie.

Masz słuszność, przyjacielu Kerabanie, odrzekł, nie chcąc zakłócać sprzeczką tak błogiego spokoju.

Ja zawsze mam słuszność, przyjacielu Van Mitten.

To mnie tylko drzwi, przyjacielu Kerabanie, że my, handlujący tytuniem,

z taką przyjemnością zużywamy własnego naszego towaru.

A cóż w tem jest dziwnego?

Bo jeżeli to prawda że cukiernicy przesycają się i nabierają wstrętu do ciastek i słodczy jakie wyrabiają, to handlujący tytuniem powinni by nabrać wstrętu do...

Jedną tylko zrobię ci uwagę, Van Mitten, jedną, jedyłą...

Jakaż?

Czy słyszałeś kiedy aby sprzedający wina, miał wstręt do trunków?

Nie, nie słyszałem.

A czyż to nie wszystko jedno sprzedawać wino lub tytoń?

Zgadzam się, wytłomaczyłeś mi doskonale.

Lecz skoro chcesz sprzeczać się ze mną...

Ale bynajmniej! nie mam tego zamiaru.

Masz go widocznie, rzekł Keraban.

Lecz zapewniam cię.

Skoro chciałeś dociąć mi trochę, z powodu że namiętnie lubię palić...

Zapewniam cię, przyjacielu Kerabanie...

O! znam ja się na przycinkach!... odrzekł unosząc się Keraban.

Ani mi się nie śniło robić ci przycinki, odparł Van Mitten, zniecierpliwiony jego naleganiem.

Nie wywiedziesz mnie w pole!... ale teraz ja także zrobię ci pewną uwagę!

Słucham!

Oto w żaden sposób pojąć nie mogę, jak możesz palić Latakią w nargilu; jest to dziwne upodobanie, niegodne poważnego palacza.

Zdaje mi się że nie wolno mi przekładać tytuń z Azji Mniejszej!

Doprawdy?... Cóż warta Azja Mniejsza w porównaniu z Persją, kiedy chodzi o tytoń! zawołał Keraban.

To rzecz względna.

Nawet po podwójnem splukaniu, Tombeki posiada jeszcze własności

daleko wyższe niż Latakia.

A! rzeczywiście! jest daleko mocniejszy, dzięki belladonie w którą obfituje.

Zastosowana w odpowiedniej ilości, belladona nie jest szkodliwą, a podnosi wartość tytoniu, rzekł Keraban.

Taki tytuń dobry jest dla tych co chcą truć się powolnie...

Zdaje ci się, belladona nie jest trucizną...

Jest jedną z najgwałtowniejszych, odparł Van Mitten.

A przecież nie umarłem od niej!

Dotąd nie, ale umrzesz.

Niech i tak będzie! ale nawet w ostatniej życia godzinie, nie przestanę utrzymywać że Tombeki jest stokroć lepszy od tego wysuszonego siana, zwanego Latakia! wołał coraz więcej głoś podnosząc.

Niepodobna zgodzić się na tak nieuzasadnione twierdzenie! odrzekł Van Mitten także zaczynając się unosić. Jak można wmawiać to temu kto od lat dwudziestu kupuje tytoń?

A jak można przeczyć temu co go sprzedaje od lat trzydziestu!

Od dwudziestu! krzyczał Van Mitten.

Od trzydziestu! wrzeszczał Keraban.

I obydwaj zerwali się z ławek; skutkiem szybkich ruchów cybuchy z ust im wypadły; podnosząc je prawili sobie grubiaństwa, nareszcie Keraban zawołał:

Nie ma na świecie upartszego jak ty człowieka!...

Z wyjątkiem ciebie, odparł Van Mitten. Popatrz tylko na dym Latakii z ust twych się wydobywający.

A ty na ten dym Tombeki, otaczającym mnie woniejącym obłokiem.

I obaj ciągnęli jak najmocniej, kłęby dymu puszczając sobie wzajemnie w twarze.

Powąchaj-no tylko jak mój tytoń pachnie! wołał Keraban.

Powąchaj ty mego! odpowiadał Van Mitten.

Musisz sam przyznać na koniec, Van Mitten, że zupełnie nie znasz się na tytoniach.

A ty, że nie wart jesteś najostatniejszego palacza, odrzekł Van Mitten.

Uniesieni gniewem, krzyczeli tak głośno że z daleka słychać ich było. Wtem Ahmet powrócił, a za nim weszli Brunon i Nizib, zaciekawieni krzykiem.

A toż co! zawołał śmiejąc się Ahmet; wuj pali z nargila pana Van Mitten a tenże z nargila wuja?

Nizib i Brunon zawtórowali głośnym śmiechem.

Podnosząc upadłe cybuchy, nie spostrzegli że je zamienili. I kłócąc się i sprzecząc o lepszość swoich tytuni, Keraban palił Latakie a Van Mitten Tombeki. Zobaczywszy to sami nie mogli powstrzymać się od śmiechu, i wzajemnie podali sobie ręce, jak dwóch dobrych przyjaciół, których nawet sprzeczka w tak ważnej kwestyi poróżnić nie może.

Konie zaprzężone! rzekł Ahmet, możemy jechać.

Jedźmy więc! rzekł Keraban.

I oddawszy służącym przyrzady do palenia, które o mało nie zamieniły się w przyrzady wojenne, Keraban i Van Mitten wsiedli do powozu.

Konie ruszyły; wtedy Keraban nachylając się rzekł do ucha przyjacielowi:

Kiedyś już skosztował, to pewnie przyznasz że Tombeki lepszy niż Latakia.

Dobrze, przyznaję; odrzekł Van Mitten, wyrzucający już sobie że tak gwałtownie sprzeczał się z przyjacielem.

Dziękuję ci, przyjacielu, dziękuję serdecznie, odrzekł żywo wzruszony Keraban, nie zapomną do śmierci tego ustępstwa!

O ósmej wieczorem dojechali do granic Alchazyi, i zatrzymali się na nocleg, na stacyi.

Rozdział XVII

Przygoda nadzwyczaj ważna zakończająca pierwszą część tej opowieści.

Abchazya jest oddzielną posiadłością, podległą zarządowi wojskowemu. Jest to jedna z najpiękniejszych prowincyi Kaukazu; ale bogactwa jej nie są odpowiednio wyzyskane. Od niedawnego dopiero czasu mieszkańcy zaczynają być właścicielami gruntu, który przedtem należał wyłącznie do

książąt panujących, potomków perskiej dynastii. To też tuziemcy są dotąd na wpół dzicy, mają zaledwie słabe pojęcie czasu, nie posiadają języka piśmiennego, mówią jakimś narzeczem niezrozumiałem dla sąsiadów, tak ubogiem w wyrażenia że zaledwie najelementarniejsze pojęcia wyrazić niem można.

Van Mitten zwrócił uwagę towarzyszy na uderzającą sprzeczność zachodzącą między tą okolicą, a więcej ucywilizowanymi prowincjami przez które dotąd przejeżdżali.

Z lewej strony drogi rozciągały się pola kukurydzy, łąny zboża gdzieniegdzie tylko się ukazywały. Dalej trzody owiec i baranów pod strażą czujnego pastucha, oraz bawoły, konie i krowy pasące się swobodnie na pastwiskach; piękne drzewa, topolowe, figowe, orzechowe, dęby, lipy, platany, drzewa bukszpanu i ostrokrzewu – oto co uderza oczy w Abchazji.

Po przebyciu granicy, pierwszy przeprząg koni wypadł a miasteczku Gagry, w którym wznosi się kościół Św. Hipaty, którego zakrystyę zamieniono na spichlerz; prócz tego jest tu forteca będąca zarazem szpitalem i wielkie przestrzenie zarosłe akacyami i drzewami owocowymi, oraz różanymi gajami. O jakie pięćdziesiąt wiorst, ciągnie się łańcuch gór oddzielający Abchazję od kraju Czerkiesów, którego mieszkańcy pobici przez Rossyan, po krwawej bitwie w roku 1859 opuścili te piękne okolice.

Zajechawszy na stację w Gagry, podróżni nasi postanowili nasi postanowili tam przenocować, i dopiero nazajutrz w dalszą puścili się drogę.

Minąwszy parę miast pomniejszych, o północy dojechali do Sukum-Kale, głównego portu Abchazji. Ostatnia wojna kaukazka zniszczyła bardzo to miasto zamieszkane, przez ludność mieszaną, więcej przez Greków, Armeńczyków, Turków, Rossyan niż przez Abchazów. Obecnie przeważa tam żywioł wojskowy, a sztemery przybywające z Odessy i z Poti, przewożą licznych gości przybywających w odwiedziny do koszar stojących około dawnej fortecy, wzniesionej w XVI wieku, za Amurata, podczas panowania tureckiego.

Zastawione śniadanie składało się z kwaśnej zupy i potrawki z sosem przyprawionym kwaśnym mlekiem i szafranem, która ani Holendrowi ani obu Turkom nie bardzo smakowała. O dziewiątej uszyli w dalszą drogę.

Powóz toczył się wzdłuż ogromnych borów, dających się porównać z dziewiczymi lasami poprzerywanymi nieprzebytymi pnączami, a tak gęstymi i powikłanymi, że tylko ogniem lub żelazem zniweczyć je można. W lasach tych nie brakuje węży, wilków, niedźwiedzi – jest to jakby część podzwrotnikowej Ameryki, przerzucona na wybrzeża morza Czarnego. Obecnie już siekiera spekulantów gospodarzy w tych lasach szanowanych przez wieki, i niezadługo może zamienią się w belki do budowy domów lub w maszty okrętowe.

Okolo jedenastej wieczorem dojechali do granicy Abchazji, przebyli w bród rzekę Jugur, i o dwadzieścia pięć wiorst dalej zatrzymali się w Redut-Kale, stolicy Mingrelli, należącej do guberni Kutajskiej.

Mocno znużeni, niebawem udali się na spoczynek. Nazajutrz Van Mitten wstawszy bardzo rano, aby zrobić wycieczkę na miasto, postrzegł z zadziwieniem że Ahmet był już ubrany, i sam tylko Keraban zajmujący najlepszy pokój w zajeździe, spał jeszcze smaczno.

Jesteś już ubrany, młody przyjacielu, rzekł do Ahmeta; czy zamierzasz towarzyszyć mi w mojej wycieczce?

Alboż mam czas na to, panie Van Mitten? Najpierw muszę zająć się odnowieniem zapasów żywności. Niezadługo już przejedziemy granicę rosyjską-turecką, a w stepach Legistanu i Anatolii ani myśleć o dostaniu artykułów żywności. Przyzna więc pan że nie ma czasu do stracenia.

A może załatwiwszy się z tem będziesz mógł poświęcić mi parę godzin.

Załatwiwszy się z kupnem żywności, muszę obejrzyć powóz i przywołać kołodzieja, aby obejrzał koła i wysmarował osie z obawy żeby nie zepsuło się coś już po za granicą, gdzieby o naprawę bardzo było trudno.

Dobrze, a potem?... spytał znów Van Mitten.

Potem udam się do biura pocztowego, zamówić konie.

Zatem wszystko już będzie załatwione, będzie więc można...

Wsiąść do powozu i jechać. Do widzenia.

Chwileczkę, młody przyjacielu, pozwól zadać sobie jedno pytanie.

Słucham, ale proszę o pośpiech.

Wiesz zapewne, Ahmecie, że Mingrelia jest to starożytna Kolchida.

Tak, wiem o tem.

Ta legendowa Kolchida, w której Jazon ze swemi Argonautami, przy pomocy czarownicy Medei zdobył złote runo, strzeżone przez ogromnego smoka i straszne buhaje, miotające ogień.

Nie przeczę temu.

Tutaj to nareszcie, w tych górach rysujących na horyzoncie, na tej skale Komli, panującej na tegoczesnem miastem Kutais. Prometeusz, skradłszy zuchwale ogień z nieba, przykuty został z rozkazu Jowisza, i tu sęp wiekuiście szarpie mu serce.

Słyszałem o tem, odrzekł Ahmet, ale nic mnie to nie obchodzi, a powtarzam spieszę się bardzo. Czego więc pan żądasz?

Oto żeby można parę dni pozostać w Mingrelli, dla zwiedzenia jej osobliwości, odrzekł nieśmiało Van Mitten.

Czy zamierza pan zrobić taką propozycję wujowi?

Cóż znowu! dałoby znów powód do sprzeczki, a postanowiłem sobie strzedz się tego jak ognia.

Bardzo rozumne postanowienie, rzekł Ahmet.

I dlatego zwracam się z moją prośbą do przyjaciela mego Ahmeta.

Myli się pan, odrzekł uprzejmie Ahmet, gdyż w tej chwili nie mówisz do przyjaciela swego Ahmeta.

A do kogóż?

Do narzeczonego Amazyi, a wie pan przecie że ten nie ma ani godziny do stracenia.

I wybiegł zająć się przygotowaniami do podróży. Van Mitten mógł więc tylko zrobić krótką wycieczkę za miasto, w towarzystwie wiernego ale nie wesołego Brunona.

O dwunastej w południe wszelkie przygotowania były ukończone, i mogli w dalszą puścić się drogę.

Keraban bardzo był zadowolony że dotąd odbywają podróż w tak pomyślnych warunkach. Jakże to pochlebiało jego miłości własnej starego Turka, że niezadługo ukaże się władzom otomańskim na drugim brzegu Bosforu, drwiąc sobie z ich podatków i rozporządzeń. Redut-Kale leży o jakie 90 wiorst od granicy tureckiej, tak zanim upłynie dwadzieścia cztery godzin, najupartszy z Osmanlisów miał wkroczyć na ziemię turecką, gdzie będzie się czuł u siebie.

Dalej! w drogę! mój siostrzeńcze, i niech Allah czuwa nad nami jak dotąd! zawołał wesoło.

Wsiedli do powozu, pocztylion trzasnął z biczem, i konie ruszyły galopem.

Droga ciągnęła się wśród pól urodzajnych. Wioski rozsiane tu i owdzie, odznaczały się tem że domki ich porozrucane były wśród pól kukurydzowych. Budowle te nie były stawiane w drzewa, ale z plecionek słomianych połączonych z sobą jakby koszykarską robotą. Van Mitten nie omieszkał zaznaczyć tego w swoich notatkach z podróży. W godzinę później dojechali do kolei żelaznej Poti-Tyflis; droga którą jechali przerzynała kolej, o jaką wiorstę po za stacją Sakario.

Pocztylion zatrzymał powóz przed zamkniętą baryerą kolei. Szklane okna powozu były spuszczone, tak więc Keraban i jego towarzysze mogli zobaczyć co się działo przed nimi.

Pocztylion zaczął wołać na dróżnika, który się nie pokazywał. Keraban wyrzwał oknem.

Tegoż jeszcze trzeba żeby ta szatańska kolej zagradyła nam drogę! Po

cóż zamknęli tę baryerę, że nie możemy przejechać?

Zapewnie pociąg ma przechodzić! rzekł Van Mitten.

Pocztylion ciągle wołał daremnie; dróżnik nie wychodził z domu strażniczego.

A bodaj kark skręcił! krzyknął Keraban. Jak nie przyjdzie zaraz, pójdę sam otworzę baryerę!

Cierpliwości, kochany wuju, rzekł powstrzymując go Ahmet; otóż i dróżnik.

Rzeczywiście wyszedł on z domku strażniczego, i spokojnie zbliżał się do powozu.

Czy możemy przejechać? zapytał gniewnie Keraban.

Możecie panowie, pociąg z Poti nie nadejdzie jak za dziesięć minut.

Więc otwieraj prędzej! nie mamy czasu do stracenia.

Dobrze, zaraz odsunę baryerę.

I najpierw odsunął barierę z drugiej strony drogi, potem zwrócił się do zamkniętej przed końmi, ale powolnie i obojętnie, jak człowiek nic sobie nie robiący z wymagań podróżnych.

Keraban niecierpliwił się do najwyższego stopnia.

Nareszcie baryery zostały otwarte i powóz miał przejechać, gdy w tejże chwili z drugiej strony wjechała gromadka konnych podróżnych. Był to jakiś turecki magnat jadący na przepysznym wierzchowcu, w towarzystwie czterech jeźdźców.

O ile można było wnosić z powierzchowności, była to jakaś znakomita osobistość. Miał lat trzydzieści kilka, wzrost wysoki, szlachetną postawę, oczy płonące ogniem namiętności, czoło marmurowo białe, brodę czarną, długą, usta nie umiejące się uśmiechać, zęby bardzo białe. Cała powierzchowność zdradzała człowieka ufającego w swoje stanowisko i majątek, nawykłego do zadawalniania wszelkich swoich żądz i zachciewek. Była to natura na wpół dzika, typ turecki pomieszany z arabskim.

Miał na sobie ubiór podróżny noszony przez bogatych Osmanlisów, będących jeszcze więcej Azyatami niż Europejczykami.

Gdy powóz dojeżdżał połowy szerokości drogi, i gromadka jeźdźców dojechała do tegoż miejsca, baryery były tak ciasne, że nie mogli przejechać jednocześnie obok siebie, i koniecznie powóz lub konno jadący musieli ustąpić. Powóz się zatrzymał, jeźdźcy także; ale zdawało się że nieznanemu bogaczowi nie myśli bynajmniej ustąpić Kerabanowi.

Na bok! krzyknął Keraban.

Ty sam skręć na bok! odparł nieznajomy, ani myśląc ustąpić.

Ja dojechałem pierwszy.

To odjedziesz drugi.

Nie ustąpię!

I ja też samo.

Sprzeczka Turka z Turkiem mogła groźne przybrać rozmiary.

Kochany wuju, rzekł Ahmet, cóż nam zależy...

Bardzo wiele, mój siostrzeńcze.

Przyjacielu Kerabanie, rzekł Van Mitten.

Dajże mi pokój! krzyknął tonem który zamknął usta Van Mitten'owi.

Widząc na co się zanosi, dróżnik zawołał:

Prędeż panowie! pociąg nadjedzie za chwilę! Prędeż!

Ale Keraban nie słuchał, otworzywszy drzwiczki wysiadł z powozu; towarzysze podróży poszli za jego przykładem.

Keraban podbiegł do nieznajomego jeźdca, i chwytając konia jego za uzdę, zawołał:

Ustąpisz mi pan z drogi czy nie?

Nie!

Zobaczymy; chyba nie zna pan Kerabana!

A pan Saffara.

Był to rzeczywiście Saffar, który po krótkiej wycieczce do prowincji kaukaskich, zdążył do Poti.

Samo usłyszenie nazwiska człowieka który uprzedziwszy go na stacyi zabrał wszystkie konie pocztowe, pobudziło Kerabana do gwałtownego gniewu. On miałby ustąpić temu na którego tyle się nazłościł i nawygadywał? Nigdy! choćby go koń jego miał stratować!

A! więc to pan jesteś? Zatem na bok panie Saffar!...

Naprzód! krzyknął Saffar do towarzyszy, dając znak aby przejechali gwałtem.

Ależ prędeż! prędeż panowie; pociąg nadjeżdża! krzyknął dróżnik.

Jakoż słyhać już było świst lokomotywy.

Z drogi! krzyknął Keraban.

Z drogi! krzyknął Saffar.

Lokomotywa nadjeżdżała. Przerażony dróżnik dał znak chorągwią aby zatrzymać pociąg... było już zapóźno...

Widząc że niepodobna mu już przejechać, Saffar cofnął się nagle. Brunon i Nizib odskoczyli na bok. Ahmet i Van Mitten pochwycili i odciągnęli Kerabana; pocztylion popędził konie, chcąc przejechać po za baryerę. Pociąg pośpieszny w tejże chwili przeleciał spiesznie i w pędzie zawadził o tylne koła powozu, który nie zdążył dostatecznie daleko usunąć się z drogi. Skutkiem uderzenia powóz został zgruchotany; pasażerowie nie uczyli nawet wstrząśnienia.

Nie posiadający się z gniewu, Keraban chciał rzucić się na przeciwnika; ale Saffar spiął konia i przebiegł wraz z orszakiem, nie racząc nawet spojrzeć na niego.

Nędznik! nikczemnik!... krzyczał Keraban; niech no go tylko gdzie spotkam!...

Cóż teraz pocniemy? rzekł Ahmet, powóz zgruchotany...

Niech tam! odrzekł Keraban; ale mu nie ustąpiłem!

W tej chwili nadjechało kilku kozaków, odkomenderowanych do pilnowania porządku na kolei; widzieli oni całe zajście przy baryerze, zbliżywszy się więc do Kerabana, pochwycili go za kołnierz. Oburzony zaczął się rzucać i opierać; siostrzeniec i Van Mitten próbowali stanąć w jego obronie – daremnie! niedość że przekroczył przepisy policyjne odnoszące się do kolei żelaznych, ale pogorszył jeszcze sprawę swoją, stawianiem oporu władzy.

Pomimo krzyku i wygadywań Kerabana, ujęto go i odstawiono na stację Sakario, a biedny Ahmet, Van Mitten, Brunon i Nizib, stali strapieni przy rozbitym powozie.

A to miła awantura! rzekł Van Mitten.

Jak tu ratować wuja? Przecież nie możemy go opuścić! rzekł Ahmet.

We dwadzieścia minut później, nadjeżdżał pociąg pędzący z Tyflisu do Poti, i w oknie jednego wagonu ukazała się głowa Kerabana. Twarz jego poczerwieniała, oczy krwią nabiegły ze złości. Mniejsza już że go aresztowano, ale ci okrutni kozacy zmusili go wsiąść do wagonu i po raz pierwszy w życiu jechać koleją żelazną.

Trzebaż było wyzwolić go z tak niemiłego położenia, w jakim postawił go szatański jego upór, i starać się zapobiedz aby to opóźnienie nie uniemożliwiło ich przybycia do Skutari w oznaczonym terminie.

Pozostawiając więc przy drodze bezużyteczne już szczątki rozbitego powozu, Ahmet wynajął wózek, pocztylion założył do niego odprężone konie i jak można było najspieszniej pędzili do Poti. Sześć mil drogi oddzielało ich od niego; przebyli je w trzy godziny.

Jak tylko przybyli do miasta, Ahmet i Van Mitten udali się zaraz do biura policyi, aby wyjednać uwolnienie biednego Kerabana. Tam dowiedzieli się że kazano mu zapłacić znaczną karę pieniężną, poczem polecono kozakom odprowadzić go do granicy. Trzeba więc było podążać za nim jak najspieszniej i obmyśleć sposób odbycia tej drogi.

Ahmet chciał także dowiedzieć się co się stało z Saffarem. Powiedziano mu że opuścił już Poti, i odpłynął na sztemerze zarzucającym kotwicę w różnych portach Azji Mniejszej. Nie mógł jednak dowiedzieć się gdzie się udał butny magnat, i dojrzał tylko w przestrzeni ostatnie kłęby dymu ze statku unoszącego Saffara do Trebizondy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Część DRUGA

[Rozdział I]

Naremnie Van Mitten pragnął gorąco zwiedzić tę ciekawą okolicę, ale trzeba było jak najspieszniej opuścić Poti, puścić się w pogoń za Kerabanem i doścignąć go na granicy turecko-rossyjskiej.

Tak więc biedny Holender znów doznał zawodu.

Podczas tych rozmyślań Van Mittena, Ahmet zajął się wyszukaniem jakiego wehikułu, mogącego zastąpić podróżną karetę, która, gdyby nie upór i nierozwaga jej właściciela, długo jeszcze służyłby mu mogła. O znalezieniu w tej mieścinie nowego lub choćby starego powozu, ani myśleć było można, może trafi się jakaś kibitka, lecz kibitki są to wozy niewygodne i ciężkie, a że Ahmet chciał jak najspieszniej dogonić wuja, obawiając się aby zniecierpliwiony nie wplątał się w nową jaką awanturę, postanowiono więc przestrzeń tę przebyć konno. Ahmet był doskonałym jeźdźcem, Nizibowi nie brakowało wprawy, Van Mitten nie bardzo obawiał się podobnej podróży, a co

do Brunona, ten zgadzał się na wszystko byle się rozstać z panem.

Nazajutrz o godzinie piątej rano opuszczano Poti. Co kilkanaście wiorst zatrzymywali się dla wypoczynku; około drugiej po południu dojechali do Batum, leżącego w północnej części Lezgestanu, należącej do Rosyi.

Port ten, dawniej należący do Turcyi, leży przy ujściu Czoroku, starożytnego Batys; jest on obszerny, posiada doskonałą przystań, mogącą pomieścić znaczną liczbę większych nawet statków. Potrzebowali jeszcze przebyć ze trzydzieści wiorst, aby nareszcie stanąć na granicy.

Tu na samym brzegu granicy tureckiej stał Keraban pod niezbyt ojcowskim nadzorem oddziału kozaków; niepodobna opisać miotającej nim wściekłości. W przeddzień dnia tego odstawiono go do granicy. Biedna chatka przy drodze, źle postawiona, źle pokryta, źle się zamykająca, i zaledwie w jak najnędnieszczą zaopatrzoną żywność, posłużyła mu za przytułek. Jak tylko Ahmet i Van Mitten spostrzegli go z oddali, puścili cugle koniom aby prędzej doń przybyć.

Keraban stawał, chodził, robił przeróżne ruchy, a nie mając z kim, rozprawiał sam z sobą, i zdawał się nie widzieć nadjeżdżających towarzyszy.

Wuju! zawołał Ahmet wyciągając do niego ręce i zeskakując z konia, wuju kochany!

Mój przyjacielu! wołał Van Mitten, podczas gdy Brunon i Nizib trzymali ich konie.

Keraban ujął ich dłonie, i pokazując kozaków stojących przy drodze, wołał:

Patrzcie! ci niegodziwcy zmusili mnie jechać koleją żelazną!... jechać koleją!... ja!... Keraban!...

Tak, wielką popełnili niegodziwość! rzekł Ahmet, widząc że nie pora teraz chcieć przekonywać wuja.

No, zapewne, niegodnie postąpili, rzekł Van Mitten, ale przecież nie stało ci się nic tak strasznego, przyjacielu Kerabanie.

Ah! miarkuj swoje wyrażenia, panie Van Mitten! krzyknął Keraban... Nic strasznego, powiedziałaś? Czy zechcesz wytłomaczyć mi co chciałeś powiedzieć przez te tak niestosowne wyrazy?

Ahmet skinął na Van Mittena aby się miał na baczności; wuj nazwał go panem Van Mitten, była to już zapowiedź burzy.

Przyjacielu Kerabanie, odpowiedział Holender, miałem na myśli straszne wypadki wydarzające się na kolejach, jak wykolejenie, starcie lub rozbitcie się pociągów...

Wiedz o tem, panie Van Mitten, krzyknął Keraban, że stokroć lepiej być zmiażdżonym, stracić rękę, nogi, głowę, niż doznać podobnej hańby i być

zmuszonym ją przeżyć!...

Wierzaj mi, przyjacielu Kerabanie... mówił Holender nie wiedząc co powiedzieć aby się wypłatać z tej matni.

Nie chodzi o to co ja mam wierzyć, ale o to co pan sądzisz! krzyknął Keraban posuwając się ku Holendrowi... Chodzi o to jak się pan zapatrujesz na to co spotkało człowieka, który od lat trzydziestu uważał się za twego przyjaciela!...

Ahmet chciał zwrócić rozmowę na inny przedmiot, aby nie dopuścić zajścia, i w tym celu rzekł:

Kochany wuju, zdaje mi się że źle zrozumiałeś pana Van Mitten...

Doprawdy! przerwał Keraban.

Czyli raczej pan Van Mitten źle się wyraził. Zarówno jak ja oburza on się na niegodziwość jakiej dopuścili się kozacy, ale w rzeczywistości, winien tu wszystkiemu, zuchwalec, który śmiał stawić opór przejazdowi w poprzek kolei – niegodziwy Saffar!

Ah! prawda, Saffar winien wszystkiemu! krzyknął Keraban.

Tak, tak, nikt inny tylko ten nędznik Saffar! dodał spiesznie Van Mitten, i to właśnie miałem na myśli, przyjacielu Kerabanie.

Niegodziwy Saffar! rzekł Keraban.

A! żebyśmy go tylko spotkali kiedy!... dorzucił Ahmet.

I nie móż wrócić do Poti, aby mu kazać drogo przypłacić jego zuchwalstwo, wyzwąć go, wydrzeć mu życie, oddać pod miecz kata! krzyczał Keraban.

Wbić go na pal! zawołał Van Mitten, stając się okrutnym w słowach dla przejednania przyjaciela.

To zawyrokowanie tak czysto tureckie, zjednało mu wdzięczny uścisk dłoni Kerabana.

Kochany wuju, rzekł Ahmet, daremnie szukalibyśmy w Poti tego nikczemnego Saffara, gdyż dawno je opuścił. Gdyśmy tam przybyli, on odpływał na statku płynącym ku wybrzeżom Azji Mniejszej.

Ku wybrzeżom Azji Mniejszej! krzyknął Keraban, ależ i my w tamtą właśnie udajemy się stronę.

Tak, mój wuju.

No! biada temu nędznikowi! jeśli go spotkam w drodze, krzyknął Keraban; *Vallach billach, lillach!* biada mu!

Wypowiedziawszy tę formułę przysięgi, Keraban zamilkł, nie mogąc nic straszniejszego powiedzieć.

Ale jak tu odbywać dalszą podróż, nie mając powozu? O jeździe konno i myśleć nie można było, ze względu znacznej duszy Kerabana; i dla niego byłoby to zbyt utrudzającym i koń miałby za swoje. Postanowiono więc udać się do najbliższego miasteczka o parę wiorst tylko odległego; tam Keraban dojdzie piechotą w towarzystwie Brunona, który nie czuł się na siłach jechać dalej konno.

W kilka minut później podróżni nasi zwrócili się na drogę ciągnącą się wzdłuż wybrzeży Lezgistanu.

[Rozdział II]

Dziwny kraj! pisał Van Mitten w swoich notatkach podróży, w których przelotnie notował wrażenia. Kobiety pracujące około roli, dźwigają ciężary, a mężczyźni przędą len i robią wełniane pończochy!

Część Armenii tureckiej ciągnąca się do granicy kaukazkiej, jest jeszcze bardzo mało znaną, gdyż rzadko kiedy podróżnicy zapuszczają się w te okręgi paszalików Trebizondy, i zwiedzają Erzurum stolicę Armenii.

A przecież kraj ten był widownią wielkich faktów historycznych! Opuszczając płaszczyzny w których biorą źródła dwie odnogi Eufratu, Ksenofont ze swymi Dziesięciu Tysiącami, przybył tu nad brzegi Fazu, cofając się przed wojskiem Artakserkesa Mnemona.

Ah! gdybyż Van Mitten miał czas na to, jakże to szacowne poczyniłby spostrzeżenia, z których korzystałby mogli erudyci holenderscy! Kto wie, może odnalazłby i oznaczył dokładnie miejsce w którym Ksenofont, zarazem wódz, historyk i filozof, stoczył bitwę z Taskami i Szabylami, i tę górę Szenium, z której Grecy powitali głośnie okrzykami, upragnione fale Pontus Euksinus!

Ale nie dano mu na to czasu, niestety! Brunon zaś nieustannie nalegał na pana, aby pożyczył od Kerabana pieniędzy potrzebnych na powrót.

Dobrze, jak staniemy w Choppa, odpowiedział Van Mitten.

Jechali tedy do Choppa, Van Mitten zsiadł z konia aby towarzyszyć idącemu pieszo Kerabanowi; Brunon prowadził konia pana i swego; Nizib jechał przodem prowadząc małą karawanę, Ahmet zaś pojechał naprzód zamówić mieszkanie, aby nazajutrz mogli wyjechać równo ze wschodem

słońca.

Drogę odbywali w milczeniu. Keraban wrzał tłumionym gniewem, obawiającym się tylko wymawianymi często wyrazami: „kolej, wagon, kozacy, Saffar”. Van Mitten upatrywał sposobnej chwili aby wspomnieć o zamiarze zaprzestania dalszej podróży, ale widział że obecnie uczynić tego nie może, gdyż Keraban tak był wzburzony, że za pierwszym słowem wybuchnąłby niepoohamowanym gniewem.

Stanęli w Choppa o dziewiątej wieczorem. Podróż pieszo wymagała cało-nocnego wypoczynku, a jakkolwiek zajazd był dość biedny, jednak, dzięki znużeniu, pomimo niezbyt wygodnego noclegu, przespali smacznym snem noc całą. Ahmet zaraz wieczorem wyszukał i zamówił *arabę*, czyli prosty wózek na dwóch kołach, w którym zaledwie trzy osoby pomieścić się mogło, przytem Araba jest tak ciężka że para koni ma co ciągnąć i jest odkryta. Ahmet kazał rozpiąć nieprzemakalne płótno rozciągnięte na drewnianych obręczach, dla osłonięcia podróżnych od wiatru i deszczu.

Pomimo całej swojej filozofii, Van Mitten skrzywił się zobaczywszy *arabę*, a biedny Brunon aż się otrząsał; na surowe jednak spojrzenie Kerabana, obadwa rozpogodzili czoła.

Nie mogłem znaleźć nic dogodniejszego, kochany wuju, rzekł Ahmet.

Bo też nie trzeba nic lepszego, odpowiedział, nie chcąc za nic w świecie okazać jak bardzo żałuje wygodnej swojej karety.

Postanowiono tedy że Keraban, Van Mitten i Brunon, zajmą miejsce w Arabie, a pocztylion powozić będzie z konia Ahmet zaś i Nizib, jako wytrawni jeźdźcy, pojedą konno.

W drogę! – krzyknął Keraban, i zajął miejsce w arabie.

Ruszyli dość pośpiesznie; ale pogoda była niepewna. Groźne burzą chmury gromadziły się na zachodzie, czuć było jakby zbliżającą się burzę. Często one panują w tej okolicy wybrzeży, napędzane nadciągającymi z oddali prądami atmosferycznymi, ale nie można przecież rozkazywać w powietrzu, a wierzący w fatalizm wyznawcy proroka, umieją z poddaniem przyjmować wszystko. A jednak można się było obawiać czy może Czarne długo usprawiedliwiać będzie grecką swoją nazwę *Pontus Euxinus*, znaczącą dosłownie „bardzo gościnnie” czy też turecką *Kara-Dekuitz* zapowiadającą mniej pomyślną wróżbę.

Szczęściem podróżnicy nasi nie potrzebowali przebywać wyższej, górzystej części Lezgestanu, w której dróg nie ma zupełnie, i trzeba przedzierać się przez lasy nietknięte dotąd siekierą. Tamtędy prawie niepodobieństwem było przedrzeć się arabą. Na wybrzeżu przeciwnie istnieją jakieś takie drogi między wioskami i miścinami, ciągnące się wśród drzew owocowych, pod cieniem orzechów i kasztanów, krzaków wawrzynu i róż Alpejskich, otoczonych zwojami dzikiego wina.

Lecz jeśli przebycie tej części Lezgestanu nie nastrecza trudności, za to

pobyt w niższych okolicach groźnym jest dla zdrowia. Rozlegają się tam zaraźliwe bagniska, i od maja do sierpnia tyfus panuje tam stale. Szczęściem był to wrzesień, tak więc Keraban i jego towarzysze nie potrzebowali obawiać się o swoje zdrowie.

Podróż przytem odbywała się dość śpiesznie, araba nie podlegała uszkodzeniom, i gdyby nie to że straszliwie trzęsła, w niewiele miałiby jej do zarzucenia.

Droga nie była zupełnie pustą; tu i owdzie napotykali Lezgińców przybywających z gór w celach handlowych lub przemysłowych. Gdyby Van Mitten nie był tak zajęty pragnieniem powrotu do Konstantynopola, byłby zaznaczył podróżnym notesiku różnice zachodzącą w ubiorze ludności Kaukazu i Lezgińców. Ostatni noszą rodzaj frygijskiej czapki z szerokimi końcami, które owijają wokoło głowy. Są wszyscy dobrze zbudowani, cery białej, zręczni, wysmukli; na szerokich piersiach widnieją dwie ładownice; a zwykle ich uzbrojenie składa się z krótkiej fuzji i sztyletu z szerokim ostrzem, zatkniętym za pas nabijany mosiądzem.

Niektórzy pędzili przed sobą osły dostawiając na nich do nabrzeżnych wsi, owoce i różne produkty. Gdyby nie groźba burzy zawisła w przestrzeni, podróżni nasi nie mogliby jeszcze tak bardzo uskarżać się na trudy i niewygody.

O jedenastej stanęli w Witse, ztąd, po skromnym śniadaniu, które tym razem Kerabanowi wydawało się za skromnym, i z tego powodu nie ukrywał złego humoru – w dalszą puścili się drogę.

No, jakże panie? zapytał Brunon swego pana, który i tym razem nie znalazł odpowiedniej sposobności do zażądania pieniędzy, na powrót do domu.

W najbliższym miasteczku, Brunonie, pomówię z nim.

Już to pan po raz trzeci przyrzeka i zawsze na próżno.

Jak staniemy w Artachen.

Oburzony taką słabością charakteru, Brunon odszedł mrużąc i zajął swoje miejsce w arabie.

Też same pytania i odpowiedzi powtarzały się na wszystkich przystankach; tak było i w Artachen. Stanęli tam o trzeciej, o czwartej w dalszą puścili się drogę. Lecz nie mogąc doczekać się skutków swoich przełożeń, Brunon zdołał wymóżyć tylko na panu przyrzeczenie, że rozmówi się stanowczo z Kerabanem zanim przybędą do Atina gdzie mieli przenocować.

Od granicy do Atina było mil piętnaście; jak na jazdę wozem podróż szła dość pośpiesznie; zachodziła tylko obawa aby deszcz grożący ciągle nie lunął i drogi nie zrobił niepodobną do przebycia.

Ahmet patrzył z obawą jak groźne chmury coraz więcej się

nagromadzały, a powietrze stawało się tak ciężkiem że utrudniało oddech. Niewątpliwie w nocy lub wieczorem jeszcze, burza wybuchnie na morzu i deszcz obfity spadnie na wybrzeżu, a tu więcej nad trzy osób nie mogło pomieścić się w arabie. Tak więc ani on ani Nizib nie mogliby w niej szukać schronienia, a nadto pokrycie jej nie zdołałoby pewnie oprzeć się sile wichru. Zatem ogólne bezpieczeństwo wymagało, aby jak najprędzej dostać się do pierwszej lepszej wsi czy miasteczka.

Niejednokrotnie Keraban wychylał głowę z pod nieprzemakalnego przykrycia araby, rozglądając się po niebie zachmurzającym się coraz więcej.

Brzydki czas, mówił do Ahmeta.

Tak, mój wuju, żebyśmy aby dojechali na nocleg zanim burza wybuchnie.

Jak tylko deszcz zacznie padać, wsiądziesz do araby, Ahmecie.

Czyjeżbym zajął miejsce?

Brunona, odrzekł Keraban, poczciwy chłopak wsiądzie na twego konia...

Jak najchętniej, powiedział prędko Van Mitten, poczuwając się do tej grzeczności przez zastępstwo swego służącego.

Pośpieszajmy, to będzie najlepiej, odrzekł Ahmet. Jeżeli burza się rozszaleje, płótno osłaniające arabę nie wytrzyma jej nacisku, a w takim razie niepodobnaby w niej dosiedzieć.

Poganiaj, nie żałując koni! zawołał Keraban zwracając się do pocztyliona.

Pocztylion chętnie spełnił ten rozkaz, bo i jemu pilno było jak najprędzej dojechać do Atimy; ale powietrze tak było duszne i ciężkie, że nawet i na konie oddziaływało, utrudniając ich bieg.

Około siódmej wieczorem, araba zminęła się z powozem pędzącym w przeciwną stronę. Jechał w nim kuryer angielski, co dwa tygodnie przewożący depesze z Europy do Teheranu. W przeciągu dwunastu dni przebywa drogę z Trebizondy do stolicy Persyi, eskortuje go zawsze kilku zaptów pilnujących jego bagaży. Na przeprzągach kuryer ma pierwszeństwo przed innymi podróżnymi, Ahmet więc obawiał się nowej jakiej przeszkody. Tymczasem Araba toczyła się teraz z trudnością. Niebo tak ciężkimi pokryte było chmurami, iż zdawało opuszczać nad morze. Głuche mruczenie bałwanów objających się o wybrzeża, świadczyło o gwałtownem wzburzeniu fal morskich; wiatr świszczący głośno zapowiadał nadchodzącą burzę.

Pocztylion jak mógł popędzał konie, ale biedne zwierzęta ledwie iść mogły.

Była już dziewiąta wieczorem – czarna noc zapadała. Burza zaczynała się gwałtowna. Wielkie białe błyskawice przesuwają się nad horyzontem, jednak nie rozlegały się jeszcze uderzenia piorunów. Przestraszone i zziębnięte

konie, stawały co chwila, Inb cofały się i spinały, – poczyliion z trudnością mógł je powstrzymać.

Co tu począć? Niepodobna było zatrzymać się na pustem, burzą wstrząsanem wybrzeżu – a do Atiny było jeszcze przynajmniej pół godziny drogi. Zaniepokojony Ahmet bił się z myślami, gdy nagle na zakręcie ukazało się światełko błyszczące w niedalekiej oddali. Była to atińska latarnia morska, wznosząca się na urwistem wybrzeżu, w pewnej odległości od miasta, dość silne wśród ciemności rzucająca światło. Postanowił więc prosić o gościnność i przytułek na noc, czuwających w niej strażników.

Zapukał do drzwi domku stojącego u stóp latarni morskiej: otworzono mu; gdyby nie to schronienie, staliby się niebawem ofiarami burzy, której dłużej nie zdołaliby już stawić oporu.

[Rozdział III]

ędzny domek drewniany składający się z dwóch izb których okna wychodziły na morze, czworokątna z desek zrobiona wieża, w której mieścił się przyrząd katoptryczny, to jest latarnia z reflektorami, wyniesiona sześćdziesiąt stóp po nad dach domku, taką był atińska latarnia morska, urządzona w całkiem pierwotny sposób. Ale w tych oddalonych stronach i taka oddawała nader ważne usługi żegludze.

Zbudowano ją dopiero przed kilkoma laty; przed oświetleniem trudnych dostępuów do małego portu Atiny, wiele bardzo okrętów ginęło w tym zaułku bez wyjścia azyatyckiego lądu.

Dwóch nadzorców mieszkało tu stale, pierwsza izba służyła im za wspólny salon; w drugiej znajdowały się dwa pośłania, których nigdy nie zajmowali jednocześnie, gdyż co noc jeden stać musiał na straży aby pilnować ognia i dawać ostrzegawcze znaki, gdy okręt jakiś zapuszczał się bez sternika w przesmyki atińskie.

Jak tylko Ahmet zapukał, drzwi domku otworzono, i pod parciem burzy, Keraban i towarzysze jego, jakby uragan wpadli do izby.

Czego panowie żądacie? – zapytał jeden ze strażników.

Gościnności i noclegu, odrzekł Ahmet.

Jeżeli chodzi o schronienie przed burzą, drzwi domku stoją otworem.

O schronienie na dzisiejszą noc i o jakiś posiłek, bośmy głodni.

Chętnie, ale wygodniej by panom było stanąć w oberży w Atinie.

Jakże to daleko ztąd? zapytał Van Mitten.

Z pół mili, odrzekł strażnik.

Jechać pół mili podczas tak gwałtownej burzy! krzyknął Keraban, to zupełnie niepodobieństwo, moi dobrzy ludzie... Przepędzimy noc na tych ławkach, tylko, jeżeli można, obmyślcie jakie schronienie dla nasze araby i koni... Jutro, jak tylko zaświta, dojedziemy do miasta, w którym uda się może wynaleźć jaki dogodniejszy wehikuł.

A szczególnie pozwalający prędeej jechać, dodał Ahmet.

I żeby nie trząśł tak okropnie, mruknął pod nosem Brunon.

Keraban ostro spojrział na niego.

Domek nasz jest na usługi panów, rzekł nadzorca; wielu podróżnych znajduje w nim przytułek przed burzą, poprzestając...

Na czym i my poprzestaniemy, powiedział Keraban.

Zasiedli na ławach, dziękując Bogu za schronienie, choć niezbyt wygodne, ale chroniące ich od gwałtownego wichru i ulewnego deszczu.

Jednak pragnęli się czemś posilić przed udaniem na spoczynek: trudno zasnąć o głodzie. Brunon odezwał się z tem pierwszy, przypominając że podróżne ich zapasy zupełnie się już wyczerpały.

Co moglibyście dać nam do zjedzenia, dobrzy ludzie? zapytał Keraban, ma się rozumieć za odpowiednią zapłatę.

Złe czy dobre, możemy to tylko dać co mamy; za całe bogactwo cesarskiego skarbu, nie dostałby pan tu nic nad resztę naszych zapasów żywności.

Będzie to dostatecznem, rzekł Ahmet.

Tak... jeżeli tylko nie będzie za mało! mamrotał Brunon, któremu mdlawo się robiło z głodu.

Przejdźcie panowie do drugiego pokoju, wszystko co leży na stole jest na wasze rozkazy.

Brunon będzie nam posługiwał, rzekł Keraban, a Nizib dopomoże pocztylionowi zabezpieczyć, o ile się da, arabę i konie.

Nizib wyszedł natychmiast, spełnić rozkaz pana, a jednocześnie Keraban, Van Mitten i Ahmet, a za nimi Brunon, przeszli do przyległej izby, siadając przy stoliku stojącym przed kominkiem na którym suty płonął ogień.

Tu na prostych miskach leżały resztki zimnego mięsiwa, do którego zabrali się z apetytem. Patrząc jak chciwie zajadają, Brunon pomyślał sobie że za wiele jedzą.

Ale nie zapominajmy o Brunonie i Nizibie, rzekł Van Mitten po upływie kwadransa, który Brunonowi wydawał się wiekiem.

Keraban z towarzyszami po wieczerzy nader skromnej ułożywszy się na ławkach, otulili się płaszczami próbując zasnąć, ale w takich warunkach i podczas burzy trudno było to sobie obiecywać.

Deski z których domek był zbudowany trzeszczały i zdawały się uginać; wicher wstrząsał gwałtownie drzwiami i okiennicami; musiano popodpierać je silnie. Ściany domku chwiać się zdawały, z czego można było sądzić o sile wichru i gwałtowności burzy o kilkadziesiąt stóp po nad dachem. Czy latarnia morska zdoła się oprzeć potędze wichru? czy płomień jej nie przestanie oświetlać przesmyków Atiny, z których morze tak musi być wzburzone? Oto pytania jakie podróżni nasi zadawali sobie.

Było już wpół do dwunastej w nocy.

Niepodobna zasnąć! zawołał Keraban wstając z ławy, i zaczął wolnym krokiem chodzić po izbie.

Rzeczywiście, odrzekł Ahmet; a jeśli burza tak coraz gorzej szaleć będzie, można się obawiać czy ta domina nie runie; bądźmy więc gotowi na wszelki wypadek.

Ty śpisz, Van Mitten? zapytał Keraban; jak mogłeś zasnąć? i pociągnął go za rękę.

Zdrzemnąłem się, odpowiedział przecierając oczy.

Bogdaj to takie flegmatyczne natury! My nie mamy chwili spokoju, a pan Holender spał sobie w najlepsze.

Nie pamiętam podobnej nocy! rzekł jeden ze strażników; wicher szaleje nad morzem, kto wie czy jutro nie pokryją go szczątki rozbitych statków.

Czy ukazywał się jaki okręt w pobliżu Atiny? zapytał Ahmet.

Nie, dzięki niebu, a przynajmniej nic nie widać było do zachodu słońca. Wszedłszy na szczyt dla zapalenia latarni, nic dostrzedz nie mogłem; i daj Boże abym żaden statek nie pojawił się na tej przestrzeni, bo jakkolwiek światło latarni pięć mil do koła rozświetla, przepłynięcie przesmyków podczas takiej burzy, wielkiem groziłoby niebezpieczeństwem.

W tej chwili burza gwałtownie wstrząsnęła domem.

Straszna burza! rzekł Ahmet.

Straszna, rzeczywiście, rzekł Van Mitten; prawie możnaby ją porównać z burzami szalejącymi na wybrzeżach naszych holenderskich, nadchodzącymi

od oceanu Atlantyckiego.

Oh! zawołał Keraban, to dopiero porównanie!...

Ale pomyśl tylko, przyjacielu Kerabanie; owe burze nadciągają do nas z Ameryki, przebywszy cały ocean.

Cóż znaczy miotanie się oceanu, w porównaniu z burzami morza Czarnego! rzekł Keraban.

Przyjacielu Kerabanie, nie chciałbym ci przeczyć, ale rzeczywiście...

Rzeczywiście, tego tylko pragniesz, odparł Keraban nie będący bynajmniej w dobrem usposobieniu.

Ale bynajmniej... chciałem tylko powiedzieć...

I cóż takiego?

Ze w porównaniu z oceanem Atlantyckim, morze Czarne możnaby uważać za jezioro.

Za jezioro! krzyknął prostując się Keraban; przez Ałłacha! zdaje mi się że powiedziałeś: jezioro!

No! wielkie jezioro, jeśli już chcesz koniecznie! odrzekł Van Mitten, chcąc złagodzić swe określenie, – ogromne, niezmierzone, – ale jezioro!

Czemużby nie staw? rzekł drwiąco Keraban.

Tego nie powiedziałem.

Może sadzawka!...

Nie mówiłem tego.

A może kałuża?...

Nie mówiłem nic podobnego.

Aleś myślał... tak, tak, Van Mitten.

Ależ zapewniam cię...

No! niechże już będzie kałuża... ale niechnoby wypadł jaki straszny kataklizm któryby wrzucił całą twoją Holandię w tę kałużę, a zatonełaby w niej jak kropla w morzu... kałuża!...

I zaczął chodzić po izbie, ciągle powtarzając: kałuża!

A jednak pewny jestem że nie użyłem tego wyrażenia, rzekł Van Mitten do Ahmeta – nawet mi w myśli nie powstało.

Kałuża!... rzekł znowu uparty Turek, i stanął przed przyjacielem patrząc

mu bystro w oczy. Biedny Van Mitten nie śmiał nawet przemówić w obronie ukochanej swojej Holandyi, której Keraban groził zatonięciem w morzu Czarnem.

Przez całą jeszcze godzinę, burza stawała się coraz gwałtowniejszą, strażnicy wychodzili co chwila tylnymi drzwiami czuwać na słupami drewnianymi stanowiącymi podstawę latarni, ciągle miotanej burzą. Keraban i towarzysze jego uczyli się nareszcie tak znużeni, i znów pokładli się na ławach, ale zasnąć nie mogli. Około drugiej po północy panowie i słudzy zerwali się na równe nogi; domek zachwiał się na podstawach; wicher wyrwał okna które padając roztrzaskały się na kawałki. Nastąpiła nareszcie chwilowa cisza, – od morza dał się słyszeć wystrzał armatni.

[Rozdział IV]

Wszyscy natychmiast rzucili się do okien aby spojrzeć na morze, którego sproszkowane wichrem bałwany, uderzały o domek latarników jakby deszcz gwałtowny. Głęboka ciemność zaległa dokoła; o kilka kroków nic dojrzećby nie można było, gdyby chwilami wielkie błyskawice nie rozjaśniały horyzontu.

Właśnie w chwili takiego błysku, Ahmet dostrzegł na morzu mały poruszający się punkcik, na przemian ukazujący się i znikający.

Czy to okręt? zawołał.

A jeżeli jest to okręt, czy z niego dano wystrzał? zapytał Keraban.

Wejść na galeryę latarni dla przekonania się, rzekł jeden z latarników, wchodząc na małe drewniane schodki znajdujące się w rogu izby, z których wchodziło się na zewnętrzne schody, prowadzące na szczyt gdzie znajdowała się latarnia.

Pójdę za tobą, rzekł Ahmet.

Keraban, Van Mitten, Brunon, Nizib i drugi latarnik, pozostali przy otworach po wyrwanych burzą okien.

Ahmet i latarnik przechodzili z trudnością zewnętrzne schody, gdyż wicher nadzwyczaj utrudniał wstępowanie; chwilami obawiali się że ich porwie i rzuci do morza. Dostali się nareszcie na galeryę. Jakże to przerażający widok przedstawił się ich oczom!

Rozhukane morze obijało o skały olbrzymie bałwany; spiętrzone fale podnosiły się aż nad latarnię; czarne obłoki pokryte były gęstymi nisko opuszczającymi się chmurami, z których wysuwały się niekiedy sinawe błyskawice, będące zapewne odbiciem jakiejś strasznej, oddalonej, ale

jeszcze gwałtowniejszej burzy.

Ahmet i latarnik stanęli jeden z prawej drugi z lewej strony galeryi, i mocno uchwyciwszy się jej poręczy, wytężyli wzrok chcąc dojrzyć ów punkcik ruchomy lub odbłask wystrzału któryby wskazał gdzie statek się znajduje.

Milczeli bo nie mogli dosłyszeć słów swoich, ale wzrok ich na dość odległą sięgał przestrzeń. Światło latarni zasłonięte reflektorem nie mogło ich razić, a rozciągało swe świetlane promienie na odległość kilku mil morskich.

Ale trzeba się było obawiać że latarnia może zagasnąć nagle, gdyż chwilami dął od morza wicher tak gwałtowny, że promień pochylał się i blask swój tracił. Jednocześnie ptaki morskie wystraszone burzą, uderzały o latarnię, niby ogromne owady znęcone światłem lampy, i biedne rozbijały się o żelazną kratę osłaniającego ją przyrządu. Ogłuszające ich krzyki mieszały się z hukiem burzy. Cała drewniana podstawa chwiała się tak silnie, iż zdawało się że runie lada chwila: nic w tem dziwnego. Daje się to niekiedy uczuwać nawet w murowanych latarniach europejskich, i to tak silnie iż oddziaływa na mechanizm nawet zegarów które iść przestają.

Ahmet i latarnik upatrywali daremnie owego dostrzeżonego punkciku, albo znikł już albo błyskawice nie oświetlały miejsca w którym się znajdował. Jeżeli był to okręt, mógł bardzo zatonać wyrwony burzą.

Wtem na morzu powstały dwie trąby morskie; te przerażające fenomena, których przyczyny nie są jeszcze dostatecznie zbadane, i jednocześnie w niewielkiej od jednej z nich odległości, rozległ się głuchy odgłos armatniego strzału.

Wystrzał armatni! zawołał Ahmet, wyciągając rękę w jego kierunku.

Strażnik bacznie wpatrzył się w tamtą stronę.

Tam!... tam!... zawołał.

I przy blasku wielkiej błyskawicy, Ahmet dostrzegł niewielki statek walczący z burzą. Była to tartana; wielki drąg utrzymujący maszty był zupełnie połamany; zbaczała ku wybrzeżom, bez nadziei oporu. Ocalenie było niemożliwe; albo zatonie, albo rozbije się o skały nadbrzeżne.

Jednak tartana opierała się, i jeżeli uda jej się nie uleść przyciągającej sile trąb, może jaki prąd pomyślny poniesie ją ku portowi Atiny, a dzięki światłu latarni może zdoła zwrócić się w dobrym kierunku. Była to jedyna, ostatnia nadzieja ocalenia.

Tartana wszelkimi sposobami opierała się bliższemu meteorowi, grożącemu jej wciągnięciem w swój wir straszliwy; i w tym celu, a nie na znak niebezpieczeństwa, dawano ognia z dział. Chciano rozdzielić wirującą kolumnę kulą armatnią, ale usiłowanie to w połowie tylko się powiodło. Kula przecięła trąbę około dwóch trzecich części jej wysokości; rozerwane części rozdzieliły się i unosiły w przestrzeni jakby dwa odłamy jakiegoś bajecznego zwierza, lecz połączyły się niebawem rozpoczynając znów swój ruch kołowy, i

wyciągając w swem przejściu powietrze i wodę.

Była już trzecia godzina rano; tartana posuwała się ciągle ku skałom. W tejże chwili zerwał się wicher tak gwałtowny, iż podstawa latarni zachwiała się tak silnie, iż Ahmet i latarnik obawiali się że runąć może. Deski gięły się i trzeszczały; musieli zejść co prędzej i schronić się do domku. Lecz nie łatwo było tego dokonać; kręte schody chwiały się pod ich stopami, a wicher zaledwie utrzymać się dozwalał. Zmęczeni niewymownie, zeszli nareszcie do domku.

Cóżeście dostrzegli? zapytał Keraban.

Okręt, odrzekł Ahmet.

Czy znajduje się w niebezpieczeństwie?

Tak jeżeli nie zdoła skierować się wprost ku przesmykom Atiny, rzekł latarnik.

Czy jest to dlań możebne?

Tak, jeżeli kapitan zna te przysmaki, i jeżeli latarnia nie zgaśnie i będzie wskazywać mu ich kierunek.

I nic nie można uczynić żeby im dopomódz... wskazać ten kierunek? zapytał Keraban.

Nic, niestety! odrzekł latarnik.

Wtem nagle błyskawica objęła cały domek; grom uderzył, Keraban i towarzysze jego zostali jakby sparaliżowani chwilowo skutkiem wstrząśnienia elektrycznego. W tejże chwili rozległ się straszny hałas; bezmierny ciężar spadł na dach i zwałił go; wielkim tym otworem wpadł do izby straszny uragan niszcząc w niej wszystko i obalając ściany. Szczęściem znajdujący się w niej stali zgromadzeni przy drzwiach na lewo, a dach spadł od prawej strony, żaden więc nie został raniony.

Wychodząc co prędzej! krzyknął jeden ze strażników, i wybiegłszy z izby wdarł się na nadbrzeżne skały.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Poznali teraz powód katastrofy.

Piorun uderzył w podstawę latarni; ta zawałała się niebawem pociągając za sobą latarnię, która padając na dach spowodowała jego zawalenie a gwałtowny uragan uzupełnił zniszczenie strażniczego domku.

Tak więc zagasło światło latarni oświetlające kierunek małego portu schronienia; choćby więc tartana zdołała uniknąć grożącego jej od trąb niebezpieczeństwa, nic nie uchroni ją od rozbicia o podwodne skały. Już zaledwie sześćdziesiąt sążni oddzielało ją od ogromnej podwodnej skały.

Keraban i towarzysze jego chodzili po wybrzeżu, patrząc z przerażeniem na ten przejmujący widok zagrożonego niechybną zgubą statku, nie mogąc

żadnej udzielić mu pomocy. Sami zaledwie zdołali utrzymać się na nogach, tak miotał nimi wichur, orzucając zarazem piaskiem pomieszczanym z wodą morską.

Nadbiegło kilku rybaków z portu Atina, może dla rozchwytania szczątków tartany, które bałwany mogły lada chwila wyrzucić na skały. Ale Keraban i towarzysze jego chcieli nie zaniedbać niczego coby mogło uratować zagrożonych rozbiciem, a szczególnie wskazać im kierunek w jakim płynąć należało.

Zapalić pochodnie!... krzyknął Keraban.

I w tejże chwili odłamane grubo żywiczne gałęzie z morskich sosen rosnących około zawalonego domu zapalono, i dymiące ich światło zastąpiło w pewnej mierze zniszczoną latarnię.

Tartana nie przestawała zbaczać z drogi; przy świetle błyskawic można było dostrzedz manewrowanie osady. Kapitan próbował kierować statek ku ogniom wybrzeży; lecz zaledwie rozwinął wielki żagiel, uragan go rozszarpał unosząc i rozrucając po wybrzeżu kawałki jego płótna. Pudło statku podnosiło się niekiedy nadzwyczaj wysoko i zapadało znów w otchłań w której rozbiłoby się niezawodnie, jeźliby napotkało pod nią jakąś skałę podwodną.

Nieszczęśliwi! zawołał Keraban; czyż nic nie można przedsięwziąć dla ich ocalenia?

Nie ma sposobu! odpowiedzieli rybacy.

Tysiąc piastków!... dziesięć tysięcy!... sto tysięcy piastków temu, kto zdoła przynieść im pomoc!

Ale i tak wielka nagroda nie zdoła skłonić nikogo do rzucenia się w tak rozhuwane morze. W innych portach znajdują się przyrzady za pomocą których można niekiedy uratować zagrożonych rozbiciem, ale w mały porcie Atina, nie było nawet łódki bezpieczeństwa.

Ależ niepodobna pozwolić na ich zgubę, nie przedsięwzię nic dla uratowania! zawołał Keraban nie mogący znieść dłużej straszego tego widoku.

Wtem nagle rozległ się w przestrzeni krzyk wydany na pokładzie tartany; usłyszawszy go Ahmet, zadrżał. Zdawało mu się, że z pośród huku rozszalałych fal, usłyszał wyraźnie wymówione swoje imię.

I rzeczywiście, dał się powtórnie słyszeć rozpaczliwy okrzyk:

Ahmecie!... Ahmecie!... ratuj!...

Kto mógł go tak przyzywać? Serce biło mu gwałtownie pod wrażeniem nieprzpartego przecucia... Zdawało mu się teraz, że poznaje tę tartanę... że ją gdzieś już widział... ale gdzie i kiedy?... Ah! czy nie w Odessie przed willą bankiera Selima, w sam dzień swego wyjazdu?...

Ahmecie!... Ahmecie!... rozległo się znów w przestrzeni.

Keraban, Van Mitten, Brunon, Nizib, przysunęli się prędko do Ahmeta, który stał z rękami wyciągniętymi ku morzu, jakby przykuty do miejsca.

Twoje imię... ktoś powtarza twoje imię, Ahmecie, rzekł Keraban.

Tak... tak... moje imię... ale te głos...

Nagle wielka błyskawica trwająca blisko dwie sekundy, objęła całą przestrzeń, i przy jej świetle tartana uwydatniła się tak wyraźnie, jak gdyby biało narysowana jakimś działaniem elektrycznym. Piorun uderzył w jej wielki maszt, który płonął jak pochodnia podniecana wiatrem.

Na tyle statku stały dwie młode dziewczyny trzymające się w objęciu; z ust ich wydarł się krzyk rozpaczliwy:

Ahmecie!... Ahmecie!...

To ona!... to ona!... to Amazy!... krzyknął Ahmet, zeskakując ze skały.

Ahmecie!... zawołał Keraban, i prędko zbliżył się do siostrzeńca, nie w chęci zatrzymania go, ale dla przyjścia mu w pomoc gdyby to było możebnem.

Ahmecie!... ratuj!... wołanie to raz jeszcze rozległo się w przestrzeni.

Amazyo!... Amazyo moja!... krzyknął i rzucił się w rozhukane fale.

W tejże chwili jedna z dwóch tręb dosięgła przodu tartany, i wyciągnąwszy ją w swój wir, rzuciła o podwodną skałę. Mały statek rozbił się z wielkim hukiem, zagłuszającym chwilowo odgłos burzy, i w tejże chwili poszedł na dno, a meteor, jakby także rozbity tem uderzeniem, znikł wybuchając jak olbrzymia bomba, oddając morzu swą wodną podstawę, a obłokom pary tworzące wirowe jej zakończenie.

Zdawało się że jak tartana z całą osadą tak i odważny młodzieniec śpieszący ratować nieszczęśliwe dziewczęta, niechybnie znaleźli śmierć w rozhukanych falach.

Keraban chciał rzucić się w morze ratować Ahmeta, i towarzysze jego zaledwie zdołali go powstrzymać aby daremnie nie narażał się na śmierć.

Nieustające błyskawice dozwoliły w tej chwili dostrzedz Ahmeta, z nadludzkim wysiłkiem wdzierającego się na skałę. Jedną z dziewcząt trzymał w objęciu, druga trzymała się jego szaty. Nikogo więcej widać nie było; zapewne cała osada statku musiała zginąć w chwili gdy trąba uderzyła o niego i one tylko ocalały.

Wdarłszy się na skałę niedostępną wzburzonym falom, Ahmet zatrzymał się chwilę, rozglądając się jak daleko znajduje się od wybrzeży; najwięcej piętnaście stóp oddzielało go do nich. Korzystając z cofnięcia się olbrzymiego bałwanu, skutkiem czego woda pozostała na piasku była zaledwie kilka cali

głęboka, puścił się prędko ku skałom nadbrzeżnym i dosięgnął ich szczęśliwie, wraz ze swoim ciężarem; druga dziewczyna przeszła za nim.

Za chwilę znalazł się już na wybrzeżu wśród ucieszonych towarzyszy. Tu oddał wujowi ocaloną dziewicę i upadł złamany wysiłkiem i wzruszeniem.

Amazyja!... Amazyja!... krzyknął Keraban trzymając w objęciach uratowaną, podczas gdy jeden ze strażników podniósł zemdloną Nedię.

Tak, była to Amazyja, którą pozostawili w Odessie, u Ojca Selima. Jakimże sposobem mogła znajdować się, wraz ze swą służącą, o trzysta mil ztamtąd, na drugim krańcu morza Czarnego, na statku który uległ rozbiciu? Ale ani Amazyja ani Nedja nie mogły odpowiedzieć na to pytanie, gdyż obie straciły przytomność.

Ahmet najpierwszy przyszedł do siebie, ale myśli jeszcze zebrać nie mógł; wszyscy udali się do Atyny, w której jeden z rybaków dał im schronienie w swej chacie.

Amazyję i Nedię umieszczono przed kominem na którym płonął wielki ogień. Ahmet, pochylony na narzeczoną, podtrzymywał jej głowę, wołając niespokojnie:

Amazyjo!... Amazyjo!... – nie słyszy... nie odpowiada mi... Ach! jeżeli umarła, nie przeżyję jej straty.

Nie!... nie!... Ahmecie! ona nie umarła... oddycha!... żyje!... zawołał Keraban.

W tejże chwili Nedja odzyskała przytomność i klękając około Amazyji, zaczęła wołać składając ręce:

Pani!... pani moja ukochana!... poczem dodała radośnie: Żyje!... żyje!... otwiera oczy!...

I rzeczywiście Amazyja z wolna otwierała oczy.

Amazyjo!... Amazyjo!... zawołał Ahmet.

Ahmecie!... zbawco mój!... odpowiedziała.

Co to był za statek?... zapytał Ahmet.

Tartana którą miałyśmy zwiedzić przed odjazdem pana z Odessy, odpowiedziała Nedja.

Guidara kapitana Yarhuda?

Tak... on to porwał nas obie.

W jakimże celu?... z czyjego polecenia?

Nie wiemy.

W którą stronę płynął Yarhud?

I tego nie wiemy, odpowiedziała Amazyja; – ale teraz z tobą i przy tobie niczego się nie boję... Zapominam przebytych trosk i smutku.

Ale ja nigdy tego nie zapomnę! krzyknął Keraban, i biada nędznikowi jeśli go spotkam kiedy.

Gdyby się był odwrócił w tej chwili, zobaczyłby uciekającego człowieka który śledził ich z przed drzwi chaty. Był to Yarhud, kapitana tartany, który sam jeden ocalał z rozbicia. Niewidziany znikł niebawem w przeciwnym kierunku niż droga prowadząca do Atiny.

Yarhud tedy słyszał wszystko; wiedział teraz że niepojętem zbiegiem okoliczności, Ahmet znalazł się w miejscu rozbicia *Guidary* i uratował Amazyję gdy już zaczynała tonąć. Minawszy ostatnie chaty, zatrzymał się na zakręcie drogi.

Strasznie jeszcze daleko z Atiny do Bosforu, wyszeptał, zanim się tam dostaną potrafię jeszcze spełnić polecenie bogatego Saffara.

[Rozdział V]

Nie potrzebujemy opisywać jak wielką była radość narzeczonych że się spotkali tak niespodzianie, jak gorąco dziękowali Allahowi za tak cudowne prawie uratowanie i oswobodzenie Amazyji.

Amazyja i Nedja zaspakajając niecierpliwą ciekawość Kerabana i Ahmeta, opowiedziały szczegółowo co zaszło w Odessie po ich wyjeździe. Za drogą zapłatę kupiono dla obu dziewcząt jaką taką odzież; Ahmet przydzielił także prostu ubiór krajowców, poczem panowie i służba zasiedli na drewnianych stołkach przed kominkiem na którym suty płonął ogień, a na zewnątrz burza zaczynała się uspakajać.

Z jakimże to przejęciem słuchali tego co zaszło w villi bankiera, w kilka godzin potem gdy Keraban zniewolił ich pędzić po drogach Chersonesu.

Nie w celu to sprzedania Amazyji drogocennych materii, Yarhud zorzucił kotwicę w małej zatoce, u stóp villi bankiera Selima, ale w zamiarze spełnienia ohydneho czynu, jakim było porwanie młodej dziewczyny, i wszystko kazało wnosić że gwałt ten od dawna i rozmyślnie był przygotowany. Natychmiast po porwaniu obu dziewcząt, tartana odpłynęła na pełne morze.

Tego tylko nie wiedziały i nie mogły powiedzieć, że Selim dosłyszawszy ich krzyki pobiegł im na pomoc właśnie w chwili gdy *Guidara* wypływała już z

zatoki, i że nieszczęśliwy Ojciec padł ugodzony kulą z jej pomostu, może śmiertelnie ranny, co nie dozwoliło mu puścić się w pogoń lub wysłać ludzi dla ścigania zbrodniarzy.

Co do pobytu na statku, oddano im najlepszą kajutę, i tak kapitan jak osada obchodzili się z nimi z uszanowaniem, zapewne w skutku wydanych im rozkazów. Sypiały i jadały oddzielnie w swojej kajucie; mogły wychodzić na pomost kiedy chciały, czuły jednak że śledzą je bacznie, aby czasem w przystępie rozpaczy nie przełożyły śmierci nad czekającą ich dolę.

Ahmet słuchał tego opowiadania ze ściśnionem sercem, stawiając sobie pytanie: czy dopuszczając się tego gwałtu kapitan działał w własnym interesie, aby, jak to często miewa miejsce, sprzedać piękne dziewczęta na targach Azji Mniejszej, lub też z polecenia jakiegoś bogacza z Anatolii.

Ale tej wątpliwości żadna z dziewcząt rozjaśnić nie mogła.

Ilekcóż, miotane rozpaczą, błagały ze łzami Yarhuda aby im powiedział jaki los je czeka, zawsze im tego odmawiał, nie chcąc nawet powiedzieć dokąd płynie – czego Ahmet tak pragnął się dowiedzieć.

Z początku żegluga była dobrą, tylko z powodu że przez kilka dni wiatru prawie nie było, płynęli wolno, co bardzo niepokoiło Yarhuda, z czego można było wnosić że potrzebował przybyć na czas oznaczony: ale gdzie? tego odgadnąć było niepodobna. To przecież zdawało się pewnem że *Guidara* zmierzała do jakiegoś portu morza Czarnego, w Azji Mniejszej.

Z nastaniem pomyślniejszego wiatru, *Guidara* prze dwa tygodnie szybko płynęła ku wschodowi; żaden wypadek się nie wydarzył. Nieraz tartana mijała okręty żaglowe, wojenne lub handlowe albo też szybkie sztemery regularnie przepływające tę część morza Czarnego, lecz wtedy Yarhud zmuszał je aby weszły do kajuty, z obawy aby nie dały jakiegoś sygnału wzywającego ratunku, co mogłoby być dostrzeżone ze statków.

Zwolna stan powietrza stawał się coraz gorszym, a nareszcie groźnym. Już na dwa dni przed rozbiciem *Guidary* straszna nastąpiła burza. Yarhud nie posiadał się ze złości że zniewalało go to do zmiany zamierzonej drogi, gdyż wichry w przeciwną popychał go stronę.

My przeciwnie, mówiła Amazyja, witałyśmy burzę tę z radością, ponieważ zrozumiłyśmy że oddała nas od celu do którego zmierzał Yarhud, a stokroć wolałyśmy śmierć niż los jaki nam gotował... Ale wybuchnęła ta gwałtowna burza, mająca stać się dla nas zbawieniem... ujrzałam ciebie na skale... i zostałyśmy ocalone.

Ałach nie chciał waszej zguby, droga Amazyjo! rzekł Ahmet; czy wiesz że uprzedziłem wuja Kerabana, który chciał rzucić się w morze aby cię ratować?

Na Mahometa! krzyknął, uczyniłbym to gdyby mnie gwałtem nie powstrzymali.

I ktoby się spodziewał że człowiek tak uparty ma tak dobre serce! rzekła

cicho Nedia.

Dosłyszał to jednak Keraban.

Czy to słychana rzecz! zawołał; ta mała śmie mi przymawiać! Przyznacie przecież, kochani przyjaciele, że uporowi memu wiele zawdzięczamy.

Czy podobna! zawołał mimowolnie Van Mitten, nie mogący w to uwierzyć aby upór mógł kiedykolwiek wyjść na dobre.

Najniezawodniej, odparł Keraban. Pomyśl tylko, przyjacielu Van Mittenie, gdybym był uległ waszym naleganiom, aby jechać kolejami żelaznymi Krymu i Kaukazu, zamiast odbywać podróż morską wybrzeżem, Ahmet nie byłby tu w chwili rozbicia, a tem samem nie uratowałby swej narzeczonej.

Zapewnie, odrzekł Van Mitten, ale gdybyś nie zmusił go do opuszczenia Odessy, porwanie jego narzeczonej nie miałyby miejsca, a więc...

Tak to zaczynasz rozumować, Van Mittenie; zamyślasz już rozpocząć sprzeczkę w tym przedmiocie...

Ależ nie!... nie!... przerwał Ahmet; już późno, wartoby spocząć trochę...

Aby jutro wyjechać jak najraniej! dodał Keraban.

Jak najraniej, kochany wuju? rzekł Ahmet; trzeba by może aby Amazyja i Nedia wypoczęły nieco...

Nie, nie, Ahmecie, już nie czuję zmęczenia, rzekła Amazyja.

Oho! panie siostrzeńcze! zawołał Keraban, nie pilno ci jakoś od czasu jak Amazyja jest z nami... Nie należy przecież zapominać o tym nieszczęsnym terminie... koniec miesiąca się zbliża... a tak ważnego interesu zaniedbywać się nie godzi... Pozwól mi więc być praktyczniejszym od ciebie. Tak więc starajmy się wszyscy spać jak najlepiej, a jutro obmyślimy w jaki sposób dalszą odbyć drogę.

Rozgospodarowali się jak mogli w chatce rybaka. Po tak silnych wrażeniach, bardzo potrzebowali kilku godzin wypoczynku. Van Mittenowi śniło się że stacza kłótnię ze swym niezgodnym przyjacielem; ten zaś śnił że spotkał się oko w oko z Saffarem, na którego nie przestawał przyzywać pomsty proroka.

Sam tylko Ahmet nie mógł zasnąć. Rozmyślał nad tem co mogło skłonić Yarhuda do porwania Amazyji? Niepokojąc się zarazem o przyszłość, stawił sobie pytanie, czy z rozbiciem *Guidary* ustawało niebezpieczeństwo. Mógł wnosić że cała jej osada zatонуła, i nie wiedział że kapitan ocalał; ale niepodobna było przypuszczać że katastrofa ta się nie rozgłosi, a wtedy ów bogacz czy może pasza z prowincyi anatolskich, z którego polecenia Yarhud porwał Amazyję, niezawodnie dowie się o wyratowaniu dziewcząt, i z łatwością wyśledzić zdoła w którą udali się stronę. A jakże to łatwo było urządzić jakąś zasadzkę na tej prawie pustej drodze, ciągnącej się między

Trebizondą a Skutari. Kto wie jak straszne jeszcze może zagrażają im niebezpieczeństwa?

Postanowił tedy czuwać nieustannie, mieć się na ostrożności, i nie odstępować Amazyi. Odtąd postanowił sam objąć kierunek podróży, a w razie potrzeby wybrać pewnego przewodnika, któryby prowadził ich najkrótszemi drogami wybrzeża.

Ahmet postanowił sobie także zawiadomić Ojca Amazyi, o wszystkim co zaszło od chwili porwania jego córki. Wiele bardzo zależało na tem aby bankier Selim dowiedział się o swobodzeniu Amazyi, i przybył do Skutari w oznaczonym czasie, to jest za dni piętnaście. List wysłany z Atiny lub Trebizondy nie doszedłby na czas do Odessy, to też zamierzał wysłać telegram z Trebizondy, nie wspominając o tem wujowi, który uniósłby się niepohamowanym gniewem, na samo wspomnienie korespondowania za pomocą drutu telegraficznego. Postanowił także zawiadomić go że może nie jedno jeszcze grozi im niebezpieczeństwo, dobrzeby więc było gdyby wyjechał naprzeciw nim z kilku pewnymi ludźmi.

Nazajutrz, dnia 15 sierpnia, zawiadomił o tem Amazyę, która ucieszyła się niewymownie że Ojciec jej tak prędko otrzyma uspokajającą co do niej wiadomość, i równie gorąco jak Ahmet pragnęła jak najspieszniej przybyć do Trebizondy.

Po kilkogodzinnym wypoczynku, wszyscy byli gotowi do drogi. Keraban niecierpliwiał się więcej jak kiedykolwiek; Van Mitten gotów był poddać się wszelkiem jego wymaganiom; Brunon tylko spoglądał z boleścią na swój opadły brzusek, myśląc że przed końcem tej przekłętej podróży wyschnie jak szczapa.

Atina, dawne „Ateny” Pontus-Euksinus, jest to dziś nędzna miejscina. Zachowało się w niej jeszcze kilka kolumn porządku doryckiego, resztki świątyni Pallady, ale ruiny te tylko Van Mittena zaciekawiały; Ahmet przebiegł koło nich nie spojrzawszy nawet. On nad wszelkie choćby najstarożytniejsze ruiny, wolałby znaleźć jakiś wehikuł nie tak niewygodny jak ich wóz kupiony na granicy turecko-rossyjskiej. Ale na nieszczęście nic lepszego dostać nie mógł; trzeba więc było zatrzymać arabę i umieścić w niej Amazyę i Nedię, a dla reszty podróżników nabyć konie, osły lub muły, aby na nich mogli dojechać do Trebizondy.

Ah! jakże Keraban żałował teraz swojej tak wygodnej karety, rozbitej na drodze żelaznej w Poti! Jak złorzeczył nienawistnemu Saffarowi, który, według niego winien był wszystkiemu!

Amazyja i Nedzia bardzo zadowolnione były ze swojej araby: nigdy jeszcze tak nie jechały. Siedzenie miękko wysłane był wygodne; nieprzemakalne pokrycie broniło od zmian powietrza, i czegoż trzeba więcej! Już sama podróż w tak niezwykłych odbywana warunkach miała dla nich urok nowości, a nadto tak niedługo trwać miała! Wszakże za parę tygodni przybędą do Skutari.

Oh! pewna jestem, mówiła Nedzia, że śpiąwszy się dobrze na palce,

możnaby już ztąd dojrzyć Skutari!

W rzeczywistości teraz z całej tej gromadki dwóch tylko ludzi budziło politowanie: Keraban, który niepokoił się bardzo czy z powodu tak utrudnionej podróży, zdołają przybyć na czas oznaczony, i Brunon którego rozpacz ogarniała na samą myśl jechania na mule trzydzieści pięć mil oddzielających ich jeszcze od Trebizondy. Nizib pocieszał go że tam przybywszy, Ahmet będzie mógł zapewnić im wygodniejszą podróż.

Około jedenastej rano, karawana opuściła Atinę. Po gwałtownej wczorajszej burzy zupełna cisza nastąpiła w powietrzu. Chmury się rozeszły; słońce rzucało promienie ożywiając krajobraz. W morzu tylko wrzało jeszcze głucho wzburzenie; fale roztrącały się o skaliste wybrzeża.

Keraban i towarzysze jego, jechali teraz jak mogli najspieszniej drogą przerynącą Lezgistan zachodni: pragnęli przebyć przed wieczorem granicę paszaliu Trebizondy. Droga ta nie była pustą; przeciągały po niej karawany liczące setki wielbłądów. Obijał się ciągle o ich uszy ogłuszający odgłos grzechotek i dzwonek przyczepionych do karków wielbłądów, a jaskrawe różnobarwne pompony i muszle w jakie były przystrojone, bawił wzrok. Karawany te ciągnęły do Persyi lub z niej powracały.

I morskie wybrzeża dość były ożywione; co krok spotykano gromady rybaków i myśliwych. Z zapadnięciem nocy, rybacy wypływają na łodziach, których tyły oświetlają, dla połowu rodzaju sardeli zwanych „kamzi”, których niezliczona liczba spożywana jest na całych wybrzeżach anatolijskich, jako też w środkowych prowincjach Armenii.

Myśliwi spotykają tu niezwykłą obfitość zwierzyny. Tysiące ptaków morskich z gatunku czubatych nurów, zwanych tu „kukarinas” unosi się na wybrzeżach tej części Azji Mniejszej. Nadzwyczaj poszukiwane i drogo płacone ich skórki, hojnie opłacają trudy polowania i czas jemu poświęcony.

Około trzeciej po południu zatrzymali się na obiad a miasteczku Mapawra, leżącym przy ujściu rzeki tego nazwiska, której czyste wody mieszają się ze strumieniami nafty, nadpływającymi z okolicznych źródeł. Nie potrzebujemy mówić że podano na stół sardele świeże i solone, gdyż w paszaliu Azji Mniejszej, jest to ulubiona potrawa. Oprócz tych ryb podano jeszcze parę pożywniejszych potraw, które podróżnicy nasi spożyli z dobrym apetytem. Wszyscy tak byli uradowani że podróż zbliża się do końca, tak uszczęśliwieni uratowaniem Amazyi, iż sam ten dobry humor najlepszą stanowił przyprawę.

No, cóż Van Mittenie, czy bardzo jeszcze ubolewasz nad uporem – uporem tak uzasadnionym twego przyjaciela i korespondenta, który zniewolił cię do odbycia tej podróży? zapytał Keraban.

O nie! przyjacielu Kerabanie, jestem bardzo zadowolony, i jeżeli zechcesz, gotów jestem odbyć drugą podobną podróż.

Zobaczymy!... zobaczymy!... przyjacielu Van Mittenie!... No! a ty, pieszcotko, rzekł zwracając się do Amazyi, co też myślisz o twoim niedobrym

przyszłym wuju, co ci porwał twojego Ahmeta?

To co myślałam zawsze, odpowiedziała, że jest najlepszym z ludzi.

I najuległym... dodała Nedia. Co więcej zdaje mi się nawet że pan Keraban nie jest już tak upartym jak dawniej.

Masz tobie!... ta szalona dziewczyna poważa się żartować sobie ze mnie, zawołał Keraban śmiejąc się wesoło.

Ależ nie... panie mój... czyżbym śmiała... rzekła Nedia.

Eh! mała, nie zapieraj się!... masz słusność... nie sprzecam się już i nie upieram... Już nawet przyjaciel Van Mitten nie zdołałby podniecić mnie do kłótni.

Ho!... ho!... wolno o tem wątpić! rzekł Holender powątpiewająco poruszając głową.

To rzecz jasna jak słońce, Van Mittenie.

Gdyby tak zwrócić rozmowę na pewne przedmioty...

A choćby na nie wiedzieć jakie!... przysięgam ci...

Nie przysięgaj.

A to czemu?... alboż mi to nie wolno?... odrzekł zaczynając się unosić, no! mówże, dlaczego nie mam przysięgać?

Bo często nader trudno jest dotrzymać przysięgi.

Zawsze łatwiej niż powstrzymać język który widocznie cię świerzbi, Van Mittenie, i widocznie dla przyjemności swojej sprzeczasz się ze mną.

Co?... ja!... ja!... przyjacielu Kerabanie?...

Tak ty... i gdy ja powtarzam ci że postanowiłem nigdy o nic się nie sprzeczać i nie upierać, proszę bardzo abyś i ty także nie sprzeczał się ze mną i nie upierał...

O! już co tym razem nie ma pan bynajmniej słusności, panie Van Mitten, rzekł Ahmet.

Ani odrobinki słusności!... dodała Amazyja.

Nawet cienia słusności!... potwierdziła Nedia.

Pocziwy Holender już ani pisnął, widząc że ma wszystkich przeciw sobie.

Czy w rzeczywistości Keraban uparty poprawił się z tej wady, jak to utrzymywał, czy skutkoważy nauczki jakie odbierał w ciągu tej tak nierozważnie przedsięwziętej podróży gorsze jeszcze niż dotąd mogącej

sprowadzić niebezpieczeństwa? przyszłość pokaże. To tylko pewna że w gruncie duszy towarzysze podróży podzielali niedowierzenie Van Mittena, że guz uporu nie zmniejszył się na jego czasce.

Czas nam w drogę! zawołał Keraban wstając od stołu, obiad był wcale nie zły, ale czeka nas daleko lepszy.

Gdzie? zapytał Van Mitten.

W mojej willi w Skutari.

Okolo ósmej wieczorem przybyli do miasteczka Rize, gdzie mieli zanoć. Pokoik dano im tak mały i tak niewygodny, że Amazyja i Nedja postanowiły przespać noc w arabie. Szło głównie o to aby konie i muły mogły pożywić się i wypocząć dla nabrania sił na dzień następny, a na szczęście siana i jęczmienia nie brakło w żłobach. Keraban i towarzysze jego dostali świeżej słomy na posłanie; poprzestali na tem chętnie, pocieszając się nadzieją że nazajutrz nocować będą w Trebizondzie, w którymś z najlepszych hoteli tego wielkiego miasta, gdzie już znajdują wszelkie wygody.

Ahmet nie położył się wcale, dręczony jakimś niewysłowionym niepokojem. Nie mógł odegnąć tej myśli, że z rozbiciem się *Guidary* nie ustało gzożące Amazyi niebezpieczeństwo, i dlatego przez całą noc czuwał uzbrojony w pobliżu araby.

I nie myliło go przeczucie.

Rzeczywiście przez cały ten dzień kapitan Yarhud nie spuszczał z oka karawany, lecz wiedząc że Ahmet, a szczególnie obie dziewczęta poznałyby go niezawodnie, ukrywał się przed ich wzrokiem. Szedł za nimi, śledził, szpiegował, układał plany w celu powtórnego porwania Amazyi, i napisał do oczekującego w Trebizondzie Skarpanta, aby nazajutrz znajdował się w karawanseraju Rissar, o milę od Trebizondy. Nie zawiadomił go jednak o rozbiciu *Guidary* i wynikłych z tego następstwach.

W nocy, Yarhud zakradł się cicho, aby się przekonać czy dziewczęta pozostały w arabie, ale szczęściem dla niego spostrzegł dość wczesnie bacznie czuwającego Ahmeta, i oddalił się niewidziany.

Tym razem zamiast jak dotąd iść w pewnej odległości za karawaną, zwrócił się na drogę wiodącą do Trebizondy, aby wyprzedzić naszych podróżnych i naradzić się ze Skarpantem zanim oni przybędą do tego miasta. Wsiadł na konia którego nabył w Atinie i prędko popędził do Rissar.

Nazajutrz, dnia 16 września, wszyscy wstali równo ze dniem, zdrowi i weseli; Keraban był w doskonałym humorze.

Chodź do mnie, śliczna Amazyjo, niech cię uściskam na dzień dobry.

Najchętniej, kochany wuju, jeśli pozwolisz mi teraz już tak cię nazywać?

Jeśli pozwolę! ależ kochane dziecię, nazywaj mnie nawet Ojcem;

przecież Ahmet jest jakby synem moim.

Konie czekają, rzekł Ahmet wchodząc, śpieszmy się żeby wieczorem stanąć w Trebizondzie.

Jesteśmy gotowi, Ahmecie, a zwracając się do Van Mittena dodał:

No, przyjacielu, napisane było w przeznaczeń księdze, żebyś zobaczył Trebizondę.

Trebizondę!... jaka to wspaniała nazwa! odrzekł Holender. Według mego „Przewodnika” który zdaje się doskonale ułożony, w Trebizondzie to i na jej wzgórzu Diesięć tysięcy Ksenefonta odbywało igrzyska i ćwiczenia szermierskie, pod przewodnictwem Drakoncyusza. Doprawdy, rad jestem bardzo że zobaczę Trebizondę.

Przyznaj sam, przyjacielu Van Mitten, że podróż ta pozostawi ci niezwykle wspomnienia, rzekł Keraban.

Przyznaję to najchętniej.

Tylko że nie skończyła się, i nie wiemy co jeszcze spotkać nas może!... szepnął Brunon swemu panu, niby złowrogi prorok przypominający jak zmienne są rzeczy ludzkie.

O siódmej rano puścili się w drogę. Niebo piękną jaśniało pogodą, promienie słoneczne rozpraszały mgły poranne.

O dwunastej, zatrzymano się na śniadanie w małej mieścinie Of. Tu zajazd był bardzo biedny, musieli więc poprzestać na posiadanych jeszcze resztkach zapasów podróжных.

O piątej zatrzymali się na obiad w miasteczku Surmeneh, zkąd wyjechali o szóstej, z zamiarem przybycia przed nocą do Trebizondy; ale przeszkodziło temu złamanie się koła araby, o dwie mile od miasta. Było już około dziewiątej; zmuszeni więc zostali zanocować w stojącym tuż przy drodze kazawanseraju, dobrze znanym podróżnym przebywającym często tę część Azji Mniejszej.

[Rozdział VI]

Karawanseraj rysarski, zarówno jak inne tego rodzaju budowle, zapewniał wszelkie wygody podróżnych udającym się do Trebizondy.

Właściciel jego, Turek nazwiskiem Kidros, chytry i przebiegły, utrzymywał go bardzo starannie, starał się zadawalniać przybyłych gości, rozumiejąc dobrze iż wymaga tego własny jego interes. Uprzejmość swoją posuwał tak daleko, że w razie żądania zmniejszał nawet swoje bezmiernie przesadzone podawane rachunki; jak mówił, jedynie dla zadowolenia tak znakomitych gości, chociaż w rzeczywistości pomimo obciążenia pozostała suma kilkakrotnie przewyższała jeszcze jego należność.

Karawanseraj rysarski, stanowił wielki dziedziniec zamurowany do koła, a w środku miał szeroka bramę wychodzącą na drogę. Po obu stronach tej bramy stały małe strażnice zdobne tureckim pawilonem, ze szczytu których można było widzieć czy drogi są bezpieczne. W otaczających budowlach było bardzo wiele drzwi prowadzących do oddzielnych pokoi, w których nocowali podróżni, bo rzadko się zdarzało żeby w dzień bywały zajęte. Z jednej strony dziedzińca rosło kilka sokomorów, rzucających nieco cieniu na grunt piaszczysty, któremu południowe słońce nie skąpiło swoich promieni. W środku dziedzińca studnia nieco wystająca po nad ziemię; po za murami kryte szopy ze żłobami, dla koni, wielbłądów i mułów.

Tego wieczoru przybyła do karawanseraju znaczna liczba podróżnych; ze dwadzieścia pokoi było zajętych, i większość gości spożywała w nich wieczerzę. Około dziewiątej dwóch tylko mężczyzn przechadzało się po dziedzińcu; rozmawiali żywo, przerywając sobie tylko niekiedy, aby rozejrzeć się na zewnątrz. Obaj ubrani byli bardzo skromnie, nie chcąc widać zwracać uwagi podróżnych; był to bogacz Saffar i intendent jego Skarpant.

Tak, panie Saffar, mówił Skarpant, dziś właśnie Yarhud polecił nam przybyć do karawanseraju rysarskiego.

I czemuż, ten pies niewierny nie czeka tu na nas! zawołał Saffar.

Zapewnie nadejdzie lada chwila.

Cóż znów za pomysł mu przyszedł, żeby zamiast wprost do Trebizondy, tu przyprowadzać całą karawanę?

Jak widzimy Saffar nie wiedział o rozbiciu się *Guidary* i wynikłych z niego następstwach.

List Yarhuda wysłany był z portu Atina, odpowiedział Skarpant, nie ma w nim żadnej wzmianki o porwanej dziewczynie, prosi tylko abym dziś wieczorem znajdował się w tym karawanseraju.

I nie ma go dotąd! zawołał Saffar; niech się strzeże, może drogo przypłacić to nadużywanie mojej cierpliwości! Przeczuwam jakąś katastrofę!

Morze Czarne nadzwyczaj był wzburzone, morze burza zapędziła tartanę do portu Atiny, i dlatego nie mogła dopłynąć do Trebizondy.

Lecz nie mamy pewności, że udało mu się porwać dziewczynę z Odessy?

Panie mój, Yarhud jest nie tylko wytrawnym i śmiałym marynarzem, ale

zarazem nader zręcznym i przebiegłym człowiekiem.

Największa przebiegłość zawodzi niekiedy! odezwał się kapitan maltański, już od kilku chwil stojący w progu karawanseraju.

Saffar i Skarpant odwrócili głowy; a intendent zawołał: „Yarhud!”

Jesteś nareszcie! rzekł dość gburowato Saffar, zwracając się ku przybyłemu.

Tak, panie Saffar, odrzekł kłaniając się kapitan tak... jestem... nareszcie!

A gdzież jest córka bankiera Selima? zapytał Saffar; więc nie udało ci się w Odessie?

Córka bankiera Selima została porwana przez mnie przed sześciu blisko tygodniami, zaraz prawie po odjeździe narzeczonego jej Ahmeta, który zmuszony był towarzyszyć wujowi swemu, w podróży około morza Czarnego. Odpłynąłem natychmiast ku Trebizondzie, ale wichry równonocne zagnały tartanę moją na wschód, i pomimo największych usiłowań moich, *Guidara* rozbiła się o nadbrzeżne skały Atiny, i cała osada śmierć znalazła.

Cała osada! krzyknął Skarpant.

A Amazyja? zapytał Saffar, nie troszczący się wcale o rozbiecie Guidary.

Została uratowaną wraz z młodą jej służącą, którą porwałem razem z nią, odrzekł Yarhud.

Więc skoro została uratowaną, gdzież jest? zapytał Saffar.

Panie mój! odrzekł Yarhud, fatalizm widocznie...

Mówże prędzej co się stało! krzyknął Saffar groźnie.

Córka bankiera Selima została uratowaną przez swego narzeczonego, Ahmeta, który nieszczęsnym trafem znajdował się na miejscu rozbicia.

On ją więc uratował!... krzyknął Skarpant.

Gdzież jest obecnie Amazyja? zapytał Saffar.

W drodze do Trebizondy, pod opieką narzeczonego, wuja jego Kerabana i kilku towarzyszących im osób, odrzekł Yarhud. Z Trebizondy wszyscy jechać mają do Skutari, gdzie odbyć się ma wesele.

Niedoługo! krzyknął Saffar; powinieneś być sam uratować Amazyję.

Byłbym to zrobił choćby z narażeniem własnego życia, i obecnie jużby znajdowała się w pałacu w Trebizondzie, gdyby fatalizm nie sprowadził tam Ahmeta.

Nie godzien jesteś polecanej ci sprawy! krzyknął Saffar z gniewem.

Racz pan wysłuchać mnie cierpliwie, a przekonasz się że Yarhud zrobił wszystko co tylko było możebnem.

To nie dosyć, skoro chodzi o spełnienie mego rozkazu! krzyknął Saffar.

Co się stało, odstać się nie może, rzekł Skarpant; zastanówmy się teraz co obecnie czynić należy. Porwanie córki bankiera Selima z Odessy, mogło się nie udać, jednakże zostało dokonane. Przez rozbitcie *Guidary* narażona była na śmierć, a jednak żyje. Do tej chwili mogłaby być już żoną Ahmeta, jednak nie została nią jeszcze! Zatem nie ma nic straconego!

Nic! nic! odrzekł Yarhud. Po rozbitciu *Guidary*, nie przestałem śledzić Ahmeta i jego towarzyszy, od chwili wyjazdu ich z Atiny. Podróżują spokojni nie przewidując żadnego niebezpieczeństwa, a jakże to długa jest jeszcze droga z Trebizondy przez Anatolję do brzegu Bosforu. Ani Amazyja ani towarzysząca jej służąca nie wiedzą dokąd płynęła *Guidara*, a co więcej nikt z całej karawany nie zna ani pana Saffara ani Skarpanta – trzebaby więc tylko wciągnąć karawanę w jakąś zasadzkę.

Słuchaj Skarpancie, i ty Yarhudzie, chcę bądź co bądź dokuczyć Kerabanowi i porwać Amazyję, bo wiem że to mu sprawi największą przykrość. Nie dopuszczę się tem karogodnego przestępstwa; z Amazyją nawet się nie zobaczę i polecę obejście z nią jak najgrzeczniejsze, pełne uszanowania. Będzie więc to figiel dla Kerabana może za dokuczliwy, ale nie więcej, jak niewinny figielek, aby poznał że choćby nie wiem jaki fatalizm zawiał się na mnie, potrafię stoczyć z nim walkę i zostać zwycięzcą.

O to nie ma obawy, odrzekł Skarpant. Yarhud ma słuszość; od Trebizondy do Skutari roztaczają się puste okolice... możnaby więc postarać się aby karawana w nich zbłądziła... nastroczając jej przewodnika któryby rozmyślnie wprowadził ją na bezdroża. Tam napadliby na nich nastawieni umyślnie ludzie... Jednakże wolałbym działać podejściem niż uciekać się do siły.

Ale jakimże sposobem? spytał Saffar.

Powiedziałeś, Yarhudzie, spytał Skarpant zwracając się do niego, że Ahmet i jego towarzysze, jadą teraz do Trebizondy?

Tak, a nadto przybędą tu niezadługo, i niezawodnie będą nocować.

Możeby się udało wynaleźć jakąś przeszkodę... wplątać ich w jakąś sprzeczkę; któraby zatrzymała ich tu dłużej... a nadewszystko rozłączyła Amazyję z Ahmetem?

Wolałbym uciec się do siły, rzekł Saffar.

Uciekniemy się do niej jeżeli podstęp się nie uda, odrzekł Skarpant.

Cicho! zawołał Yarhud, ktoś nadchodzi.

Jakoż dwóch mężczyzn weszło na dziedziniec; jednym był Kidros nadzorca karawanseraju, drugi musiał być ważną jakąś osobistością, jak przynajmniej należało wnosić z dosłyszanej rozmowy.

Saffar, Skarpant i Yarhud ujrawszy go cofnęli się w ciemny kąt podwórza, z kąd niewidzialni mogli słyszeć całą rozmowę, tym więcej że przybyły nie wystrzegali się wcale i mówił głośno i wyniośle.

Był to bogaty bardzo Kurd, nazwiskiem Yanar.

Górzysta część Azji obejmująca starożytną Assyrię, nosi w nowoczesnej geografii nazwę Kurdystanu. Kurdystan dzieli się na dwie części, turecką i perską, odnośnie do tego czy graniczy z Turcją czy z Persją, a mianowicie część północna, znacznie większa, należy do sułtana, zaś część mniejsza, południowa do szaha. Część należąca do Turcji liczy kilkakrotnie sto tysięcy mieszkańców, pomiędzy którymi bogaty Yanar wcale niepoślednie zajmował miejsce.

Yanar przybył w przeddzień do karawanseraju Ryssar, wraz z siostrą swoją panią Sarabul. Już od dwóch miesięcy opuścili Mossul, odbywając podróż dla przyjemności. Jechali teraz do Trebizondy, gdzie zamierzali zabawić kilka tygodni. Pani Sarabula, mająca lat przeszło trzydzieści, była od lat już kilkunastoletnią wdową po tureckim dygnitarzu, paszy i gubernatorze sandżaku.

Yanar, był to mężczyzna czterdziestopięcioletni, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy, patrząc nań zdawało się że musiał przyjść na świat ze zmarszczonymi brwiami.

Miał nos orli, oczy głęboko zapadłe, ogromne wąsy i głowę ogoloną, przedstawiał raczej typ armeński niż turecki. Na głowie miał wysoką futrzaną czapkę, otoczoną wielkim kawałem jaskrawo czerwonej materii; ubrany był w długą zwierzchnią suknię, z długimi szerokimi i otwartymi rękawami, pod nią kaftan zahaftowany złotem, szerokie, do kostek sięgające pantalone, skórzane oblamowane buty, a w pasie opasany był wełnianym szalem, za którym mieściła się cała zbrojownia pistoletów, sztyletów i jataganów. Wszystko to razem nadawało mu tak straszną minę, iż mrowie przechodziło patrząc na niego. To też Kidros mówił do niego z wielką uniżonością, prawie na wpół zgięty, miał minę człowieka zmuszonego uśmiechać się stojąc przed otworem armaty nabitej kartaczami.

Tak, panie Yanar, mówił z jak najbardziej przekonującą miną, zapewniam że sędzia przybędzie tu jeszcze dziś wieczór, a jutro, skoro świt, rozpocznie śledztwo.

Kidrosie, rzekł, jako właściciel tego karawanseraju, odpowiadasz za bezpieczeństwo podróżnych, i niech cię Ałach skarże, jeźlibyś tego zaniedbał.

Dokładam też wszelkich starań...

A jednak, rzekł wskazując na otwartą bramę, przeszłej nocy złodzieje czy inni jacyś złoczyńcy, poważyli się wejść tędy i wtargnąć aż do pokoju

siostry mojej, pani Sarabuli.

A!... łotry! krzyknął Kidros.

Nie opuścimy karawanseraju dopokąd złoczyńcy nie zostaną pojmani, osądzeni i powieszani, rzekł Yanar.

Kidros nie był przekonany zupełnie czy zamiar okradzenia miał rzeczywiście miejsce; to tylko było pewnem że pani Sarabula obudziła się w nocy i wybiegłszy z pokoju zaczęła krzyczeć przyzywając brata, a krzyczała tak głośno że pobudziła wszystkich. Jednakże pomimo najtroskliwszych poszukiwań, nawet na jakiś ślad złoczyńców nigdzie nie natrafiono.

Skar pant przysłuchiwał się uważnie tej rozmowie, i myślał już czy nie da się wyciągnąć z tego pewnej korzyści.

Jestem Kurdem, wołał prostując się dumnie Yanar, Kurdem z Mossulu, tej wspaniałej stolicy Kurdystanu, nie dozwolę aby krzywda wyrządzona mnie i siostrze mojej Kurdystance, uszła bezkarnie!

Ależ żadna krzywda nie miała miejsca, odważył się powiedzieć Kidros, cofając się przecież przezornie o parę kroków. Nic wreszcie nie ukradziono.

Tak, ale tylko dzięki odwadze i dzielności mojej siostry, równie biegle władającej pistoletem jak jataganem.

Widać przeczuwając to złoczyńcy uciekli, rzekł Kidros.

Gdyby też nie to, energiczna, dzielna siostra moja, byłaby rozsiekała z pięciu... z dziesięciu nawet. I dlatego też dzisiejszej nocy będzie czuwać zarówno jak ja uzbrojona od stóp do głów, i biada temu ktoby odważył choćby zbliżyć do jej pokoju!...

Lecz, rzekł nieśmiało Kidros, broniąc bezpieczeństwa swego zakładu, może nie byli to złoczyńcy... ale spekulanci za porwanie domagający się okupu.

Przez Mahometa! krzyknął Yanar, chwytając za rękojeść jataganu, tegoby jeszcze brakowało!... Dla podobnego zuchwalca więzienie, szubienica, wbicie na pal... wszystko to byłoby jeszcze za mało... jeźliby nie zajmował odpowiedniego stanowiska i majątku, aby mógł zostać jej mężem.

Uspokój się, szanowny panie, rzekł Kidros; śledztwo wykaże sprawców winy. Jeździłem sam do Trebizondy, do sędziego, przyrzekł przybyć niezwłocznie, zapewniając że posiada niezawodny sposób wykrycia przestępcy.

Jakiż to jest ten sposób? zapytał z szyderskim uśmiechem Yanar.

Tego mi sędzia nie powiedział, zaręczał tylko za jego nieomylność.

No! zobaczymy to jutro; idę teraz do mego pokoju, ale nie zasnę, całą noc czuwać będę nad bezpieczeństwem mojej czcigodnej siostry.

Kidros odetchnął spokojniej, mówiąc sobie:

Nareszcie jutro się to przecie skończy! Co zaś do złodziei, jeśli byli rzeczywiście, mieli wielki rozum że uciekli.

Przez ten czas Skarpant rozmawiał cicho z Saffarem i Yarhudem.

Dzięki temu Yanarowi, rzekł, mamy dobrą sposobność.

Sądzisz więc?... rzekł Saffar.

Sadzę że uda mi się wywołać jakąś awanturę, dzięki której Ahmet przez jakie kilka dni zmuszony będzie pozostać w Trebizondzie, a może nawet zostanie rozłączony ze swoją narzeczoną.

Dobrze, ale jeśli podstęp się nie uda? rzekł Saffar.

Wtedy uciekniemy się do siły, odrzekł Skarpant.

W tej chwili dopiero spostrzegł ich Kidros; podszedł ku nim zapytując:

Co panowie rozkażą?

Nic, czekamy tu na mających przybyć na noc podróżnych, odrzekł Skarpant.

Wtem karawana jakaś zatrzymała się przed bramą.

Zapewnie zajeżdżają, rzekł Kidros, i poszedł nowo przybyłych.

Ale i Skarpant jednocześnie wyrżał za bramę, zapytując Yarhuda:

Byłżeby to Ahmet i jego towarzysze?

Tak... tak... to oni!... odrzekł Yarhud, cofając się prędko aby go nie poznali.

Bądźmy ostrożni, rzekł Skarpant, schowajmy się aby nas nie widzieli.

Słyszę głos Kerabana, rzekł Yarhud.

Co!... Kerabana? krzyknął Saffar, i rzucił się ku drzwiom.

Co się panu stało? zapytał zadziwiony Skarpant; dlaczego nazwisko Kerabana tak silnie na pana wywarło wrażenie?

To on!... on!... spotkałem się już z nim na kolei kaukazkiej... śmiał kareta swoją chcieć zagrozić mi drogę, abym nie mógł przejechać.

Więc zna pana?

Zapewnie!... mogę wznowić tu tę sprzeczkę... kazać go aresztować...

Nie pozbawiłoby to wolności jego siostrzeńca, odrzekł Skarpant.

Potrafię się pozbyć obydwóch, rzekł Saffar.

Nie!... nie!... unikajmy kłótni i rozgłosu, odrzekł Skarpant. Najlepiej będzie jeśli ten Keraban nic nie będzie wiedział o pańskiej tu obecności, ani tem więcej że Yarhud porwał w Odessie córkę bankiera Selima... Mogłoby to całkiem popsuć sprawę.

Niechże i tak będzie, spuszczam się na twoja przebiegłość, ale pamiętaj nie zawieź mego zaufania, odrzekł Saffar.

Jestem pewny swego, jeśli tylko będę miał swobodę działania. Wracaj pan dziś jeszcze do Trebizondy.

Dobrze, odjadę.

I ty Yarhudzie oddał się ztąd natychmiast; znają cię, więc mogliby poznać.

Otóż i oni! rzekł cofając się Yarhud.

Ale jakże odjechać, aby nie spotkać się z niemi? zapytał Saffar.

Tędy, rzekł Skarpant, otwierając furtkę z lewej strony muru.

Saffar i kapitan tartany odeszli prędko.

W sam czas! rzekł do siebie Skarpant; a teraz powinienem wszystko widzieć i wszystko słyszeć.

[Rozdział VII]

Rzeczywiście Keraban i towarzysze jego, zostawiwszy w zewnętrznych zabudowaniach arabę, konie i muły, wchodzili do karawanseraju. Kidros wprowadził ich kłaniając się nisko, i postawiwszy w rogu podwórza latarkę słabe tylko rzucającą światło.

Czy ztąd tylko już dwie mile do Trebizondy? zapytał Keraban.

Tak, nie całe dwie mile, odpowiedział.

Dobrze. Niech dadzą karmę naszym koniom, wyjedziemy jutro bardzo rano. A zwracając się do Ahmeta prowadzącego Amazyę, dodał: od czasu odzyskania Amazyi, on nią już tylko zajęty, a ja muszę myśleć o dalszej podróży.

A od czegoż jesteś pan wujem? rzekła Nedia.

Nie gniewaj się wuju, rzekł Ahmet.

Ani na mnie, mówiła Amazyja.

Ależ nie gniewam się na nikogo, nawet na poczciwego Van Mittena który przecież... powziął niegodziwą myśl... porzucenia mnie w drodze.

O! nie mówmy już o tem! zawołał Van Mitten, już się to nigdy, nigdy nie powtórzy.

Przez Mahometa! czemu nie mielibyśmy mówić o tem? Mała sprzeczką w tym lub choćby innym przedmiocie... wpłynęłaby na lepsze krążenie krwi.

Zdaje mi się, wujaszku, że postanowiłeś sobie nigdy się już nie sprzeczać? rzekł Ahmet.

Ah! masz słuszość; no! jeżeli mnie to kiedy na tem złapie...

Zobaczmy! mruknęła Nedia.

Teraz, zdaje mi się, najlepiej zrobimy idąc prędzej spać, aby wypocząć kilka godzin, rzekł Van Mitten.

Tak, jeżeli tylko można tu będzie zasnąć, mruczał Brunon.

Masz dla nas wolne pokoje? zapytał Keraban właściciela zajazdu.

Tak, panie, i niczego w nich nie brakuje.

Dobrze! Jutro będziemy w Trebizondzie, za dziesięć dni staniemy w Skutari... gdzie czeka nas doskonały obiad, na który was zaprosiłem.

A który słusznie nam się należy, przyjacielu Kerabanie.

Obiad w Skutari!... szepnął Brunon do ucha swemu panu; nie jesteśmy tam jeszcze...i kto wie czy dojedziemy.

Trochę odwagi, Brunonie, odrzekł Van Mitten... cóż, u licha! nie zapominaj że chodzi o honor Hollandyi.

A! wielki to zaszczyt dla Holandyi, zem wychudł jak szkielet!... nie przyznałaby mnie teraz za swego syna.

Stojąc na uboczu, Skarpant podśluchiwał rozmowę podróżnych, upatrując chwili gdy wypadnie mu w miążsać się do niej.

Gdzież jest pokój przeznaczony dla tych młodych dziewcząt? zapytał Keraban.

Tu, odrzekł Kidros, wskazując na lewo.

Więc dobranoc, kochana Amazyjo, niech Ałlah czuwa nad tobą! rzekł Keraban.

Do jutra, ukochana moja, rzekł Ahmet, całując rękę narzeczonej.

Amazyta i Nedya weszły do pokoju, którego drzwi otworzył im Kidros.

A gdzie spać będą nasi służący? zapytał Keraban, wskazując Brunona i Niziba.

Zaprowadzę ich do jednego z zewnętrznych pokoików, rzekł Kidros.

I zwrócił się ku bramie w głębi, skinąwszy na Brunona i Niziba, którzy znużeni mocno, chętnie pośpieszyli za nim.

Teraz czas działać! rzekł do siebie Skarpant.

Keraban, Van Mitten i Ahmet, przechadzali się po dziedzińcu oczekując powrotu Kidrosa. Keraban był w doskonałym humorze, wszystko szło po jego myśli. Przybędą w oznaczonym czasie do Skutari, i cieszył się na samą myśl jaką minę zrobią władze tureckie, zobaczywszy go po drugiej stronie Bosforu. Dla Ahmeta przybycie do Skutari, kładło kres długiemu jego oczekiwaniu. Co do Van Mittena, ten choćby przez wzgląd na Brunona, wyglądał także końca podróży.

Cóż to zapomnieli o nas! nikt nie przychodzi wskazać nam pokoju? rzekł Keraban.

Skarpant z wolna podszedł ku niemu.

Zapytuje pan o pokój przeznaczony dla pana Kerabana i jego towarzyszy? rzekł kłaniając się nisko – oto tu!

I wskazał na prawo, w korytarzu, drzwi pokoju zajętego przez kurdyjską podróżniczkę, panią Sarabulę, tuż obok pokoju Kurda Yanara.

Chodźmy! rzekł Keraban do towarzyszy, popychając silnie drzwi wskazane przez Skarpanta. Drzwi prowadziły do korytarza. Weszli do niego, lecz zanim jeszcze mieli czas zamknąć drzwi na powrót, rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy, a zaraz za nim groźny głos męzki.

Keraban, Van Mitten i Ahmet, cofnęli się prędko na dziedziniec, nie pojmując co znaczy ten hałas.

W jednej chwili ze wszech stron drzwi się otwały; podróżni powychodzili ze swych pokoi. Amazyta i Nedya wybiegły także. Brunon i Nizib przybiegli zaniepokojeni, i nagle ukazała się dzika postać Yanara. Tuż za nim kobieta jakaś wybiegła na korytarz, wrzeszcząc przeraźliwie:

Złodzieje!... zbóje!... mordercy!...

Była to pani Sarabula, wysoka, silna, śmiałej postawy; oczy miała bystre i pełne ognia, cerę rumianą, włosy czarne, usta zdradzające gwałtowność, słowem Yanar w kobiecej postaci.

Widocznie, czuwała nierozebrana. Miała na sobie sukienny „mintan”

ozdobiony złotym haftem na staniku i na rękawach jasne jedwabne „entari” w żółty rzucik; kibić jej otaczał szal czyli pas, za którym założone były dasmasceńskie pistolety, yatagan, w pochwie z zielonego safianu; na głowie fez opasany jaskrawą chustką, od którego zwieszał się długi kwast zwany „puskul”; na nogach buty z czerwonej skóry, pod cholewy których wsunięte były „szalwary”. Niektórzy podróżnicy utrzymują, że strój Kurdystanek czyni je podobnymi do osy, co do Sarabuli to możemy zaręczyć, że posiadała nader przerażające żądło.

A to mi kobietka! rzekł półgłosem Van Mitten.

Godna siostra swego brata! odpowiedział Keraban, pokazując Yanara.

Wtem Yanar krzyknął:

Znowu napad złoczyńców!... aresztować wszystkich obecnych!

Bądźmy ostrożni, rzekł Ahmet cicho do wuja, bo zdaje mi się że my właśnie staliśmy się powodem tego wrzasku i hałasu.

Eh! nikt nas nie widział, a przecież sami się nie przyznamy.

Co się stało, Ahmecie, zapytała Amazyja.

Nic, rzeczywiście, droga Amazyjo, bądź spokojna.

W tej chwili Kidros przybiegł z dziedzińca, wołając:

Ah! sędzia przybywa w samą porę!

I rzeczywiście zawezwany sędzia przyjechał z Trebizondy, aby przenoćować w karawanseraju, a nazajutrz rozpocząć śledztwo, którego domagał się Yanar i jego siostra. Towarzyszył mu pisarz sądowy.

Jakto! zawołał, stając w progu, więc złoczyńcy ponowili swoją napaść?

Tak się zdaje, panie sędzio, odrzekł Kidros.

Zamknąć wszystkie bramy karawanseraju! rzekł poważnie sędzia. Niech nikt nie waży się wyjść ztąd bez mego pozwolenia!

Rozkaz spełniono natychmiast, i wszyscy podróżni zostali czasowo więźniami karawanseraju.

Panie sędzio, rzekła szanowna pani Sarabula, żądam wymierzenia kary na złoczyńców, którzy poważyli się napadać na bezbronną kobietę...

I to jeszcze na Kurdystankę! dodał Yanar z groźnym ruchem.

Skarpant bacznie słuchał i przyglądał się wszystkiemu.

Sędzia przebiegły i frant co się zowie, miał oczy tak bystre iż zdawało się że przejrzą każdego na wylot, nos przytem haczykowały, usta zaciśnięte.

Zaczął tedy bacznie przypatrywać się wszystkim podróżnym, co nie było łatwym, gdyż jedyna stojąca w rogu podwórza latarnia nader słabe rzucała światło. Po dokonaniu tego przeglądu, zwrócił się do pani Sarabuli.

Twierdzi więc pani, rzekł, że zeszłej nocy złoczyńcy zamierzali dostać się do jej pokoju?

Tak, odpowiedziała.

I że ponowili dziś ten zbrodniczy zamiar?

Tak, ciż sami lub inni.

I to właśnie przed chwilą?

Tak.

Czy poznałaby ich pani?

Nie; w pokoju i na dziedzińcu było ciemno, nie mogłam dostrzedz ich twarzy.

Wielu ich było?

Nie wiem.

Dowiemy się niebawem, siostró moja! krzyknął Yanar; dowiemy się, i biada zuchwałym łotrom!

W tejże chwili, Keraban nachylił się do ucha Van Mittena, mówiąc:

Nie mamy się czego obawiać; nikt nas nie widział; sam Mahomet by nas nie poznał.

To wielkie szczęście, odrzekł Holender, niepokojący się trochę o następstwa tej przygody, bo z tymi Kurdami ciężka byłaby sprawa.

Jednak sędzia chodził tylko tam i na powrót, jakby nie wiedząc co począć, co bardzo się nie podobało skarżącym.

Sędzio! zawołała pani Sarabula, czyż sprawiedliwość stanie się martwym narzędziem w twoim ręku? Wszak jako poddani sułtana, mamy prawo do jego opieki! Kobieta tak wysokie jak ja zajmująca stanowisko, stała się ofiarą zbrodniczej napaści, złoczyńcy nie mogli uciec, i miałożby im to ująć bezkarnie?...

Z jakże pyszną powagą przemawia ta Kurdystanka! mruknęła Nedia.

Pyszną – może – ale to pewna że przerażającą, odrzekł Van Mitten.

Jakiż wydasz wyrok, sędzio? zapytał Yanar.

Niech zapalą pochodnie! wołała pani Sarabula. Zobaczę... będę się

starać... może przy świetle zdołam poznać złoczyńców którzy poważyli się...

Nie trzeba, odparł sędzia. Sam potrafię wykryć złoczyńców.

Jakto, bez światła?

Bez światła.

To powiedziawszy, szepnął coś pisarzowi, który wyszedł, twierdząco skinąwszy głową.

Jednocześnie, Van Mitten szepnął Kerabanowi:

Nie wiem dlaczego, ale jakoś sprawa ta bardzo mnie niepokoi.

Eh! czegoż u licha! możesz się obawiać, odrzekł tenże.

Wszyscy milczeli zaciekawieni, oczekując niecierpliwie powrotu pisarza.

Mówisz więc, panie sędzio, że wśród panującej tu ciemności, zdołasz poznać...

Ja?... bynajmniej! przerwał sędzia; powierzę to zadanie rozumnemu zwierzęciu, które mi nieraz wielkie w trudnych śledztwach oddawał przysługi.

Zwierzęciu? zawołało kilka głosów.

Tak... mojej kozie... bystre to i zmyślne zwierzę; potrafi wykryć zbrodniarza, jeśli tylko jest tu obecnym. A zdaje się nie podlega to wątpliwości, skoro nikt nie mógł wyjść z karawanseraju, od chwili zamierzonej napaści.

Co za głupiec ten sędzia! szepnął Keraban.

W tejże chwili wszedł pisarz, prowadząc kozę za uzdę.

Byłą to ładna koza z gatunku tych w których wnętrznościach wytwarza się zsiadłość kamienista, zwana bezoar, której mieszkańcy wschodu przypisują własności higieniczne. Miała rzeczywiście dość rozumną fizyognomię, i zdawała się godną wielkiego zadania jakie pan sędzia jej wyznaczał. W Azji Mniejszej, Anatolii, Armenii i Persyi, spotyka się bardzo liczne trzody tych owiec, odznaczających się bystrością wzroku, słuchu i węchu, oraz zadziwiająca szybkością biegu.

Koza ta której mądrość sędzia tak wychwalał, była średniej wielkości, podbrzusze miała białe, także piersi i kark, ale czoło, podbródek i grzbiet czarny.

Jaka śliczna koza! zawołała Nedia.

Ale co ten sędzia chce od niej? zapytała Amazyja.

Pewnie jakieś niby czary, na które ci głupcy dadzą się złapać, odrzekł

Ahmet.

Tak samo myślał Keraban, bez ceremonii wzruszając ramionami; tylko Van Mitten patrzył na te przygotowania z pewnym niepokojem.

Jakto, sędzio, rzekła Sarabula, więc to koza ma poznać złoczyńcę?

Tak jest, odrzekł.

I wszakże go nam?

Niezawodnie.

Ale jakimże sposobem? zapytał Yanar, który jako Kurd gotów był wierzyć we wszystko co tylko zakrawało na czary.

To się pokaże, odpowiedział sędzia. Niech każdy z obecnych to podróżnych, jeden po drugim przesunie ręką po grzbiecie tej kozy, która zabeczy zaraz jak tylko uczuje dotknięcie ręki przestępcy.

Eh! ten sędzia to prosty jarmarczny kuglarz! rzekł cicho Keraban.

Ależ, panie sędzio... to niemożliwe... nigdy proste zwierzę nie może mieć tego rozumu, rzekła pani Sarabula.

Zobaczmy, odrzekł Sędzia.

Nie widzę w tem nic niepodobnego, i dlatego choć przecież na mnie nie może padać podejrzenie, daję z siebie przykład i pierwszy przesuwam rękę.

To powiedziawszy, zbliżył się do stojącej nieruchomie kozy, i przesunął ręką po jej grzbiecie, od karku aż do ogona.

Koza ani mruknęła.

Na innych kolej! rzekł sędzia.

I z kolei wszyscy podróżni zgromadzeni na dziedzińcu karawanseraju, idąc za przykładem Yanara, przesunęli ręce po grzbiecie zwierzęcia; ale widać nie było między nimi przestępców, gdyż koza żadnego z nich nie oskarżyła beczaniem.

[Rozdział VIII]

Gdy się to działo, Keraban wzięwszy na bok Van Mittena i Ahmeta, miał z nimi rozmowę dowodzącą że niepoprawny ten człowiek zapominając najzupełniej o swoim bardzo chwalebny postanowieniu, aby nigdy i o nic się nie upierać, postanowił sobie narzucić drugim swój sposób widzenia i

postępowania.

Moi przyjaciele, rzekł, ten sędzia czarownik jest po prostu ostatnim niedołągą.

Dlaczego? zapytał Holender.

Bo któż zabroni przestępcy, czy też przestępcom, nam na przykład, przesunąć rękę ponad koza, nie dotykając jej grzbietu? Gdyby ten sędzia miał choć trochę rozumu, byłby przynajmniej zażądał światła dla niedopuszczenia podejścia... Ale tak po ciemku... to prosta niedorzeczność!...

Rzeczywiście, rzekł Van Mitten.

Otóż ja tak właśnie zrobię, rzekł Keraban, i proszę pójdźcie za moim przykładem.

Ależ, kochany stryju, rzekł Ahmet, wiesz przecie że dotknąć jej grzbietu czy nie, koza nie zabezpieczy tak dobrze dla niewinnego jak i dla winowajcy.

Rzecz prosta, Ahmecie; ale ponieważ ten sędzia jest tak ograniczony, pokażę mu że mam więcej rozumu, i nie dotknę się kozy... Proszę bardzo, postąpcie tak samo.

Ależ stryju...

Tylko bez opozycji! zawołał Keraban, zaczynając się niecierpliwić.

Jednakże... rzekł Holender.

Van Mitten, pamiętaj że nigdy ci nie przebaczę, jeśli okażesz się tak... naiwnym, iż dotkniesz ręką grzbietu tej kozy.

Niech i tak będzie, nie dotknę ani nawet rogów lub ogona, aby ci się nie sprzeciwiać, przyjacielu Kerabanie, tem więcej że po ciemku nikt tego nie dostrzeże.

Już większość podróżnych poddała się próbie, a koza nie oskarżyła nikogo.

Na nas kolej, Brunonie, rzekł Nizib.

A! jakże ograniczeni są ci mieszkańcy Wschodu, żeby też kozie powierzać wydawanie wyroku, rzekł Brunon.

I obaj z kolei głośnęli kozę po grzbiecie – nie zabezpiecała.

Ależ koza milczy uparcie, panie sędzio! zawołała pani Sarabula.

Czy to żarty? krzyknął z kolei Yanar; przestrzegam że to rzecz nader niebezpieczna stroić sobie żarty z Kurdów.

Cierpliwości! rzekł sędzia, złośliwie mrugając oczami, jeśli koza nie

zabeczała, to dowód że przestępca nie dotknął jeszcze jej grzbieta.

Tam do licha! mruknął Van Mitten, nie mogący sam pojąć miotającego nim niepokoju, myśmy już tylko zostali.

Na nas kolej! rzekł Ahmet.

Tak... ja pójdę najpierw, odpowiedział Keraban; a przechodząc pomiędzy Ahmetem i Van Mittenem, szepnął: pamiętajcie, nie dotykać!

I przesuając ręką po nad kozą, nie dotknął jej wełny. Koza nie zabeczała.

Jakoś dobrze idzie! rzekł Ahmet.

I naśladowując stryja, zaledwie lekko dotknął grzbietu kozy. Nie zabeczała.

Przyszła kolej na Holendra, który ostatni z obecnych miał poddać się próbie. Przysunął się więc do kozy, zdającej się spoglądać na niego z podełba, ale wierny danemu przyrzeczeniu, przesunął rękę po nad grzbietem zwierzęcia.

I teraz koza nie zabeczała; jednogłośnie „oh!” zadziwienia, i „ah!” zadowolenia rozległo się wśród otaczających.

Koza pana jest głupie bydlę i nic więcej! krzyknął grzmiącym głosem Yanar.

Nie poznała złoczyńcy! krzyknęła pani Sarabula, a jednak jest tu obecny skoro nikt nie mógł się oddalić.

Pocieszenie śmieszny jest ten sędzia ze swoją kozą! przedrwiwał Keraban do Van Mittena.

Biedna koza! rzekła Nedia do swej pani, pewnie zrobią jej coś złego za to że nie poznała przestępcy.

Wszyscy zwrócili wzrok na sędziego, którego złośliwością błyszczące się oczy, błyszczały w ciemności jak dwa rozżarzone węgle.

A teraz, panie sędzio, rzekł Keraban z odcieniem szyderstwa, skoro śledztwo już ukończone, sadzę że możemy wszyscy przejść do swoich pokoi.

Nic z tego! krzyknęła rozłoszczona pani Sarabula; nic z tego!... napaść miała miejsce...

Eh! pani Kurdystanko, przerwał cierpko Keraban, nie masz przecie prawa wzbraniać uczciwym ludziom udać się na spoczynek, skoro im się chce spać!

Strasznie górnym tonem przemawiasz, panie Turku, rzekł Yanar.

Mówię tonem właściwym, panie Kurdzie! odparł Keraban.

Skarpanant który już był w obawie, że ułożony przez niego plan się nie powiedzie, skoro winowajcy nie zostali odkryci, przysłuchiwał się z zadowoleniem rozpoczętej sprzeczce między Kerabanem i Yanarem, z której wynikać mogły jakieś sprzyjające jego zamiarom następstwa.

Jakoż sprzeczka się zaostrzała, a Keraban naraziłby się raczej na uwięzienie i potępiający wyrok, byle na włos nie ustąpić. Ahmet nawet wysunął się aby stanąć po stronie stryja, gdy wtem sędzia rzekł poważnie:

Stanąć w szeregu, i niech przyniosą światło!

Kidros z pośpiechem spełnił rozkaz. Za chwilę czterech posługaczy z karawanseraju, weszli na dziedziniec z zapalonymi pochodniami. Zrobiło się jasno.

Niech każdy podniesie w górę prawą rękę! rzekł sędzia.

I wszyscy wzniesli ręce do góry.

Wszyscy mieli zasmolone dłonie i palce, wszyscy prócz Kerabana, Ahmeta i Van Mittena. To też wskazując ich trzech sędzia, zawyrokował:

Oto są winowajcy!

Co!!! krzyknął Keraban.

My!!! zawołał Van Mitten.

Tak, to oni, rzekł sędzia. Mniejsza o to czy wierzyli w to lub nie, że koza ich wyda, ale to pewna że poczuwając się do winy, przesunęli rękę po nad nią, zamiast pogłaskać grzbiet wysmarowany sadzami. Tak więc sami się wydali.

Rozległ się szmer nader pochlebny dla dowcipnego sędziego, a Keraban i towarzysze jego stali mocno zmieszani.

A więc to ci trzej przestępcy, rzekł Yanar, poważyli się przeszłej nocy...

Za pozwoleniem! zawołał Ahmet, przeszłej nocy byliśmy o dziesięć mil od karawanseraju w Risar.

Jakiż na to dowód?... rzekł sędzia. W każdym razie, wy to przed godziną probowaliście zakraść się do pokoju tej szlachetnej damy.

No! tak, zawołał Keraban, rozgniewany że dał się złapać w zastawione sidła, tak rzeczywiście my weszliśmy na korytarz... ale przez prostą pomyłkę, której przyczyną stał się jeden z posługaczy karawanseraju.

Doprawdy? odrzekł szydersko Yanar.

Tak jest, wskazał nam pokój tej pani, jako przeznaczony dla nas

Nie wywiedziesz nas w pole, rzekł sędzia.

Masz tobie! będzie teraz ciepło stryjowi, synowcowi i memu panu z nimi, pomyślał sobie Brunon.

Pomimo całej swej buty i pychy, Keraban zmieszał się rzuconem w oczy oskarżeniem, a cóż dopiero gdy wskazując jego, Ahmeta i Van Mittena, sędzia zawołał:

Odprowadzić ich do aresztu!

Doskonale! Wziąć ich do kozy! wołał Yanar.

I wszyscy podróżni i służba karawanseraju, zaczęli powtarzać jednogłośnie:

Do kozy... do kozy...

Skarpant cieszył się niewymownie a takiego obrotu sprawy. Zaaresztowanie Kerabana, Van Mittena i Ahmeta, przerywało podróż a tem samem opóźniało zawarcie małżeństwa. Lecz co najważniejsze rozłączało Amazję z jej narzeczonym, ułatwiając tym sposobem porwanie Amazyi, z lepszym niż pierwsze powodzeniem.

Ahmet także odrazu zrozumiał wszystkie te następstwa, i uczył wielki żal do stryja, który niegodziwym swoim uporem, takich nabawił ich kłopotów. Wszakże on to zakazał im dotykać się kozy, w celu zażartowania sobie z sędzią, który przecież okazał się sprytniejszym od nich. On więc będzie winien temu że wpadli w zastawione zręcznie sidła, w następstwie czego przyjdzie im co najmniej kilka dni posiedzieć w kozie.

Lecz i Keraban w gruncie nie posiadał się ze złości, myśląc jak mało już mają czasu na ukończenie podróży, żeby mogli stanąć w Skutari przed oznaczonym terminem. Tak więc niczem nie uzasadniony i nedorzecznym jego upór, narazi Ahmeta na utratę tak wielkiego majątku!

Co do Van Mittena ten nie wiedząc co począć, przestępował z nogi na nogę, nie śmiejąc spojrzeć na Brunona, z którego twarzy czytał wyraźnie:

A co? czyż nie ostrzegałem pana, że prędzej czy później nieszczęście jakieś spotka go w tej podróży.

To też nie mógł się powstrzymać od uczynienia Kerabanowi tego aż nadto zasłużonego wyrzutu.

Na dobitkę trzeba jeszcze było wzbraniać nam pogłaskania tej niewinnej kozy!

Po raz pierwszy w życiu, Keraban nie wiedział co odpowiedzieć.

Krzyki: do aresztu! do aresztu! nie ustawały; ma się rozumieć podniecał je Skarpant, krzycząc najgłośniejszym głosem ze wszystkich.

Tak, do więzienia złoczyńców! powtarzał mściwy Yanar, gotów w razie potrzeby dopomóc władzy do ich zaareztowania. Do więzienia wszystkich trzech! powtarzał.

Wszystkich trzech!... chyba że jeden z nich przyzna się do winy, rzekła pani Sarabula, nie chcąc aby za winowajcę karano dwóch niewinnych.

Słusznie! rzekł sędzia. No! który z was chciał wedrzeć się do pokoju tej pani?

Oskarżeni namyślali się trochę; nareszcie Keraban zażądał aby mógł porozumieć się z towarzyszami, na co sędzia zezwolił. Poczem wzięwszy na bok Ahmeta i Van Mittena, rzekł tonem nie dopuszczającym odmowy:

Moi przyjaciele, nie ma innej rady; jeden z nas przyjąć musi na siebie tę niemądrą awanturę, bynajmniej nie groźną!

Jakby przecuciem zdjęty, Van Mitten nadstawił uszu.

Otóż wybór osoby nie może być wątpliwym. Obecność Ahmeta niezbędna jest w Skutari dla zawarcia ślubu...

O! tak stryju, zawołał Ahmet.

Ja muszę być na tym ślubie, jako jego opiekun.

Hę!... rzekł Van Mitten.

Tak więc, przyjacielu Van Mitten, nie ma rady!... musisz się poświęcić!

Co!... ja!... mam...

Tak, musisz sam się oskarżyć!... Cóż ryzykujesz?... kilka dni aresztu?... Dzieciństwo!... potrafimy cię uwolnić!!...

Ależ... odpowiedział, uważając że nadto samowolnie zarządzono jego osobą.

Jest to koniecznym, kochany panie Van Mitten, rzekł Ahmet... Błagam pana w imię Amazyi. Czyż chciałbyś zgubić całą jej przyszłość, z powodu nie przybycia na czas do Skutari...

Ah! panie Van Mitten!... zawołała przybliżając się Amazyia

Jakto... więc chcielibyście... mówił Van Mitten.

Hum! pomyślał sobie Brunon, rozumiejący dobrze o co chodzi, pewny jestem że zniewolą mego pana do popełnienia nowej niedorzeczności.

Panie Van Mitten!... błagał Ahmet.

Bądź wspaniałomyślnym, przyjacielu; ściskając go tak silnie za rękę, że o mało nie pogruchotał mu w niej kości.

A tu krzyki: do więzienia ich! do więzienia coraz natarczywiej się odzywały.

Nieszczęśliwy Holender, nie wiedział co myśleć i co mówić, i już to potakująco, już przecząco kiwał głową.

W chwili gdy służba karawanseraju, na skinienie sędziego posunęła się aby aresztować przestępców, Van Mitten zawołał bardzo niepewnym głosem.

Wstrzymajcie się!... zdaje mi się... że może to ja...

Masz tobie!... przewidziałem to, mruknął Brunon.

Nie udało mi się! powiedział sobie Skarpant, nie posiadając się ze złości.

Więc to pan?... zapytał sędzia Holendra.

Ja!... a tak... tak, ja!

Dobry panie Van Mitten, szepnęła mu do ucha Amazyja.

Oh! tak... bardzo dobry i szlachetny! dodała Nedia.

Cóż robiła przez ten czas pani Sarabula? Oto przypatrywała się z zajęciem temu co to niby poważał się chcieć wejść do jej pokoju.

A więc to pan jesteś tym zuchwalcem?... zapytał Yanar.

A no... tak... ja! odrzekł Van Mitten.

Nie wyglądasz przecież na złodzieja! rzekł sędzia.

Ja miałbym być złodziejem!... ja!... przemysłowiec... Holender!... zawołał, nie mogąc powstrzymać okrzyku oburzenia.

A więc?... spytał Yanar.

Więc... pan ten chciał okraść mnie! rzekła pani Sarabula.

Okraść Kurdystankę! krzyknął Yanar chwytając za rękę yatagana, wszyskta krew pana nie zmyje tak strasznej zbrodni! krzyczał Yanar.

Bracie!... bracie!... wołała Kurdystanka.

Jeśli odmówisz pan wynagrodzenia wyrządzonej krzywdy...

Cóż to znowu? rzekł Ahmet.

Zaślubisz pan moją siostrę, albo!...

Przez Mahometa! rzekł do siebie Keraban, sprawa się wikła.

Ja miałbym zaślubić!... ja ją zaślubić!... ja!... powtarzał biedny Van Mitten, wznosząc ręce ku niebu.

Odmawiasz pan?... wrzasnął piorunującym głosem Yanar.

Czy odmawiam?... odrzekł przerażony Van Mitten, ależ ja mam już...

Nie mógł dokończyć, Keraban uchwycił go za rękę, mówiąc:

Ani słowa o tem!... nie wahaj się... przystań na wszystko... nie ma innej rady.

Ja miałbym przystać!... mając już żonę... miałbym popełnić wielożeństwo!...

Cóż wielkiego! w Turcyi przecie wielożeństwo jest dozwolone... Więc przystań na to!

Ależ...

Żeń się, żeń Van Mittenie; tym sposobem już ani na godzinę nie pójdziesz do kozy. Odbędziemy razem dalszą podróż, a raz przybywszy do Skutari, rozstaniesz się swobodnie z nową panią Van Mitten.

Daruj, przyjacielu Kerabanie, ale domagasz się niepodobieństwa.

Jeżeli odmówisz, wszystko stracone!

W tejże chwili Yanar zawołał, chwytając prawą ręką Holendra:

Musisz się ożenić!

A! skoro jestem zmuszony!... odrzekł Van Mitten, tak drżący że zaledwie mógł utrzymać się na nogach.

Jakto, panie mój, pozwolisz zniewolić się do tego? rzekł przysuwając się Brunon.

I cóż nam robić! odrzekł tak słabym głosem, że zaledwie można było dosłyszeć.

Dalej! trzymaj się pan prosto! krzyknął Yanar, uderzając w bok przyszłego szwagra.

Van Mitten wyprostował się pod tym naciskiem, ale głowa jego chwiała się w tę i ową stronę, jakby na w pół odłączona od karku.

Kurdystanka!... szeptał. Ja! obywatel roterdamski... mam żenić się z Kurdystanką!... Ja Holender!

Ależ, uspokój się, przyjacielu... wszak to małżeństwo dla śmiechu tylko... szeptał mu do ucha Keraban.

Nie trzeba nigdy żartować z rzeczy poważnych! odrzekł Van Mitten, tonem tak pocieszenie kosmicznym, że towarzysze jego zaledwie zdołali się powstrzymać aby nie parsknąć śmiechem.

Nedia wskazała swej pani rozpromienioną twarz pani Sarabuli.

Biedny! biedny pan Van Mitten! rzekła Amazyja.

Wolałbym stokroć przetrwać ośm miesięcy więzienia, niż ośm dni podobnego małżeństwa! rzekł Brunon kiwając głową.

Wtem Yanar odwrócił się do zgromadzonych, wołając głośno:

Jutro w Trebizondzie, obchodzić będziemy świetnie i wystawnie, uroczyste zaręczyny pana Van Mittena i siostry mojej, szlachetnej pani Sarabuli.

Usłyszawszy, że nie ślub, ale zaręczyny zapowiedział, Keraban, Ahmet, szczególnie Van Mitten mówili sobie, że przygoda ta będzie mniej ważną niż się obawiali.

Ale musimy powiedzieć, że według zwyczaju panującego w Kurdystanie, właśnie zaręczyny stanowią nierozzerwalność małżeństwa. Obrządek ten u nich możnaby porównać do ślubów cywilnych istniejących w niektórych krajach, a następnie do małżeństwa religijnego zawieranego u chrześcijan w kościołach. W Kurdystanie po zaręczynach uroczystych, przyszły mąż uważa się za swą wybraną.

Yanar wytłomaczył to dokładnie Van Mittenowi.

Eh! mniejsza o to, szepnął Keraban przyjacielowi; czy cię nazwą narzeczonym czy mężem, nie będziesz na prawdę ani jednym ani drugim.

Jak tylko otworzono drzwi karawanseraju, Skarpant wybiegł mówiąc sobie:

Podstęp się nie udał... pozostaje przemoc!

I znikł nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi.

Biedny! biedny! pan Van Mitten, powtarzał Ahmet patrząc na jego znękaną minę.

Eh! to tylko śmiechu warte! mówił Keraban. Co mi to za zaręczyny! Za dziesięć dni i śladu po nich nie zostanie. Nie ma na co zważać!...

W kilka minut później nikogo już nie było na dziedzińcu karawanseraju w Risar; goście porzuchodzili się na noc do swoich pokoi. Van Mitten zostawał pod strażą straszego swego szwagra; nareszcie milczenie zaległo widownię tej tragicznej komedyi, która najniespodziewaniej spadła na kark biednego Holendra.

[Rozdział IX]

Trebizonda miasto bardzo starożytne, za Konstantyna Wielkiego było chrześcijańskie, później znów powróciło do bałwochwalstwa. Dawid Kemnenos, ostatni cesarz Trapezuntu, pozbawiony wszelkiej pomocy, poddał je w roku 1461 pod władzę Muhamada II-go, który rozkazał ściąć go w Aryanopolu wraz z całą rodziną, kraj wcielił do państwa tureckiego.

To też przez całą pierwszą część podróży, Van Mitten cieszył się myślą ze zwiedzi Trebizondę, ten słynny gród starożytny, obrany przez pisarzy za widowieństwo zadziwiających przygód ich rycerskich bohaterów.

Lecz wtedy jeszcze biedny Holender nie był w tak kłopotliwym jak obecnie położeniu, mógł swobodnie towarzyszyć Kerabanowi, kiedy przeciwnie obecnie, zaręczony, choć tylko na dni kilka, z jejmością panią Sarabulą, pilnującą go bacznie, nie był w usposobieniu rozpatrywania się i oceniania jak należy, wspaniałych historycznych zabytków Trebizondy.

Dnia 17-go września o 9 rano, całe towarzystwo przybyło do starożytnej stolicy dawnego cesarstwa Trapezuntu, zbudowanej w prześlicznym położeniu, wśród dolin, wzgórz, strumieni wód wijących się kapryśnie, przypominających niektóre okolice Szwajcaryi i Tyrolu jakby czarodziejską przeniesione tu mocą.

Trebizonda leżąca 325 kilometrów od Erzurum, stolicy Armenii, dzieli się na dwa miasta, rozłożone na wzgórzu, w amfiteatr. Jedno z nich, tureckie, opasane murem najeżonym wieżycami, posiada starą warownię morską, liczy przeszło czterdzieści meczetów, których minarety wyłaniają się z pośród prześlicznych drzew oliwnych, pomarańczowych i innych. Drugie, handlowe miasto, jest chrześcijańskie; tu znajduje się wielki bazar, bogato zaopatrzone, w kobierce, materye, broń, klejnoty, starożytne monety, drogie kamienie i t. p. Statki parowe regularnie wpływają co tydzień do portu i z portu i z portu, łącząc Trebizondę z głównymi punktami morza Czarnego.

Ludność dochodzi do 40,000 i składa się z Turków, Persów, chrześcijan obrządku łacińskiego i armeńskiego, Greków, Kurdów i Europejczyków. Lecz w dniu przybycia naszych podróżnych, obejmowała 200,000 z powodu napływu wiernych przybyłych z różnych stron Azyi Mniejszej, dla wzięcia udziału w okazałych uroczystościach, jakie miały być obchodzone na cześć Mahometa. I dlatego też karawana nasza, zaledwie mogła znaleźć w Trebizondzie pomieszczenie na dwadzieścia cztery godzin, nie mając czasu bawić dłużej, gdyż i tak zaledwie zdołają zdążyć do Skutari, w oznaczonym

terminie.

Stanęli w hotelu francuzko-włoskim, położonym przy placu Giaur-Meidan, wypełnionym podróżnymi, w handlowej części miasta, zdaleka od tureckiej. Hotel był dość wygodny, a więc Keraban nie miał powodu narzekać na właściciela. Ale kiedy jak on tak cała karawana mniemała że skończyły się już największe trudy i kłopoty, a przynajmniej że nie potrzebują się już obawiać się niebezpieczeństw, w mieście tureckim, gdzie zamieszkiwał ich nieprzyjaciel, straszną przeciw nim układano znowu.

Było to w pałacu bogacza Saffara, wzniesionym na pierwszych stokach góry Bostopeh, zwolna pochylającej się ku morzu, gdzie godziną pierwej przybył intendent Saffar. Tu oczekiwał na niego Saffar i kapitan Yarhud, i tu Skarpant opowiedział co zaszło ubiegłej nocy, jakim sposobem Keraban i Ahmet uniknęli więzienia, które, gdyby nie poświęcenie Holendra, byłoby na łup jego rzuciło Amazyę. Tu trzej wspólnicy powzięli postanowienie zagrażające naszym podróżnikom, później dowiemy się co uradzili; ale do wykonania przystąpili widać niezwłocznie, gdyż nie czekając na mające się rozpocząć uroczystości, Saffar i Yarhud wyjechali niezwłocznie, udając się ku zachodowi Anatolii, drogą wiodącą do ujść Bosforu.

Skarpant pozostał w mieście, gdyż nieznany Kerabanowi Ahmetowi i obu dziewczętom mógł działać swobodnie. Zmieszany z tłumem, kręcił się nieustannie po placu, śledząc bacznie Kerabana i jego towarzyszy.

Spostrzegł niezadługo Ahmeta wychodzącego z hotelu ku portowi; tam zapytał jakiegoś przewoźnika o biuro telegraficzne, gdzie udawszy się wysłał długi telegram do bankiera Selima, w Odessie. Widząc to, śledzący go Skarpant pomyślał sobie:

Bah! można być pewnym że adresant nie odbierze nigdy tego telegramu! Bankier Selim padł śmiertelnie ugodzony przez Yarhuda, z tej strony więc nie mamy się czego obawiać.

Ahmet powrócił do hotelu i oznajmił Amazyi iż za kilka godzin Ojciec będzie o nią zupełnie spokojny.

Prosiłem go, rzekł, aby jak najprędzej przybywał do Skutari, dla załatwienia niezbędnych do zawarcia naszego małżeństwa formalności.

Amazyja serdecznie podziękowała narzeczonemu że uspokoił jej Ojca, za pośrednictwem telegrafu, choć mogła go za to spotkać straszna bura od stryja Kerabana.

Cóż przez ten czas porabiał Van Mitten, będący wbrew własnej woli narzeczoną pani Sarabuli i szwagrem groźnego Yanara? Ale cóż miał począć skoro Keraban tak usilnie nalegał na niego aby zrobił z siebie tę ofiarę, gdyż inaczej nie mogliby na czas wrócić do Skutari, a z drugiej strony przedstawiał: że przecież małżeństwo to, ważne w Turcyi, nie obowiązuje go wcale w Holandyi.

Z drugiej znowu strony Kurd i szanowana jego siostrunia obstawiali przy tem zadośćuczynieniu za nie istniejącą obrazę, nie pozostawiało Van

Mittenowi jak poddać się do czasu.

Na jego szczęście, Keraban zdołał wymódl że Yanar i siostra jego przed stanowczym zawarciem małżeństwa, mającego odbyć się w Mossul, udadzą się z nimi do Skutari, gdzie będą na weselu Ahmeta i Amazyi, i dopiero w parę dni po nim pani Sarabula pojedzie wraz z narzeczonym do swego rodzinnego kraju.

Jakkolwiek Brunon myślał sobie że z powodu swej słabości charakteru, pan jego zasłużył na biedę jaka go spotkała, jednak mimo to żałował go szczerze iż popadł w moc tej przerażającej Kurdystanki. Lecz gdy go ujrzał ubranego w narodowy strój Kurdów, tak dziwaczny i niepodobny do europejskiego, o mało się nie udusił chcąc przez uszanowanie powstrzymać szalony wybuch śmiechu. Strój ten przywdział Van Mitten do mających się odbyć zaręczyn, a tak pociesznie w nim wyglądał iż i Keraban, i Ahmet i obie dziewczęta zanosili się od śmiechu.

Czy to ty jesteś, przyjacielu Van Mitten, ubrany w ten strój wschodni? zapytał Keraban.

Tak, przyjacielu Kerabanie, odrzekł zapytany płaczącym głosem.

W stroju kurdyjskim? Doprawdy wcale ci w nim ładnie; jestem pewny iż oswoiwszy się z nim, uznasz że jest wygodniejszy niż europejski.

Daj pokój żartom, przyjacielu Kerabanie.

Ejże! przyjacielu Van Mitten, porzućże tą płaczącą minę. Powiedz sobie że to zapust i że jest to przebranie do fikcyjnego małżeństwa.

To też nie przebranie niepokoi mnie, odrzekł Van Mitten.

A więc cóż? zapytał Keraban.

To małżeństwo!

Bah! małżeństwo dla śmiechu! nie ty ale pani Sarabula przyplaci drogą swoją żądę zbyt prędkiego pocieszenia się, gdy oznajmisz jej że to zaręczyni bynajmniej cię nie zobowiązują, ponieważ masz żonę w Rotterdamie. Ale proszę cię, przyjacielu Van Mitten, zrób to dla mnie, i w mojej obecności daj odprawę dzikiej Kurdystance, co po gościach wciąga ludzi w zasadzki, aby ich potem przymuszać do wykupu pieniężnego, bo naturalnie wszystko się na tem skończy. Jest to rabunek najwyczejniejszy, ale gdzie wszyscy są złodziejami, tam złodzieja kara nigdy nie spotyka.

Zważywszy to wszystko, poczciwy Holender poddał się swemu losowi dla dobra przyjaciół i uznał że z przygody tej lepiej śmiać się niż rozpaczać.

Zresztą w tym dniu nie miał nawet wolniejszej chwili dla zebrania myśli. Yanar i siostra jego nie lubili bawić się w odwłóczki; zwłaszcza wielkie miasto dawało sposobność odbycia zaręczyn z jak największą uroczystością.

W Trebizondzie znajdowała się znaczna liczba Kurdów, wśród których

Yanar i siostra jego spotkali wielu znajomych z Mossul. Narzeczona więc mogła zaprosić bardzo licznych gości, narzeczonemu zaś towarzyszyli Ahmet i Keraban, oraz wierny jego sługa, Brunon. Yanar, z kilku towarzyszami, nie odstępowali narzeczonego, tak że od czasu gdy przybrał strój kurdyjski, nie mógł ani słowa zamienić z przyjaciółmi. Raz tylko Brunonowi udało się szepnąć panu do ucha:

Ostrożnie, panie mój, bo możesz się strasznych nabawić kłopotów.

Cóż mam robić, odrzekł smutnie; zapewne że to niemądra sprawa, ale nie grozi przecież poważnymi zawiątaniami, tylko ograbieniem mojej kieszeni na co jestem zupełnie przygotowany.

Hum! mruknął Brunon, ale ożenić się, jest to zawsze...

Lecz w tejże chwili Yanar przyszedł do narzeczonego, nie wiadomo więc jak Brunon zakończyłby groźną swoją przestrożę.

Była godzina dwunasta gdy Yanar i inni pysznej postawy Kurdowie, przyszedli zabrać oblubieńca, którego aż do ukończenia obrządku mieli nie odstępować. Postawa narzeczonych nie podlegała krytyce. Van Mitten umiał nie okazać miotającego nim niepokoju; pani Sarabula był dumna że się jej interes tak wybornie udał. Zawczasu obliczał korzyści jakie ztąd uzyska.

A pysznie wyglądała w ślubnym stroju, który, na wszelki przypadek miała z sobą w podróży. Jakże okazałym był jej „mitan” ze złotego sukna, którego stan i rękawy zdobił bogaty haft i filigranowe pasmanterye. Jej „entari” szal opasujący ją w pasie jaśniał przepychem i bogactwem; na nogach miała buciki safianowe, haftowane perłami. Z pod pięknego fezu, spadał do pasa długi „puskul” ozdobiony drogocenną koronką. Na czoło spływały klejnoty i wisiadła ze złotej monety; w uszach bujały się kolce od których na złotych łańcuszkach zwieszał się półksiężyc złoty; stanik zapięty na emaliowane klamry, zdobiły jeszcze filigranowe śpilki w kształcie palm indyjskich a szyję błyszczące podwójne naszyjniki, zwane „guerdanliks” ułożone z agatów.

Ale i Van Mitten niemniej wspaniale wyglądał. Ubiór wschodni nadawał mu jakąś marsowatą postawę, pewien wyraz dzikości i dumy, tak niezgodny z jego holenderskim temperamentem. Miał na sobie płaszcz muślinowy, zdobny aplikacją; szerokie czerwone ałasowe pantaliony wsunięte w buty z ostrogami, zdobne złotym haftem, fez na głowie i suknię otwartą, z długimi aż do ziemi dostającymi rękawami.

Strój ten, doskonale dopasowany do figury Van Mittena kupiony był w wielkim bazarze Trebizondy. Tam także nabyto przeróżną kosztowną broń, którą miał zatknąć za pasem bogato zahaftowanym opasującym mu biodra.

Obrządek zaręczyn odbył się według przyjętego zwyczaju; tylko Yanar i pani Sarabula zarzucali narzeczonemu zbyt chłód i obojętność. Zaszczyt spisania niezbędnych aktów, powierzono owemu sędziemu, który tyle zmyślności i przebiegłości okazał w karawanseraju Risarskim: on też pierwszy złożył życzenia oblubieńcom.

Po spisaniu aktu, narzeczeni i towarzyszący im orszak, udali się wśród

ogromnego tłoku ludności do meczetu, który był niegdyś kościołem bizantyńskim, i którego ściany zdobią piękne mozaiki. Tu rozległy się pieśni kurdyjskie, odznaczające się większą harmonią, artyzmem i melodią niż śpiew turecki i armeński. Do głosów przyłączyła się muzyka na instrumentach wydających jakby szcęk metaliczny, wśród którego odróżniał się piskliwy ton pary fletów. Następnie iman odmówił modlitwę, i Van Mitten został narzeczonym pani Sarabuli, której Keraban wieszował z nieco drwiącą miną.

Tegoż wieczora, w najwspanialszym w mieście pałacu, wspaniale urządzonym, tysiące wiernych cisnęło się dla przyjęcia udziału w uroczystości wstąpienia do nieba Proroka, dla której przybyli do Trebizondy ze wszystkich okolic muzułmańskiej Azji.

Pani Sarabula korzystała z tej sposobności aby się ukazać publicznie obok narzeczonego: Keraban, Ahmet, obie dziewczęta, Brunon i Nizib, wzięli udział w tych uroczystościach, jaśniejących niezrównanym przepychem i wystawnością.

I rzeczywiście był to widok cudowny, lecz łatwiej byłoby go odmalować niż opisać, choćby zapożyczając okresów i obrazowości od największych poetów.

Niedarmo mówi przysłowie tureckie: „Bogactw szukaj w Indyach; rozumu w Europie; przepychu i wystawności u Turków.”

Z takim to niepojętym przepychem odbywała się uroczystość, której dodawały uroku śliczne tańce dziewcząt z Azji Mniejszej. Podstawę uroczystości stanowi legenda że aż do pojawienia się i śmierci Proroka, przypadłej w dziesiątym roku Hegiry, sześćset trzydzieści dwa lat po nowej erze, raj zamknięty był dla wszystkich wiernych uśpionych w przestrzeniach. Dnia tego prorok ukazał się wierzchem na hippogrifie¹ oczekującym na niego przed drzwiami świątyni w Jerozolimie. Następnie cudowny grobowiec jego uniósł się z ziemi ku niebiosom, i dotąd pozostaje zawieszony między zenitem z nadirem, w pośród rozkoszy i przepychu mahometańskiego raju. Wtedy wszyscy zbudzili się dla oddania czci Prorokowi; rozpoczął się nareszcie okres wiekuistego szczęścia dla wiernych, i Mahomet wzniósł się w świetnej apoteozie, a jednocześnie gwiazdy muzułmańskiego nieba, krążyły w około Ałłacha, pod postacią niezliczonych hurysek.

1 Utwór bajeczny, pół orła, pół konia.

Nazajutrz, dnia 18 września, w chwili gdy słońce zaczynało złościć pierwszemi promieniami najwyższe minarety miasta, mała karawana wyruszyła bramą leżącą w ufortyfikowanej części, żegnając ostatniem wejrzeniem piękną Trebizondę.

Karawanę tę prowadził ku wybrzeżom Bosforu, przewodnik wynajęty przez Kerabana, a należał do tych koczowników których krajowcy nazywali „wilkami.” Wyłącznem tychże zajęciem jest przebywanie lasów tej części Anatolii i Azji Mniejszej, w której rośnie zwyczajna leszczyna. Drzewa te puszczą odrośle zwane pospolicie „wilkami” których twarde bardzo drzewo nadaje się doskonale do wytwornych wyrobów stolarskich. Od tej nazwy odrośli, drwali tych przezywano „wilkami”.

Jeden z nich dowiedziawszy się że gromadka cudzoziemców zamierza nazajutrz opuścić Trebizondę udając się do Skutari, przyszedł ofiarując się za przewodnika. Wydawał się roztroptym i przezornym; zapewniał że zna najdoskonalej wszelkie drogi i dróżki; na wszelkie zapytania odpowiadał zadawalniająco, to też Keraban ugodził się z nim chętnie za dobrą zapłatę, którą obiecał podwoić jeżeli karawana dociągnie się do wzgórz Bosforu w niespełna dni dwanaście, aby przed ostatnim terminem małżeństwo mogło zostać zawarte.

Ahmet bacznie wpatrywał się w przewodnika i wyraz jego twarzy nie budził w nim zaufania; lecz gdy odpowiedzi tegoż niczem nie usprawiedliwiały nieokreślonych jego podejrzeń, nie sprzeciwił się zawarciu umowy, rozumiejąc dobrze jak wielką pomocą mógł być przewodnik prawie spędzający życie na tych drogach, dla nich zwłaszcza, którym każda godzina pośpiechu tak wiele znaczyła.

Tak więc wilk ów został przewodnikiem karawany; on miał nią kierować, oznaczać czas i miejsca przystanku i obozowisk, czuwać nad ogólnem bezpieczeństwem. Gdy mu oznajmiono że zapłata umówiona zostanie podwojoną jeżeli przybędą do willi w Skutari przed oznaczonym czasem, odpowiedział:

Pan Keraban może być pewnym że gorliwie służyć mu będę, a skoro przyrzeka mi podwójną zapłatę, obowiązuję się nic od niego nie żądać, jeżeli przed dwunastu dniami nie będzie już swojej villi.

Przez Mahometa! zawołał Keraban, podoba mi się ten człowiek.

Pamiętajmy jednak o tem, kochany stryju, że na drogach anatolijskich nigdy nadto ostrożnymi być nie można.

Ah! zawsze się czegoś obawiasz, Ahmecie.

Co prawda, stryju Kerabanie, dopiero stanąwszy w Skutari, będę się czuł wolnym od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Aa! gdy już małżeństwo twoje zostanie zawarte, odrzekł śmiejąc się

Keraban; obiecuję ci że za dwanaście dni, Amazyza zostanie żoną najnieufniejszego ze wszystkich synowców na świecie...

I synowicą...

Najlepszego ze stryjów! dokończył Keraban, śmiejąc się głośno.

Ruchomy tabor karawany składał się: z dwóch telag dość wygodnych które udało się Ahmetowi dostać za drogą zapłatę; były one zaprzężone w cztery konie, i można je było spuszczać lub podnosić podczas deszczu. W pierwszej zajął miejsce Keraban, Amazyza i Nedja, a za telegą Nizib, w drugiej, w tyle zajęła miejsce pani Sarabula z narzeczonym, a na przodzie Yanar; obok woźnicy Brunon.

Na jednym wierzchowcu jechał Ahmet, na drugim przewodnik, który już to jechał przy drzwiczkach którego wehikułu, już galopował przodem, wskazują drogę.

Ponieważ kraj nie jest zupełnie bezpiecznym, podróżni nasi zaopatrzyli się w strzelby i rewolwery, nie mówiąc już o broni jaką zawsze mieli za pasem Yanar i siostra jego, i o słynnych z pudłowania pistoletów Kerabana. Jakkolwiek przewodnik zapewniał najuroczyściej iż broń wcale nie potrzebna, gdyż żadnej napaści obawiać się niepotrzebują, Ahmet wołał być przygotowanym do obrony na wszelki przypadek.

Już tylko nie całe dwieście mil mieli do przebycia, ale choć stacye pocztowe były bardzo od siebie oddalone i trzeba było popasać i nocować w drodze, można przecież spodziewać się że podróż ukończą bezpiecznie i bez wielkiego utrudzenia, jeżeli nie spotka ich coś nieprzewidzianego.

W południe mijali miasteczko Fol, pozostawiając z lewej strony wzgórze Alp Pontyckich. Po drodze spotykali jadących lub wracających z Trebizondy, wieśniaków przybranych w ciemnobrunatną wełnianą odzież; na głowach mieli fezy lub czapki baranie; towarzyszące im żony, miały na sobie czerwone wełniane spódnice, i obwinięte były dużymi szmatami wełnianej materii w paski, żywo odbijającej od spódnic.

Dnia tego odbyli 20 mil drogi, i na nocleg zatrzymali się w Tirboli. Tu zajadali smaczno tak zwany „kajwak” z owczego mleka, i ser zwany „yaurk” oraz baraninę na różny przyrządzaną sposób.

Nazajutrz, późnym wieczorem, posuwając się zawsze według wskazań przewodnika, przybyli do Keresum, zbudowanego u stóp wzgórza. Dawna ta Farnacea, leży w malowniczym położeniu; przy wejściu do portu sterczą ruiny starożytnego pałacu.

Tu Keraban mógłby zakupić sobie choćby największy zapas wiśniowych cybuchów, stanowiących przedmiot znacznego handlu. W paszaliu tym rośnie niezliczona ilość drzew wiśniowych, i Van Mitten nie mógł się oprzeć chęci opowiedzenia narzeczonej tego ciekawego historycznego faktu, że właśnie z miasta Keresum prokonsul Lukullus wysłał pierwsze drzewa wiśniowe do Europy, w której następnie zaaklimatyzowały się i tak bardzo

rozpowszechniły.

Pani Sarabula nie słyszała nigdy o owym słynnym smakoszu, i widocznie mało bardzo ją zajmowały uczone rozprawy Van Mittena. Biedak przygnębiony despotyczną władzą Kurdystanki, miał minę bardzo opłakaną, a przecież niewiedzieć czy żartem czy seryo, przyjaciel Keraban wieszował mu często, że bardzo pysznie wygląda w Kurdyjskim stroju. Brunon słysząc to wzruszał ramionami.

Doprawdy, Van Mittenie, mówił Keraban, doskonale umiesz nosić ten strój, kalwar, turban, brakuje ci tylko tak sążnistych i groźnych wąsów, jak zdobiące Yanara.

Nigdy nie miałem wąsów, odpowiedział.

Co nie ma pan zarostu! zawołała pani Sarabula.

Nie ma wąsów! zawołał pogardliwie Yanar.

Zaledwie projekt do nich, pani Sarabulo, rzekł z uśmiechem Holender.

No, to będziesz pan miał wąsy jak się należy, już ja wtem żeby urosły! zawołała.

Biedny Van Mitten! szepnęła Amazyza, spoglądając na niego ze współczuciem.

Bah! nie ma czego się użalać, wszystko skończy się na śmiechu! zawołała Nedia; słysząc to Brunon, wstrząsał smutnie głową, jakby ptak złowróżbny.

Nazajutrz, 20 sierpnia, puścili się drogą z czasów rzymskich jeszcze, zbudowaną, jak niesie podanie, przez Lukullusa, dla połączenia Anatolii z prowincjami armeńskimi. Na okolicznych wzgórzach wznosiły się wspaniałe lasy, bogate w najróżnorodniejsze drzewa i krzewy. Winna latorośl dochodząca tu niezwykłych rozmiarów, jakby bluszcz owijała się około drzew, dosięgając aż do ich szczytów. Flora także niezwykle odznaczała się bogactwem, a jakie przepyszne tulipany dzikie, wznosiły piękne swe korony! Van Mitten patrzył na nie pożądlivym wzrokiem; obudziła się w nim żyłka miłośników tych kwiatów, pomimo że z drugiej strony przypominały mu smutne zajście i rozstanie z żoną. Teraz jednak nie mógł nie uznać że tylko węzły łączące go z panią Vau Mitten, ochronić go zdołają od pani Sarabuli, i jej gwałtownej chęci zostania jego żoną. Mimowolnie więc uczuwał pewną wdzięczność dla pani Van Mitten.

Pomimo że czujność Ahmeta nie ustawała ani na chwilę, dotąd nie postrzegł nic niepokojącego. Od wyjazdu z Trebizondy przebyli mil blisko sześćdziesiąt, bez najmniejszego wypadku; przewodnik, niewdający się w żadne rozmowy, umiejętnie wywiązywał się ze swych obowiązków, a przecież Ahmet nie mógł się pozbyć nieufności, jaką tenże obudził w nim od pierwszego spotkania. Nie okazywał tego, ale nie przestawał czuwać nad wspólnym bezpieczeństwem.

Dnia 21 września, dociągnęli na nocleg do Sansun, starożytnej kolonii ateńskiej. Jest to jeden z najważniejszych wschodnich portów handlowych morza Czarnego, tylko że przystań jego nie jest dość głęboka. Handel jest tu dość ożywiony; aż do Konstantynopola wysyłają ztąd całe ładunki arbuźów, nadzwyczaj licznie rosnących w całej okolicy. Nędzny fort wzniesiony na wybrzeżu, nie zdołałby osłonić portu od ataku od strony morza.

Keraban i towarzysze jego chętnie raczyli się słodkimi arbuźami, Brunon tylko jeść ich nie chciał mówiąc że to wcale nie posilne pożywienie. Martwił się biedak bo rzeczywiście tak schudł że i sam Keraban musiał to przyznać.

Wiesz co, Brunonie, rzekł żartując z niego, za powrotem do Europy będziesz mógł zrobić dobry interes sprzedając się za mumię egipską.

Łatwo pojąć że żart ten bardzo nie podobał się strapionemu Holendrowi, i w milczeniu życzył Kerabanowi, aby go spotkało co gorszego jeszcze niż pana jego zmuszonego ożenić się z panią Sarabulą.

Ale pewny jestem, myślał sobie, że temu upartemu Turkowi nic się nie stanie, a wszelkie zło jakie nas może spotkać w podróży, dotknie tylko nas, dobrych chrześcian.

I rzeczywiście Keraban zdrowy był jak ryba i w coraz lepszym humorze, widząc że podróż kończy się pomyślnie i nic nie zdaje się zagrażać spełnieniu jego zamiarów

Dnia 23 wieczorem mała karawana przybyła szczęśliwie do Synopy, leżącej na granicy właściwej Anatolii. Jest to także ważny port handlowy na morzu Czarnem, doskonałą mający przystań. Tu budują okręty z doskonałego drzewa z lasów rosnących na pobliskich górach Aio-Antonio. Synopa posiada zamek obronny otoczony podwójnymi wałami; liczy jednak zaledwie pięć do sześciu tysięcy mieszkańców i nie więcej jak pięćset domów.

A! gdyby tak Van Mitten mógł był widzieć Synopę taką jak była przed dwoma lub trzema tysiącami lat, dopieroż podziwiałby sławne to miasto którego założenie przypisują Argonautom. Stało się ono tak ważnym iż zjednało sobie nazwę Kartaginy Pontu-Euxinu; za czasów rzymskich okręta Synopy pokrywały morze Czarne, nareszcie odstąpioną została Mahometowi II, ponieważ podobała się władcy wiernych.

Obecnie z dawnej świetności pozostały tylko ułamki gzymsów, frontonów i kapiteli najrozmaitszego stylu.

Opuścili Synopę, równo ze wchodem słońca dnia 24 września, i przebywszy piętnaście mil, wieczorem stanęli w Ineboli, którego nieosłonięta, na wichry wystawiona przystań, nie zapewnia bezpieczeństwa okrętom handlowym.

Ahmet doradzał aby nie zatrzymać się na nocleg, lecz puścić się w dalszą drogę po parogodzinny wypoczynku, dla zyskania na czasie. Keraban i całe towarzystwo zgodziło się na to chętnie, nawet i Brunon nie

wystąpił z opozycją. Yanar i Sarabula pragnęli także jak najprędzej już przybyć na brzegi Bosforu, ale móżdżek z tamtąd niezwłocznie wracać do Kurdystanu, a Van Mitten jechałby bez wytchnienia, byle jak najspieszniej pozbyć się pani Sarabuli, Yanara i Kurdystanu, o którym nie mógł pomyśleć bez wstrętu.

Przewodnik wilk nie miał także nic przeciw nocnej podróży, wyjechali więc z Ineboli o ósmej wieczorem, podczas pełni księżyca, który rozciągał prześliczny blask zaraz po zachodzie słońca. Na drugi dzień około północy, 26 września, zatrzymali się w miasteczku Eregli, aby wypocząć do rana. Było to niezbędnym, bo nie tylko podróżni ale i konie bardzo były zmęczone.

Cztery dni już im tylko pozostawały do oznaczonego terminu; jeźliby nie znajdowali na wybrzeżach Bosforu dnia 30 jak najraniej zagrażały im nader przykre zawikłania. Tak więc chwili prawie nie było do stracenia.

Dnia 27 wieczorem, dojechali do przylądka Kerp. Tu zatrzymali się na noc i odbywali naradę czyby nie dało się skrócić drogi, oddzielającej ich jeszcze od Skutari.

[Rozdział XI]

Ponieważ około 60 mil mieli jeszcze do przebycia, na to pozostawało już tylko 48 godzin, a konie były bardzo zmęczone, przewodnik więc radził aby opuszczając krętą drogę ciągnącą się wzdłuż morskich wybrzeży, skręcić ku krańcowi Anatolii, na drogę ciągnącą się między wybrzeżami morza Czarnego i Marmora, co dozwalało skrócić podróż o jakie dwanaście mil.

Lecz czy gościniec ten nie jest pewniejszy niż drogi boczne? zapytał Keraban.

Pod względem bezpieczeństwa żadna nie zachodzi różnica, odpowiedział.

A czy znasz dobrze drogę którą jechać doradzasz?

Przebyłem ją mało dwadzieścia razy, gdy pracowałem w lasach Anatolii.

No, to zdaje się nie ma co się namyślać; warto zmienić drogę do skrócenia jej o mil dwanaście, rzekł Keraban. Cóż myślisz Ahmecie?

Ahmet nic nie odpowiedział. Od pierwszej chwili przewodnik budził w nim jakieś nieokreślone podejrzenie zwiększające się ciągle. Pilnował go też bacznie, ale Keraban nie podzielał bynajmniej podejrzeń, wspartych jedynie na przecuciu.

No, Ahmecie, rzekł, czekam odpowiedzi, cóż myślisz o tej zmianie kierunku?

Myślę, mój stryju, że może najlepiej jechać dalej wybrzeżem morza Czarnego, takby nakazywała przezorność.

Dlaczego, skoro przewodnik zna dobrze boczną drogę którą jechać radzi; już sam zysk w czasie wiele nam znaczy. Trzeba pamiętać że najprostszy wypadek w drodze mógłby stać się nam powodem tak znacznej straty.

Skoro taka wola stryja, nie mogę się sprzeciwiać, odpowiedział Ahmet.

Bo nie możesz zbić moich dowodzeń, panie synowcze, i wiesz że odparłbym zwycięzko wszelkie twoje przełożenia, odrzekł wesoło Keraban.

Ahnet nic na to nie odpowiedział, spojrzął na przewodnika i spotkał się z jego oczami i to wystarczyło aby się odgadli wzajemnie. Przewodnik zrozumiał że Ahmet ma go w podejrzeniu; Ahmet był niemal pewnym że tenże upatruje tylko sposobności aby ich podejść i zdradzić.

Cała zresztą karawana rada była skróceniu podróży, zgodzono się zatem na radę przewodnika aby zanocować a nazajutrz w dalszą puścić się drogę.

Sam przewodnik zalecał aby się zaopatrzyć w zapas żywności na 24 godzin, gdyż na tej bocznej drodze nie ma miast ani najmniejszej wioski. Szczęściem, jakkolwiek drogo, można jednak było dostać na przylądku Kerp niezbędnych artykułów żywności, a nawet sprzedano im osła mającego dźwigać ten nowy pakunek.

Trzeba wiedzieć że Keraban bardzo lubił osły, była to może sympatya upartego dla upartych, a kupiony w Kerp szczególnie mu się spodobał. Był to osiołek niewielki ale bardzo silny, mogący dźwigać ciężar jednego konia, czyli więcej jak sto kilogramów. Tysiące podobnych spotyka się w tych okolicach Anatolii, gdzie roznoszą ładunki zboża do różnych portów wybrzeży. Zapewnie osiołek musiał być równie uparty jak Keraban, a Brunon patrząc nań mrucał sobie pod nosem: trafił swój na swego.

Dnia 28 jeszcze przed wschodem słońca wszyscy już byli gotowi do drogi i zaraz puszczono się w podróż. Ahmet i przewodnik jego jechali konno przed karawaną poprzedzał ich mały dwukołowy wózek z żywnością ciągniony przez osła. Za godzinę, wysokie skaliste wybrzeża, zasłoniły im morze Czarne:

Droga była nierówna i pełna wyboi, co dało sposobność Kerabanowi do utyskiwania na niedbalstwo władz tureckich, Van Mitten cieszył się że za dni parę odzyska swobodę.

Wieczorem Karawana zatrzymała się w nader nędznej wioszczynie, składającej się z bud właściwszych na schronienie dla bydła roboczego niż dla ludzi.

Smutnem byłoby położenie naszych podróżnych, gdyby nie mieli z sobą zapasów żywności. Pożywiwszy się noc spędzili w jakiejś opustoszałej szopie, w której znaleźli kilka pęków świeżej słomy. Ostrożny Ahmet czuwał noc całą i dostrzegł że około północy przewodnik opuścił wioskę.

Nie widziany poszedł za nim, śledząc dopóki nie wróci do obozowiska.

Jaki cel miał przewodnik? Ahmet przekonał się że nie mówił z nikim, że żadna żywa dusza nie zbliżyła się do niego; żaden krzyk nie rozległ się w przestrzeni i nie zakłócił ciszy nocnej; żadne znak ani hasło nie zostało zamienione.

Czy jednak rzeczywiście nie dano znaku? myślał Ahmet powróciwszy do szopy; czy nie stanowi tego ogień jaki ukazał się w oddali na zachodzie?

I szczegół ten na który pierwiej nie zwracał uwagi, ciągle teraz na myśl mu się nasuwał. Przypomnił sobie dobrze iż podczas gdy przewodnik stał na wzgórzu zaopatrzony w przestrzeń, w oddali na zachodzie jasny zabłysł ogień, i zanim zagasł trzy razy w równych odstępach podnosił się w górę i obniżał. Ahmet widział to dobrze, ale sądził że to pastuchy zapalili sobie ogień; teraz jednak gdy rozmyślał nad tem w samotności, coraz silniej utwierdzał się w przekonaniu że był to jakiś znak umówiony. Nie było to już przecucie tylko, ale ważna poszlaka.

O tak, mówił sobie, ten przewodnik nas zdradza. Ale w jakim celu? Na to nie umiał odpowiedzieć.

Całą noc oka nie zmrużył, rozmyślając co ma przedsięwziąć? Czy zdemaskować niegodziwego przewodnika, odkrywając zamierzoną przez niego zdradę, czy powstrzymać zasłużoną karę do chwili gdy zacznie przystępować do jej wykonania. O prawdziwości swoich domysłów już teraz nie wątpił.

Dzień zaświtał; Ahmet uspokoił się i postanowił nic nie mówić i starać się lepiej zbadać zamiary przewodnika. Nie spuści z niego oka, nie dozwoli mu oddalać się na krok ani podczas pochodu ani na przystankach. Gdyby mu nie szło o bezpieczeństwo Amazyi, nie niepokoiłby się tem wcale; bo i on i towarzysze jego dobrze byli uzbrojeni, ale narzeczona bronić się przed napaścią nie mogła.

Ahmet umiał zapanować nad sobą, i dlatego ani twarz ani zachowanie jego nie zdradzały miotającego nim nie pokoju. Nie dostrzegła tego nawet Amazyja tak umiejąca czytać w jego oczach co się w duszy jego dzieło, ani przewodnik nader baczną na niego zwracający uwagę.

Nazajutrz bardzo rano opuszczono nędzną wiosczynę; dzień ten miał być ostatnim dniem podróży, przedsięwziętej dla fantazyi najupartszego z Osmanlisów.

Pod względem kierunku nie było obawy; widocznie przewodnik był pewny siebie i przez cały dzień już nie oddalał się już ani na chwilę, przodując ciągle karawanie. Ale droga teraz była bardzo ciężka, konie ostatnich sił

dobywały; nie ustawały jednak jakby przeczuwały niedługi spoczynek, nawet mały osiołek wesoło ciągnął wózek, za co wielkie miał łaski u Kerabana.

O dziewiątej wieczorem Karawana się zatrzymała, i przewodnik oznajmił że trzeba zająć rozłożeniem obozowiska.

Jak daleko jesteśmy od Skutari? zapytał Ahmet.

O pięć lub sześć mil, odrzekł przewodnik.

Więc nie zatrzymujemy się, za kilka godzin możemy stanąć na miejscu.

Panie Ahmecie, odrzekł przewodnik, nie chcę się po nocy zapuszczać w te kręte drogi, gdyż łatwo byłoby zabłądzić wśród wąwozów. W dzień nie obawiam się tego; wyjechawszy jutro rano, przed południem staniemy na miejscu.

Ma słuszność, rzekł Keraban: nie narażajmy się na spóźnienie skutkiem niestosownego pośpiechu. Przenocujmy więc tu, mój synowcze; spożyjmy razem ostatni podróży posiłek, a jutro rano powitamy wody Bosforu radosnym okrzykiem.

Wszyscy, prócz Ahmeta, podzielali zdanie Kerabana, i zajęto się niezwłocznie aby w jak najlepszych warunkach przebyć ostatnią noc tej długiej podróży.

Trudno było nie poznać że przewodnik wybrał bardzo odpowiednie miejsce. Był to jakby wąwóz wydrążony między górami a raczej wzgórzami, gdyż rzeczywistych gór nie ma w tej części Anatolii zachodniej. Wąwóz ten nosił nazwę Nerisa. Z prawej strony, znajdowała się pieczara, w której wszyscy podróżni mogli znaleźć schronienie.

Ale nietylko ludzie lecz i zmęczone konie miały tu pastwisko i wypoczynek. O paręset kroków od pieczary, po za krętym wąwozem roztaczała się łąka, na której nie brakło trawy ani wody. Tam Nizib poprowadził konie na pastwisko, i jak zwykle podczas noclegów miał czuwać nad nimi.

Gdy Nizib zwrócił się ku łące, Ahmet udał się za nim i chociaż dookoła rozglądał się uważnie, nie dostrzegł jednak nigdzie nic podejrzanego. Łąka, zamknięta od zachodu kilku wzgórzami, była zupełnie pusta. Zapadła tu noc cicha i spokojna, a z nastaniem księżyca, mającego wzejść około jedenastej, dostatecznie zostanie oświetlona. W obłokach błyszcząły gdziegdzie gwiazdy, nieruchome i jakby snem zaskoczone, najłżejszy wietrzyk nie przesuwiał się w powietrzu, najłżejszy szelest nierozlegał się w przestrzeni.

Jak okiem sięgnąć można, Ahmet bacznie rozglądał się dokoła. Może znów ogień zapłonie na którym ze wzgórz okolicznych? Może pojawi się jakiś znak którego przewodnik oczekuje?...

Ale ogień nie zabłysnął nigdzie; nigdzie żadnego znaku.

[Rozdział XII]

Gdy Ahmet powrócił do towarzyszy podróży, został już ukończone przygotowania do wieczery i noclegu. Sypialnię stanowiła rozległa i wysoka pieczara, z licznymi załomami służącymi za oddzielne alkowy: pokój jadalny stanowiła środkowa, dość równa przestrzeń groty, wielki odłam skały zastąpił stół, a mniejsze poodrywane odłamy i kamienie, posłużyły za krzesła.

Z wózka przyciągniętego przez osła wydobyto zapasy żywności, a Keraban kazał i potulnemu zwierzęciu dać jeść w pieczarze. Zabrano dla niego dostateczną ilość pokarmu, mógł więc najeść się do syta, a zadowolony aż ryczał z radości.

Siadajmy do wieczery! zawołał wesoło Keraban, jedzmy i pijmy jak najwięcej, choćby przez wzgląd żeby nasz osiołek mniejszy miał ciężar do dźwigania ztąd do Skutari.

W salonie jadalnym oświetlonym tylko smolnem łuczywem, każdy siadał gdzie mu się zdawało wygodniej. Wgłębi, na największym odłamie, zasiadł jakby na tronie, Keraban nieco dalej Amazyja i Nedja a tuż koło nich, zajęli miejsce Ahmet.

Biednego Van Mittena nielitościwy Yanar posadził między sobą a siostrą swoją; tuż przed nimi leżał duży odłam skały, a strapiony Holender wzdychał tak ciężko, iż gdyby skała miała choć trochę serca, musiałyby się poruszyć. Brunon posługiwał wszystkim. Keraban był w doskonałym humorze i zamiast żałować Van Mittena, iż przez przyjaźń dla niego wplątał się w tak przykrą awanturę małżeńską, czuł ciągle chętkę do śmiechów i dowcipów. Van Mitten zachowywał się spokojnie i z właściwą sobie powagą, raz tylko rzekł z wielką nieśmiałością:

Dobry twój humor, przyjacielu Kerabanie, cieszy mnie niewymownie, chociaż położenie moje w obec tej szlachetnej damy i jej brata, niebardzo przyjemne...

Za kilkanaście godzin już będziesz wolny, odrzekł Keraban, a żarty nasze przyczynią się wielce do nabrania apetytu którym nigdy gardzić nie należy.

Przez cały czas wieczery, Ahmet ciągle miał na oku przewodnika, który siedząc na uboczu spożywał wieczerę z pewnem roztargnieniem, nie mogąc niekiedy utaić jakiejś niecierpliwości: tak przynajmniej zdawało się Ahmetowi. Może rzeczywiście przewodnik miał zamiar oddalić się w jakimś znanym sobie celu, ale nie śmiał odgadując podejrzenia Ahmeta.

No! kochani przyjaciele, zawołał Keraban, posililiśmy się dostatecznie na tej ostatniej stacyi, nie zbraknie nam sił do końca podróży. Wszak, prawda Amazyo?

O! tak, stryju Kerabanie odpowiedziała; zresztą jestem zdrowa i silna, i gdyby trzeba było powtórnie odbyć tę podróż...

Odbyłabyś ją chętnie? zapytał Keraban.

Tak, stryju, dla twojej przyjemności.

Odwdzięczając się za to, wyprawię ci wesele jakiego jeszcze nie widziano jeszcze w Skutari. Oprócz miejscowych gości, zaproszę wszystkich naszych przyjaciół i znajomych z Konstantynopola.

Na cóż nam taka wystawność, rzekła Amazyja.

A jeżeli mnie się tak podoba, czy moja synowiczka pragnie się sprzeciwiać mej woli? zapytał.

Ah! cóż za myśl, stryju Kerabanie.

Dalej! zawołał Keraban podnosząc szklanekę, zdrowie tych młodych, tak godnych szczęścia narzeczonych, Ahmeta i Amazyi!

Wszyscy wesoło spełnili toast.

A teraz jeszcze na cześć połączenia Kurdystanu z Holandją! zawołał znów Keraban.

I ręce wszystkich wyciągnęły się ku Van Mittenowi, który chcąc nie chcąc musiał dziękować i spełnić ten toast.

Wieczera skończyła się wesoło; teraz kilka godzin spoczynku, a będą mogli bez znużenia puścić się nazajutrz w drogę i dojechać do Skutari.

Chodźmy spać! zawołał Keraban; przewodnik obudzi nas jutro gdy czas będzie jechać.

Dobrze, odrzekł tenże; ale może lepiej żebym zastąpił Niziba i poszedł czuwać nad końmi.

Nie, zostań tu! rzekł żywo Ahmet; Nizib potrafi wywiązać się z tego zadania. Nie oddalaj się, będziemy czuwać razem.

Czuwać?... powtórzył, nie umiając dostatecznie ukryć niezadowolenia, jest to najzupełniej zbyteczne, gdyż tu, na krańcach Anatolii, żadne nie grozi niebezpieczeństwo.

Być może, odrzekł Ahmet, ale ostrożność nie zawadzi... Sam zastąpię Niziba przy koniach, ty zostaniesz tu.

Jak się panu podoba, odrzekł; urządzmy teraz pieczarę, aby każdy mógł

przespać noc o ile się da najwygodniej.

Dobrze, zajmij się tem, Brunon ci dopomoże.

Gdy Brunon z przewodnikiem zajmowali się urządzeniem noclegu, znosząc podróżne kołdry, koce i kaftany, Amazyza zbliżyła się do Ahmeta i rzekła podając mu rękę:

Więc i dziś znów zamiast odpocząć, spędzisz noc bezsenną, drogi Ahmecie?

Czyż nie jest moim obowiązkiem czuwać na ukochanymi? odpowiedział, nie chcąc jej dać miotającej nim niespokojności.

Dzięki niebu, będzie to już raz ostatni.

Tak, odrzekł, jutro wraz z tą podróżą skończą się nasze trudy i niepokoje.

Podczas tej rozmowy, Ahmet zbliżył się do Keraban, mówiąc:

Chciałbym pomówić ze stryjem.

Tylko niedługo, bom zmęczony i spać mi się chce. Cóż masz mi do powiedzenia?

Czy wie stryj gdzie jesteśmy?

Ma się rozumieć – w wąwozie Nerissa, nie dalej jak pięć lub sześć mil od Skutari...

Zkądże stryj może to wiedzieć?

No, przecież przewodnik nasz powiedział...

I stryj ufa temu człowiekowi?

Dlaczegoż nie miałbym ufać?

Ponieważ zachowanie się jego jest bardzo podejrzane, odpowiedział Ahmet; codzień silniej utwierdzam się w tym przekonaniu. Wszak nie zna go stryj zupełnie; zgłosił się do nas w Trebizondzie ofiarując za przewodnika do wybrzeży Bosforu, i nie pytając kto on jest przyjął stryj jego usługi. Dalej puściliśmy się w drogę pod jego kierunkiem...

I zdaje się dowiódł, że zna doskonale drogi Anatolii.

Wcale temu nie przeczę, odrzekł Ahmet.

No, to chyba szukasz sprzeczki, odparł marszcząc brwi.

Bynajmniej, kochany stryju... ale jestem bardzo niespokojny... obawiam się o najdroższe mi w świecie osoby...

Silne wzruszenie z jakim wypowiedział te słowa, odbiło się w sercu Kerabana.

Wyłomacz się, drogi Ahmecie, rzekł łagodniej, z kąd powstały obawy twoje właśnie w chwili gdy stajemy u kresu naszych przejść i utrapień?... Tobie zresztą... ale tobie jednemu przyznaję, że cała ta podróż była szalonym moim wybrykiem... Ale nareszcie kończy się, małżeństwo twoje zostanie zawarte w oznaczonym terminie... Jutro będziemy w Skutari...

Lecz czy będziemy?... jeśli daleko dalej jesteśmy od niego niż to mówi przewodnik?... Jeśli z umysłu wywiódł nas na błędne drogi... słowem jeśli nas zdradza?

Zdradza?... powtórzył Keraban.

Tak, odrzekł Ahmet, może zdrajca ten służy tym co kazali porwać Amazyę?

Przez Mahometa! zawołał, z kąd ci przyszedł podobny pomysł?... Wierzysz w jakieś dziecinne przeczucia...

Nie, stryju, obawy moje opierają się na faktach... Od kilku dni przewodnik ten często oddalał się na przystankach i noclegach, pod pozorem sprawdzenia drogi... pragnąc aby tego nie spostrzeżono. Zeszłej nocy przeszło na godzinę opuścił obozowisko... śledziłem go ukradkiem i jestem więcej jak pewny, że ogniem dano mu sygnał z oddali... sygnał którego widocznie oczekiwał.

Rzeczywiście jest to nader ważna poszlaka, odrzekł Keraban, ale z jakiego powodu te jakieś matactwa przewodnika, łączysz z porwaniem Amazyi na *Guidarę*?

Przecież tartana ta nie zmierzała ku portowi Atina, gdzie rzuciła ją burza... i wszystko mi się zdaje płynęła pewnie do Trebizondy, w którym to mieście kupują niewolnice dla nababów Anatolii. Tam łatwo mogli się dowiedzieć że porwane dziewczę zostało uratowane po rozbiciu statku, wysłedzić gdzie jest i nasłać nam tego przewodnika, aby karawanę naszą wprowadził w zasadzkę.

Tak... być może, masz słuszość... może rzeczywiście zagraża nam niebezpieczeństwo... Dobrze się stało żeś czuwał i śledził... dzisiejszej nocy i ja czuwać będę z tobą!

Nie czyń tego stryju, jesteś znużony, odpocznij sobie... Sam czuwać będę, jestem dobrze uzbrojony, dam znać jak tylko coś dostrzegę.

Mówię ci że będę czuwać z tobą, zawołał Keraban; nie chcę aby ktoś mógł powiedzieć że szalony wybryk takiego jak ja uparciucha, stał się powodem nowej jakiej katastrofy.

A więc dobrze kochany stryju, czuwajmy razem.

Jesteśmy uzbrojeni, biada temu kto zbliży się do naszego obozowiska.

Przez ostrożność nie dozwoliłem przewodnikowi wychodzić z pieczary.

Keraban i Ahmet chodzili tam i napowrót przed wejściem do pieczary, nadśluchując i rozglądając się w około. Przetrwali tak ze trzy godziny, lecz żaden szmer nie zagłuszył ciszy nocnej, nie dostrzegli nic co by usprawiedliwiało powzięte podejrzenia. Już obiecywali sobie że żaden wypadek nie zaskoczy ich tej nocy, gdy nagle, około trzeciej przy końcu wąwozu, rozległy się głośnie krzyki przerażenia.

W tejże chwili Keraban i Ahmet pochwycili za broń; jednocześnie Nizib przybiegł zadyszany wołając:

Ach, panie! panie!

Cóż się stało, Nizibie?

Konie!...

Nasze konie? mówże, niedołego, wrzasnął Keraban, wstrząsając nim silnie.

Skradziono nam konie: trzech czy czterech ludzi wpadło na łąkę i porwali nasze konie.

I zbiegli z niemi? zapytał Ahmet.

Tak, tam ku zachodowi.

Spieszmy! gońmy tych rabusiów!... krzyknął Keraban.

Nie stryju, byłoby daremne; uciekających konno, niepodobna byłoby dogonić pieszo... zajmijmy się natychmiast zabezpieczeniem naszego obozowiska.

Ach, patrz pan! zawołał półgłosem Nizib, patrz pan... tam... tam!...

I ręką wskazał wierzchołek skały, sterczącej z prawej strony wąwozu:

[Rozdział XIII]

Na szczycie skały sterczącej po przeciwnej stronie pieczary, czołgał się jakiś człowiek, widocznie chcąc z jej skraju rozpatrzeć się po obozowisku. Łatwo było odgadnąć, że musiał być w zмовie z przewodnikiem.

Keraban musiał teraz przyznać, że domysły Ahmeta najzupełniej były

uzasadnione i w pierwszej chwili uniesienia, Keraban pochwycił za strzelbę i wycelował do szpiega, który powążył się podsunąć tuż przed obozowisko. Dość było sekundy czasu aby szpieg ów padł śmiertelnie ugodzony, ale mogłoby to także ostrzedz nieprzyjaciela.

Zatrzymaj się, stryju! rzekł Ahmet cicho, powstrzymując jego rękę.

Co ty robisz Ahmecie...

Wystrzał mógłby ściągnąć natychmiastową napaść... a co do tego szpiega, trzeba by dostać go żywcem, aby się dowiedzieć z czyjego polecenia działa.

A jakże go pochwycić?

Spuść się na mnie, stryju.

I zwrócił się na lewo, aby obszedłszy skałę, wspiąć się na nią z przeciwnej strony; Keraban i Nizib stali aby w razie potrzeby pośpieszyć mu na ratunek.

Szpieg doczołgał się do brzegu skały i wysunął głowę, aby korzystając ze światła księżycowego, dojrzyć wejście do pieczary. Po pewnym czasie Ahmet ukazał się na najwyższej płaszczyźnie, i także czołgając się ostrożnie, podsunął się ku szpiegowi który nie mógł go widzieć.

W tejże chwili Amazyza ukazała się w otworze pieczary; wstała miotana jakimś niepojętym niepokojem. Nie mogła zasnąć jakby przeczuwała że coś stało się nadzwyczajnego.

Spostrzegłszy Amazyżę Keraban skinął na nią aby natychmiast cofnęła się do pieczary – ale nie zrozumiała go, a spojrzawszy w górę spostrzegła Ahmeta, który w tej właśnie chwili zerwał się na nogi. Krzyknęła przerażona.

Usłyszawszy jej krzyk, szpieg zerwał się prędko, a spostrzegłszy Ahmeta rzucił się na niego i już miał go ugodzić nożem w piersi; gdy nagle Keraban strzelił i morderca padł bez życia na skałę.

Na odgłos strzału, wszyscy wybiegli z pieczary prócz przewodnika. Keraban podnosząc strzelbę w górę, wołał radośnie; to mi dopiero strzał!

Ahmet zbliżył się do szpiega:

Nie żyje, rzekł, a tak pragnąłem pochwycić go żywcem!

Nedia która nadeszła, spojrzawszy zawołała.

Ależ... ten człowiek... jest to...

Amazyza przysunęła się prędko:

Tak... tak... to on!... To Yarhud!... zawołała. To kapitan *Guidary!*

A! więc miałem słuszność! rzekł Ahmet!

O tak... rzekła znów Amazyja; to ten sam nędznik który nas porwał z willi mego ojca!

I ja go teraz poznaję! zawołał Ahmet, On to przed samym moim odjazdem zachęcał nas do kupna różnych materyi! Lecz niezawodnie nie sam tu przybył – ciągnie pewnie za nim cała banda złoczyńców, którzy aby nam odjąć możliwość puszczenia się w dalszą drogę, uprowadzili konie.

Ale z czyjzego polecenia działał Yarhud? zapytał Keraban.

Gdyby żył, potrafilibyśmy wymódlzić na nim wyznanie, rzekł Ahmet.

Może ma przy sobie jakie papiery objaśniające? rzekła Amazyja.

Ah! prawda; trzeba przeszukać kieszenie! zawołał Keraban.

Ahmet pochylił się nad zwłokami Yarhuda, a Nizib świecił mu przyniesioną z pieczary latarką.

Jest jakiś list! zawołał Ahmet, wyjmując papier z kieszeni kaftana.

List zaadresowany był do jakiegoś Skarpanta.

Czytaj prędko, Ahmecie! wołał Keraban, nie mogąc zapanować nad swą niecierpliwością.

Ahmet rozłożył list i zaczął czytać co następuje.

„Uprowadziwszy konie karawany, jak tylko Keraban i towarzysze jego zasną w pieczarze do której wprowadzi ich Skarpant...

Skarpant! krzyknął Keraban... tak więc nazywał się ten zdrajca nasz przewodnik!...

A więc nie podejrzewałem go niesłusznie! rzekł Ahmet; i czytaj dalej:

„Niech Skarpant da znać podnosząc w górę zapaloną pochodnię, a Indzie moi napadną na nich w wąwozie Nerrisa.”

Któż jest podpisany na tym liście? spytał Keraban.

Podpisany jest... Saffar!

Saffar!... Saffar!... więc to on był...

Nie inaczej, odrzekł Ahmet. To ten zuchwały pyszałek którego spotkaliśmy na plancie kolei w Poti, a który niezadługo potem odpłynął do Trebizondy... Tak, on to kazał porwać Amazyję, i za jaką bądź cenę pragnie ją znów pochwyć...

Aha! mości Saffar, krzyknął Keraban zaciskając pięście, niechno tylko

spotkam cię kiedy!

Gdzież się jednak podział ten nędznik, Skarpant? spytał Ahmet.

Brunon wpadł do pieczary, lecz go w niej nie było; wybiegł zaraz wołając:

Musiał uciec innem wyjściem!

I tak było rzeczywiście. Widząc że zdrada jego się wykryła, Skarpant uciekł innym, znanym mu w głębi pieczary otworem.

Teraz więc znali już wszelkie szczegóły tej zbrodniczej intrygi, czujność Ahmeta udaremniała nieczne manewra; odkryto zdradę, poznano zbrodnicze zamiary Saffara. Nie usuwało to jednak niebezpieczeństwa, gdyż napad mógł nastąpić lada chwila, Ahmet też ze zwykłą sobie stanowczością zamierzał przedsięwziąć możliwe środki ratunku.

Nie ma innej rady, rzekł, tylko trzeba nam co prędzej opuścić wąwozy Nerrisa, bo jeśliby napadli by na nas w tych ciasnych zaułkach otoczonych wysokimi skałami, ani jeden z nas nie uszedłby z życiem.

Chodźmy więc odrzekł Keraban. Brunonie, Nizibie i ty panie Yanar, czy broń wasza jest w porządku.

Tak panie, odpowiedzieli jednocześnie Nizib i Brunon.

Licz na mnie i na siostrę moją, panie Keraban, a zobaczysz jak umiemy walczyć, rzekł Yanar.

O tak, zawołała odważna Kurdystanka, okazałym ruchem wysuwając jatagan; nie zapomnę ani na chwilę, licz na nas jak na siebie.

Już wszyscy mieli opuścić wąwóz i wyjść na pobliską płaszczyznę, gdy w tem, Brunon, nader oględny kiedy chodziło o żywność, odzwał się nagle:

Ale przecież nie zostawimy tu osła ciągnącego cały zapas żywności.

Naturalnie, potwierdził Keraban, dlaczegóż nie mielibyśmy zabrać mego faworyta. I przysuwając się do zwierzęcia, ujął przywiązujący go postronek, wołając, pójdźże!

Osieł ani się ruszył.

Pójdziesz ty czy nie? krzyknął szarpnąwszy go mocno.

Osieł jak wiadomo już z natury swej nadzwyczaj uparty, nie ruszył się z miejsca.

Popchnij go, Nizibie, rzekł Keraban.

Nizib i Brunon popychali go z tyłu, ale osieł cofał się zamiast iść naprzód.

Aa! upierasz się! krzyknął Keraban, nie żartem rozgniewany.

Masz tobie, szepnął Brunon, trafiła kosa na kamień!

Co upierasz się!... nie słuchasz mnie!... wołał Keraban szarpiąc osła.

Pan twój znalazł równego sobie! rzekł Brunon do Niziba, zniżając głos.

Nie przypuszczałem że to jest możebnem, odrzekł tenże.

Stryju! zawołał zniecierpliwiony Ahmet, śpieszmy się, niech licho weźmie osła z całym jego pakunkiem.

Co, ja!... ja miałbym mu ustąpić!... krzyknął Keraban. Ciągnijcie go za ogon w przeciwną stronę, to pójdzie naprzód. To już taka spreczna natura osła zawsze na swoim postawić.

Zupełnie jak u twego pana, szepnął Brunon do Niziba, który w milczeniu potwierdził to i uśmiechnął się skrycie. Operacya z ogonem powiodła się jak najlepiej, osieł szarpany za niego z gniewem rzucił się w drogę.

Dowcipny pomysł! rzekł Van Mitten.

Ale tylko z osłem skuteczny, potwierdził Keraban jakoś niezwykle cienkim głosem.

Teraz już wszyscy w ścisłym szeregu opuścili obozowisko, w którym walka byłaby dla nich nader niekorzystną.

Mówisz, Ahmecie, że ten Saffar jest to ten sam zuchwalec przez upór którego powóz mój został roztrzaskany na kolei żelaznej w Poti? zapytał Keraban

Tak, mój stryju, ale przede wszystkim, jest to nędznik który kazał porwać Amazyę, a więc do mnie on należy i ja wymierzę mu zasłużoną karę.

Pomścimy się na nim, kochany synowcze, odrzekł Keraban, i niech nam Allah dopomaga.

Zaledwie pięćdziesiąt kroków oddalili się od wąwozu, już napastnicy ukazali się na szczycie skały. Krzyki i wystrzały rozległy się w powietrzu.

Niepodobna więc już było opuścić wąwozu i lepszego na wysokiej płaszczyźnie zająć stanowiska. Siepacze Saffara, w liczbie dwunastu i pod jego dowództwem, rozpoczęli napad, korzystniejsze zajmując stanowisko.

Kobiety w środek!... krzyknął Ahmet.

I natychmiast Amazyja, Nedja i Sarabula ścisnęły się w gromadkę, którą otoczyli: Keraban, Ahmet, Van Mitten, Yanar, Brunon i Nizib. Tak sześciu mieli bronić się przeciw dwunastu, i to jeszcze zajmujących lepsze stanowisko.

Bandyci spadli na nich jak lawina, przerażliwe wydając krzyki.

Brońmy się póki życia stanie! krzyknął Ahmet.

Rozpoczęła się walka. Brunon i Nizib najpierwsi zostali ranni, nie ustępując jednak z placu walczyli odważnie, równie jak nieustraszona Kurdystanka, ciągle dająca ognia ze swoich pistoletów.

Widocznie bandyci mieli rozkaz posługiwania się teraz tylko białą bronią, z obawy aby strzał jakiś nie ugodził w Amazyę; i dlatego, w pierwszych chwilach, pomimo przeważającej siły, walka niekorzystną była dla nich; kilku padło ciężko rannych. Wtedy dwóch groźnych zapaśników ukazało się na placu boju.

Byli to Saffar i Skarpant.

Ach! zbój!... to ów nędznik spotkany na kolei! krzyknął Keraban.

I kilkakrotnie wycelował broń ku niemu ale nie dopuścili tego nacierujący bandyci, którym bronić się musiał. Wszyscy walczyli odważnie i z wielką przytomnością, pomimo jednak tego, nie mogli odeprzeć znacznie przeważającej siły i coraz więcej przypierani do skał, znużeni, coraz słabszy stawiali opór.

Dostrzegł to Saffar.

Dalej Skarpancie! krzyknął wskazując Amazyę.

Teraz nam się nie wymknie, zawołał Skarpant i korzystając z zamieszania pochwycił Amazyę chcąc ją uprowadzić. Ahmet poskoczył za nim, ale kilku bandytów zagroziło mu drogę, i musiał toczyć z nimi walkę. Yanar próbował wyrzucić Amazyę z rąk Skarpanta, ale daremnie – bandyta uciekł z nią ku wąwozowi. Postrzegł to Keraban, i wymierzył do niego tak celnie, że trafiony pociskiem padł puszczając Amazyę.

Skarpant zginął!... pomścimy śmierć jego! krzyknął jeden z bandytów.

I wszyscy tak zacięcie rzucili się na Kerabana i małą jego gromadkę, iż zaledwie bronić się mogli, Saffar pochwycił Amazyę.

Odwagi!... brońmy się!... krzyknął Keraban; czuł przecież że byli zgubieni.

W tym strzał dany z wysokości skały, powalił na ziemię jednego z bandytów. Za tym pierwszym rozległy się inne wystrzały; znów padło kilku; popłoch powstał pomiędzy nimi.

Saffar przystanął na chwilę, chcąc zdać sobie sprawę z tego co zaszło. Czyżby Kerabanowi i jego towarzyszom przybywała niespodziewana pomoc?

Korzystając z pomieszania Saffara, Amazyja wyrwała się z rąk jego, i w tejże chwili zawołała radośnie.

Mój ojciec!... mój ojciec!...

Jakoż rzeczywiście był to bankier Selim, przybywający na pomoc małej karawany na czele 20 ludzi.

Ratujmy się jak to może!... krzyknął dowódzca bandytów, uciekając pierwszy i wpadł do pieczary a za nim reszta bandy, aby drugim jego otworem uciec z wąwozu.

Nędznicy!... tchórze!... krzyczał Saffar i rzucił się ku Amazyi, ale w tejże chwili Ahmet przyskoczył ku niemu. Saffar strzelił i chybił, ale za to trafił Saffara. Keraban nie tracąc zimnej krwi. Saffar zachwiał się i upadł, wydając ostatnie tchnienie.

Tak więc zostali ocaleni, i zaledwie kilku lekkie odniosło rany. A też wszyscy walczyli dziennie, nawet odważna Kurdystanka, której pistolety nie próżnowały podczas walki. Jednak męstwo ich i odwaga byłyby daremne, gdyby Selim z licznym orszakiem nie przybył im na pomoc.

Mój ojciec!... mój dobry ojciec!... wołała Amazyja, rzucając się w objęcia Selimowi.

Więc to ty!... ty stary mój przyjacielu!... rzekł Keraban.

Tak, ja w mej własnej osobie, odpowiedział bankier.

Ale jakież szczęśliwy wypadek?...

To nie żaden przypadek, odpowiedział; dawno już byłbym się udał na poszukiwanie córki, gdyby ów nędznik który porwał ją z mojej willi, nie był mnie ranił dość ciężko, że dopiero nie dawno przyszedłem do siebie. Odebrawszy więc przed kilku dniami depeszę Ahmeta...

Depeszę!... zawołał Keraban, uderzony tym wyrazem.

Tak, odrzekł bankier, depeszę wysłaną z Trebizondy.

Keraban zmarszczył brwi i ostro spojrzął na Ahmeta.

Stryjeczku! zawołał Ahmet rzucając mu się na szyję, pierwszy raz bez twojej wiedzy wysłałem telegram, i przyznaj żem dobrze zrobił.

No, na ten raz, złe wyszło na dobre, odrzekł kiwając głową, tylko nie waż się zrobić tego drugi raz.

Dowiedziawszy się więc z tej depeszy, że nie jesteście jeszcze zupełnie bezpieczni, udałem się niezwłocznie do Skutari, i zabrawszy z sobą dwudziestu dzielnych ludzi, puściłem się wybrzeżem, po drodze dowiedziałem się że karawana wasza skręciła w wąwozy...

I w sam czas przybyłeś, kochany Selimie, rzekł Keraban, gdyby nie twoja pomoc, bylibyśmy zgubieni.

Blask jutrzeńki zaczął świtać na horyzoncie, pierwsze promienie słońca zaróżowywały obłoki.

Czy ten Skarpant nie odciągnął nas daleko od Skutari? zapytało Ahmet.

Nie, odrzekł Selim, jesteśmy tu tylko o kilka mil od morza. Tam to są wybrzeża Bosforu, dodał wskazując ku północo-zachodowi.

Wybrzeża Bosforu, zawołał Ahmet.

I wszyscy weszli na płaszczyznę roztaczającą się na wysokiej skale po nad wąwozem Nerissa.

Patrzcie!... patrzcie!... zawołał Selim.

I ujrzeli piękny fenomen naturalny; skutkiem obicia ukazały im się w oddali upragnione wybrzeża Bosforu. W miarę powstawania dnia, miraż uwydatniał stopniowo przedmioty poniżej horyzontu. Zdawało się że wzgórze okrążające krańce płaszczyzny, zasuwawały się w ziemię jakby teatralna dekoracja.

Morze!... morze!... wołał Ahmet.

Morze znajdowało się rzeczywiście o mil kilka, widok jego był wynikiem mirażu.

Morze! powtarzał Keraban. Lecz jeżeli nie są to wybrzeża Bosforu, jeżeli jesteśmy jeszcze daleko od Skutari, a dziś 30 września i ostatni termin.

O, to Bosfor, to Skutari! wołał Ahmet.

Fenomen uwydatnił się zupełnie, i dokładny szkic miasta wzniesionego w amfiteatr, rysował się na dalszych planach horyzontu.

Ach, tak... tak... to Skutari, to jego panorama panuje nad cieśniną, mówił Keraban... Ot tam, meczet Buyuk-Dżami.

I rzeczywiście było to Skutari, które Selim opuścił przed trzema godzinami.

Dalej w drogę! wołał Keraban; a jako prawowierny muzułmanin, w każdym objawie uznający wielkość Boga, zwrócił się ku wschodzącemu słońcu, wołając: *Ilah il Allah!*

Za chwilę cała karawana puściła się w drogę, a w cztery godzin później, tegoż 30 września będącego już ostatnim terminem odbycia ślubu Ahmeta i Amazyi, Keraban i towarzysze jego, odbywszy tak długą podróż wzdłuż wybrzeży morza Czarnego, wstępowali na wyżyny Skutari, witając radosnymi okrzykami wybrzeża Bosforu.

[Rozdział XIV]

W prześlicznym położeniu, na pochyłości wzgórza na którym roztacza się Skutari, wznosiła się piękna villa Kerabana.

Skutari, to azyatyckie przedmieście Konstantynopola, a starożytne Chrysopolis, ze swymi meczetami pokrytymi złotonemi dachami, z dzielnicami w których mieści się pięćdziesiąt tysięcy ludność; z debarkaderem unoszącym się na wodach cieśniny, z lasem cyprysów na cmentarzu, z leżąca o milę od miasta górą Bulgarlu, panującą nad całością, z której szczytu sięgnąć można wzrokiem do morza Marmora, zatoki Nikomedijskiej i kanału Konstantynopolskiego. Oto przepyszna panorama, jedyna w świecie, przedstawiająca się z okien villi bogatego Kerabana.

Wnętrze jej odpowiadało godnie tym piętrzącym się ogrodom, wspaniałym platanom, bukom i cyprysom je zacierającym. Doprawdy szkoda byłoby pozbywać się jej dlatego jedynie, aby nie płacić kilka parasów tygodniowo, jakie kazano uiszczać za przepływanie Bosforu.

Było południe. Od trzech godzin właściciel i goście jego znajdowali się w prześlicznej willi, odpoczywając po trudach i wrażeniach podróży. Dumny powodzeniem, Keraban szydził mocno z muszyra i jego uciążliwych, niesłusznych podatków; Ahmet i Amazyja radowali się. Nedja zaś ciągle śmiała się wesoło.

Śniadanie było nader okazałe i smaczne; po niem wszyscy przeszli do jednego z najpiękniejszych salonów willi, ożywioną prowadząc rozmowę.

Ah! zawołała Nedja, przysuwając się do okna; jak Skutari dziś ożywione! wyszedłszy przejść się po niem, można się będzie zabawić.

Wszyscy zbliżyli się do okna.

Rzeczywiście, rzekł Keraban, łodzie z chorągwiami pokryły Bosfor; na placach i po ulicach widzę kuglarzy i akrobatów!... Słysząc muzykę, tłumy gromadzą się na wybrzeżu.

Spodziewam się że te zabawy nie przeszkodzą zawarciu naszego małżeństwa, rzekł Ahmet.

Panie! rzekł Selim, zaraz się tem zajmiemy; wszak to już ostatni termin... Idę zaraz do sędziego w Skutari, aby sporządził odpowiedni akt...

I my tam pójdziemy. Wszak wiesz stryju że obecność twoja jest niezbędną?

Tak prawie jak twoja, Ahmecie, odrzekł Keraban, śmiejąc się głośno.

Dobrze więc, rzekł Selim, przyjdźcie do sędziego za godzinę, i wyszedł z salonu.

[Rozdział XV]

Zebrani goście poczęli się przyglądać pięknemu widokowi, ale zaledwie zaszło pół godziny czasu gdy drzwi się otworzyły, i wpadł do salonu bankier Selim, zdyszany i zakłopotany,

Co się stało? ojcie drogi! zawołała zaniepokojona Amazyja.

Czy jaki wypadek? zapytał Ahmet.

Oto małżeństwo Amazyji z Ahmetem w żaden sposób nie może dziś zostać zawarte.

Co mówisz, ojcie? zawołali oboje.

To, jest, przynajmniej w Skutari, dodał.

Czy podobna.

Tylko w Konstantynopolu mogliby się połączyć.

W Konstantynopolu! powtórzył Keraban nie ukrywając swego niezadowolenia. I dla czegoż to?

Ponieważ sędzia w Skutari, stanowczo odmawia sporządzenia aktu ślubu.

Odmawia?... z jakiegoż powodu? spytał zaniepokojony Ahmet.

Z powodu że stałe zamieszkanie Kerabana, a zatem i Ahmeta, jest w Konstantynopolu a nie w Skutari.

W Konstantynopolu! powtórzył znów Keraban, marszcząc brwi.

A ponieważ z dzisiejszym dniem upływa termin z którym córka moja musi wyjść za mąż, aby nie utraciła prawa do tak znacznego spadku, trzeba nam więc niezwłocznie udać się do Konstantynopola, a tam stawić się u sędziego który spisze akt ślubu.

Więc udamy się tam natychmiast! zawołał Ahmet.

Jestem gotowa, rzekła Amazyja zbliżając się do narzeczonego.

Przyjacielu Kerabanie, rzekł Selim, czas nagli... a chodzi tu o tak znaczną sumę.

Keraban milczał tylko, przecząco poruszył głową.

Stryju, rzekł Ahmet, wszak nie chciałbyś...

Jeźliby mieli mnie zmuszać do zapłacenia dziesięciu parasów, za nic w świecie nie przepłynę Bosforu! Przez Mahometa! wolałbym raz jeszcze okrążyć morze Czarne!

Stryju, rzekł Ahmet, tak się nie godzi... daruj że ci powiem; ale skazując na zmartwienie osoby tak cię kochające – powtarzam, tak się nie godzi.

Ahmecie, miarkuj swoje słowa! zawołał Keraban unosząc się gniewem.

Uspokój się, kochany Ahmecie, rzekła Amazyja; nie przemawiaj tak do stryja...

Chodź Amazyjo... opuśćmy za zawsze Skutari... przecież jeszcze zdobędziemy się na zapłacenie dziesięciu parasów za dopłynięcie do Konstantynopola!

To powiedziawszy pociągnął Amazyję ku drzwiom.

Kerabanie, proszę cię!... rzekł bankier Selim, próbując jeszcze nakłonić uparciucha do zmiany postanowienia.

Daj mi pokój, Selimie! odmruknął.

Niestety! daremne prośby; chodźmy mój ojczy! rzekła Amazyja, spoglądając na Kerabana ze łzami w oczach.

Gdy już doszli do drzwi, Ahmet odwrócił się jeszcze mówiąc;

Raz jeszcze proszę i zapytuję cię, stryju, czy bezwarunkowo odmawiasz towarzyszyć nam do Konstantynopola, gdzie obecność twoja jest niezbędną abym mógł poślubić Amazyję.

Odmawiam płacić tego najniesłuszniejszego podatku, do którego chcą mnie zmusić, odrzekł, tak silnie uderzywszy nogą w podłogę, że aż szyby zadzwoniły.

Kerabanie! prosił Selim.

Nie! nie! ... stokroć nie!

Żegnam cię więc, stryju, rzekł Ahmet drżącym głosem. Upór twój drogo kosztować nas będzie. Pozbawiasz tak znacznego majątku tę która ma zostać twoją synowicą... Żegnam cię na zawsze.

I biorąc pod rękę Amazyą, wyszli wraz z Selimem, Nedią i Nizibem, i opuściwszy wille wsiedli do kaiku aby odpłynąć do Konstantynopola.

Pozostawszy sam, Keraban chodził po salonie gwałtownie wzruszony.

Nie, wołał, przez Mahometa, nie!... byłoby to mnie niegodnem!... Okrążyłem morze Czarne, przebyłem setki mil i tyle przygód aby nie poddać się temu zdzierstwu, i zaledwie powróciwszy miałbym zapłacić te dziesięć parasów?...

Nie!... choćbym miał nigdy już nie być w Konstantynopolu. Sprzedam mój kantor w Galata... zaprzestaną prowadzić handel!... Oddam Ahmetowi cały mój majątek, aby wynagrodzić Amazyi utratę spadku... Będzie wtedy bogatym... a ja... ja zupełnie ubogim... Mniejsza o to!... stracę wszystko, ale nie ustąpię!

Mówił to chodząc po pokoju, coraz gwałtowniejszą staczając z sobą walkę.

Ja, Keraban!... miałbym ustąpić!... zapłacić!... i to pod okiem tego naczelnika policji który mnie wzywał... widział że wyjeżdżam... czeka na mój powrót... który urągałby mi w obec wszystkich, żądając zapłaty tego niegodziwego podatku!... Nigdy!...

Widocznie uparty Keraban staczał walkę ze swoim sumieniem, które wyrzucało mu że następstwa tego nedorzecznego uporu boleśnie dotkną drogie mu osoby.

Oddałbym mu wszystko, mówił sobie dalej, ale czy Ahmet zechce przyjąć?... Odszedł zrozpaczony i bardzo rozżalony na mój upór... Znam go! ... jest dumny!... teraz nic nie zechce przyjąć odemnie!... Zastanówmy się tylko!... Jestem uczciwym człowiekiem... i miałbym przez upór zatruć szczęście tych dwojga dzieci... A bogdajby Mahomet wydusił cały Dywan, a z nim wszystkich zwolenników nowych ustaw!...

I gorączkowym krokiem biegał po pokoju, odtrącając nogami fotele i poduszki. Upatrywał jakiegoś przedmiotu na którym mógłby gniew swój wyrzucić; i niebawem dwa kosztowne wazony, rzucone o ziemię, rozbiły się na kawałki.

Potem znów chodził i myślał.

Ahmet... Amazy!... nie!... to niepodobna!... Nie mogę stać się sprawcą ich nieszczęścia!... i to jedynie dla dogodzenia mojej miłości własnej!... Opóźniając to małżeństwo... może wywołałbym jego zerwanie... Ale ustąpić! ... ja... ja!... miałbym ustąpić!... A! niech mi Allah dopomoże!...

Wypowiedziawszy to wezwanie, wybiegł z salonu miotany gniewem i niepokojem.

[Rozdział XVI]

Lecz nietylko w Skutari, na wybrzeżach, od portu aż do kiosku sułtana, roily się żadne zabawy tłumy, równie liczne zbiegowiska nagromadziły się z drugiej strony cieśniny, w Konstantynopolu, na wybrzeżach Galata, od pierwszego mostu aż do koszar przy placu Top-hane. Tak słodkie wody zamykające port Złotego Rogu jak gorzkie wody Bosforu całkiem pokryte były flotyllą kaików, łodzi z choraągwiemi, szalup parowych, na których przyplływały nieustannie między wybrzeżami dwóch lądów Turcy, Albańczycy, Grecy, Europejczycy i Azyaci.

Widocznie więc miało się odbyć jakieś ciekawe i niezwykle widowisko, skoro ściągnęło takie tłumy ludności.

Gdy Ahmet, Selim, Amazyja i Nedja opłaciwszy nałożony podatek, wylądowali w porcie Top-hane, zastali tam niesłychany zgiełk i wrzawę na teraz bynajmniej dla nich nie pożądaną. Pzeciskając się przez tłum, mówił Ahmet:

Droga Amazyjo, znam od dawna szkaradny upór mego stryja, ale nigdy nie przypuszczałem, żeby był dolny posunąć go do takiej ostateczności.

Więc pan Keraban nie będzie w Konstantynopolu, dopokąd podatek ten będzie obowiązującym? zapyta Nedja.

A dał dziś tego dowód, pomimo iż wiedział że naraża przez to Amazyją na stratę tak znacznej sumy.

Gdyby o mnie tylko szło, nie dbałabym o tę stratę; jeśli żałuję tego majątku, to jedynie przez wzgląd na ciebie, Ahmecie rzekła Amazyja.

Zapomnijmy o tem droga Amazyjo, odrzekł Ahmet; dotąd kochałem stryja jak ojca, teraz tak boleśnie zranił mi serce, iż nie mógłbym nie okazać mu tego, opuszczę więc Konstantynopol, i zamieszkamy przy ojcu twoim w Odessie.

Selim, Ahmet i ich towarzyski, zajęci swoim położeniem, niewielką zwracali uwagę na wszystko co się działo na wybrzeżach Pera i Złotego Rogu; zaledwie też doszły ich uszu słowa wypowiedziane przez jakiegoś Turka do jego towarzysza.

Jednakże ten Storchi jest niezwykle odważny i śmiały, żeby w podobny sposób przebywać Bosfor!

A tak, odrzekł drugi śmiejąc się, zadrwił sobie dopiero z poborców

nowego podatku, nie przewidzieli podobnego wypadku!

Wtem ktoś zbliżał się do Ahmeta, mówiąc:

Witam pana Ahmeta.

Był to naczelnik policyi; ten sam który tak wyzywająco przemawiał do Kerabana przed jego puszczeniem się w podróż około wybrzeży morza Czarnego.

A! to pan! odrzekł Ahmet.

Tak, ja... doprawdy można powinszować panu Kerabanowi; dotrzymał swej pogroźki; powrócił do Skutari nie przepływając Bosforu.

Powrócił rzeczywiście, odrzekł oschle Ahmet.

No, jest to prawdziwie genialny pomysł! dla niezapłacenia dziesięciu parasów, wydać kilka tysięcy funtów.

Dobrze pan obliczył.

I cóż na tem zyskał pan Keraban? Podatek nie jest zniesiony, jeżeli więc będzie trwał w swoim niedorzecznym uporze, zostanie zmuszonym napowrót znów odbyć tę podróż, jeżeli zechce powrócić do Konstantynopola.

Zapewnie to zrobi, jeżeli mu się tak spodoba, odparł Ahmet, który choć sam miał ciężki żal do stryja; nie chciał jednak pozwolić aby inni żartowali z niego.

Eh! żarty to są! ustąpi w końcu i przepłynie Bosfor... ale straż bacznie czuwa na wybrzeżach pilnując przyplływających kaików... chyba więc wplaw przepłynie Bosfor, lub jak ptak nad nim przeleci.

W tej chwili rozległ się wśród tłumu głośny szmer podziwienia; wszystkie głowy podniosły się w górę; ręce wyciągnęły ku Skutari.

Otóż jest!... otóż jest!... Storchi!... Storchi!... wołano ze wszech stron.

Ahmet, Amazyja, Selim, Brunon i Nizib, znajdowali się właśnie w miejscu w którym wybrzeża Złotego Rogu tworzy kąt przy przystani Top-hane, mogli więc widzieć doskonale godzien podziwienia widok przedstawiającym się oczom zdumionego tłumu.

Od strony Skutari, o jakie sześćset stóp od wybrzeża, wznosi się wieża całkiem niewłaściwie zwana wieżą Leandra. W rzeczywistości, sławny ten pływak mitologiczny przepływał Helespont, dzisiejszą cieśninę Dardanelską, aby dostać się do Hero. Kilka dziesiątków lat minęło jak tego samego dokonał lord Byron, w ciągu godziny i dziesięciu minut, przepłynąwszy oddzielającą oba wybrzeża przestrzeń 1200 metrów.

Czyżby śmiały jakiś amator chciał ponowić na wodach Bosforu tak zuchwałą przeprawę, zazdroszcząc tryumfów mitologicznemu bohaterowi i

twórcy *Korsarza*? Nie! co innego ukazać się miało oczom zaciekawionego tłumu.

Długa i gruba lina została przeciągnięta między wybrzeżem Bosforu a wieżą Leandra, nazwaną obecnie Keuz-Kulessi, co znaczy Wieża Dziewicy. Lina ta, przymocowana do silnego punktu oparcia, ciągnęła się przez całą cieśninę na długość 1300 metrów, i tu znów przytwierdzona została do mocnego słupa drewnianego, wznoszącego się w rogu wybrzeża Galata i placu Top-hane.

Po tej linie przebyć miał Bosfor sławny akrobata Storchi, współzawodnik słynnego Blondina. Ta jednak zachodziła różnica, że przebywając Niagarę, Blondin narażał życia w razie spadnięcia blisko ze 150 stóp w nieprzeparty prąd rzeki, tu zaś, nad spokojnymi wodami, nawet w razie wypadki Storchi wpadłby tylko w wodę, z której mógł wypłynąć bez wielkiej krzywdy.

Jak Blondin przechodząc po linie po nad Niagarą, niósł na plecach swego, nieograniczenie ufającego jego zręczności przyjaciela, tak i Storchi wybierał się w tę podróż nadpowietrzną z jakimś kolegą swoim, tylko że nie miał go nieść na plecach, ale przesunąć po linie w taczkach o jednym kole, którego dzwono głęboko wyżłobione, doskonale trzymało się liny, przesuając się po niej.

Był to więc widok bardzo ciekawy, grożący niejednym może wypadkiem na tej wielkiej tysiąc trzysta metrów ciągnącej się długości.

Otóż Storchi ukazał się na początku liny łączącej brzeg azyatycki z Wieżą Dziewicy. Przed sobą popychał siedzącego w taczkach towarzysza, i bez wypadku doszedł do latarni morskiej umieszczonej na szczycie Keuz-Kulessi.

To pierwsze powodzenie głośnym uczczono poklaskiem.

Ztąd zaczął nader zręcznie opuszczać się po linie, która choć mocno była wyciągnięta, jednak skutkiem przygniatającego ciężaru, im więcej zbliżał się do środka, opuszczała się coraz niżej, tak że o mało nie dotykała wód Bosforu. Jednak Storchi szedł niezachwianie, popychając ciągle przed sobą siedzącego w taczkach towarzysza, z niesłychaną zręcznością zachowując równowagę.

Gdy szedł do środka, coraz większa nasuwała się trudność, gdyż trzeba było nieustannie wznosić się w górę, aby dojść do końca liny. Ale silny i nadzwyczaj zręczny akrobata, ani się zachwiał; śmiało popychał taczkę w której towarzysz jego siedział nieruchomy. Nie można zaprzeczyć, że był równie odważny jak akrobata; nie zrobił najlżejszego ruchu, aby nie nadwerżyć równowagi taczek.

Nareszcie rozległ się w powietrzu głośny krzyk podziwu i radości że żaden wypadek nie miał miejsca.

Storchi doszedł wraz z towarzyszem do szczytu słupa, i razem zeszli po drabinie opuszczającej się właśnie tuż obok Ahmeta i jego towarzystwa.

Śmiałe przedsięwzięcie powiodło się tedy najzupełniej; krzyki i oklaski ogłuszające powitały akrobatę i jego towarzysza... Lecz głośniejszy nad inne okrzyki wydarł się z piersi Ahmeta.

Nie wiedział czy może własnym wierzyć oczom... Ów śmiały towarzysz akrobaty, pożegnawszy Storchiego uściśnięciem dłoni, stanął tuż przed nim, patrząc na niego z uśmiechem.

Keraban!... stryj mój!... zawołał Ahmet, a jednocześnie otoczyli go wszyscy.

Jakoż rzeczywiście był to Keraban w swej własnej osobie.

Tak, to ja, kochani przyjaciele, rzekł tryumfująco, ja który zobaczywszy tego zacnego akrobatę właśnie gdy zamierzał puścić się w tę powietrzną wycieczkę, zastąpiłem jego towarzysza, i przesunąłem się ponad Bosforem, śpiesząc podpisać akt ślubu, mego synowca Ahmeta.

Ach! dobry, kochany stryju, jakże ci mamy dziękować za to coś uczynił dla nas! zawołała Amazyja.

Otóż teraz pan Keraban ślicznie się znalazł! wołała Nedia klaszcząc w dłonie.

A więc przebyłem Bosfor nie zapłaciwszy tego obmierzłego, niestusznego podatku! zawołał Keraban zwracając się do naczelnika policyi. Tak, nie zapłaciłem nic, z wyjątkiem 2000 piastrów za miejsce w taczce, i znacznej bardzo sumy wydanej w podróży.

Winszuję, winszuję! odrzekł tenże, pochylając głowę przed tak niezrównanym uporem.

Cały tłum wydawał głośnie okrzyki na cześć Kerabana, podczas gdy on przyciskał do serca Ahmeta i Amazyję. Ale wśród upojenia tryumfu nie zapominając że czas nagli, zawołał:

A teraz chodźmy co prędzej do sędziego Konstantynopolskiego!

O! tak, śpieszmy się, odpowiedział Ahmet; ah! stryju kochany, jesteś najlepszym z ludzi!

I mówcie co chcecie, wcale a wcale nie upartym, jeśli mi się nikt nie sprzeciwi.

Tegoż dnia po południu, sędzia spisał akt ślubu, iman odmówił modlitwę w meczecie, poczem udali się do domu Kerabana w Galata, i zanim wybiła północ dnia 30 września, Ahmet poślubił bogatą jedynaczkę bogatego bankiera Selima.

Nazajutrz przybyła do Konstantynopola pani Van Mitten, i na przeprosiny przywiozła mężowi przepyszną cebulkę *Valentia*.

Cóż teraz pozostawało czynić Kerabanowi? Nie mógł przecie zawsze

przebywać Bosforu w taczkach po przeciągniętej po nad nim linie.

Czas jakiś zamknął się w swoim kantorze w Galata, i ani zajrzał do swej ślicznej villi w Skutari, lecz gdy mu się to sprzykrzyło, wzniosł do władzy podanie że chce nabyć za gotówkę prawo podatków od kaików, na co rząd turecki, zawsze potrzebujący pieniędzy, zgodził się chętnie. Wprawdzie kosztowało go to bardzo drogo, ale stał się za to nadzwyczaj popularnym w całym Konstantynopolu, a przybywający tam cudzoziemcy, zawsze odwiedzają Kerabana Upartego, chcąc poznać jedną z wielkich osobliwości stolicy państwa otomańskiego.

KONIEC